ZNAK

MIESIĘCZNIK

KRAKÓW
Rok XXI WRZESIEŃ (9) 1969

183

ZESPÓŁ

Hanna Malewska, Maria Morstin-Górska, Stefan Swieżawski, Stanisław Stomma, Jerzy Turowicz, Stefan Wilkanowicz, Jacek Woźniakowski, Halina Bortnowska, Stanisław Grygiel, Marek Skwarnicki, Bohdan Cywiński

REDAKCJA

Hanna Malewska (redaktor naczelny), **Halina Bortnowska** (sekretarz redakcji), **Stanislaw Grygiel, Franciszek Blajda, Bohdan Cywiński**

Adres redakcji: Kraków, Sienna 5, I p., tel. 271-84
Redakcja przyjmuje w godz. 13—15

Adres administracji: Kraków, Wiślna 12, I p., tel. 501-62
Administracja przyjmuje w godz. 9—13

Prenumerata krajowa: kwartalnie zł 45.—; półrocznie zł 90.—; rocznie zł 180.—

Wpłaty na konto administracji, Kraków, Wiślna 12, PKO nr 4-14-831
Prenumerata przez wpłaty na konto „Ruchu", Kraków, Al. Pokoju 5 PKO nr 4-6-777 albo przez urzędy pocztowe i listonoszy

Prenumerata zagraniczna: kwartalnie zł 63.—; półrocznie zł 126.—; rocznie zł 252.—

Prenumerata przez wplaty na konto PKWZ „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, PKO nr 1-6-100024

Zamówienia i przedpłaty przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty

Cena zeszytu zł 15.—

Egzemplarze archiwalne „Znaku" nabywać można w **Administracji miesięcznika „Znak", Kraków, ul. Wiślna 12** oraz w następujących księgarniach:

Katowice: Księgarnia św. Jacka, ul. 3 Maja 18; **Kraków:** Księgarnia Krakowska, ul. św. Krzyża 13; **Łódź:** Księgarnia „Czytaj", ul. Narutowicza 2; **Poznań:** Księgarnia św. Wojciecha, Pl. Wolności 1; **Warszawa:** Księgarnia św. Wojciecha, ul. Freta 48; **Wrocław:** Księgarnia Archidiecezjalna, ul. Katedralna 6.

Nakład 7000 + 350 + 100. Arkuszy druk. 10,5. Papier druk. sat. kl. V 61 × 86 65 g. Maszynopis otrzymano 25 lipca 1969 r. Druk ukończono w październiku 1969 r. Zam. nr 313 25. VII. 1969 r. A-60

INDEKS 38420

Krakowskie Zakłady Graficzne, Zakład nr 1, Kraków, Kazimierza W. 95

ZNAK
MIESIĘCZNIK

Rok XXI Nr 183 (9)
Wrzesień 1969
Kraków

MIECZYSŁAW PSZON

„KWESTIA NIEMIECKA" DZIŚ

Dlaczego w ćwierć wieku po zakończeniu II wojny światowej istnieje kwestia niemiecka? To pytanie jest tylko pozornie naiwne, bo towarzysząca mu zwykle odpowiedź: „dlatego, że nie ma dotąd traktatu pokojowego z Niemcami", jest słuszna tylko formalnie. Gdyż dlatego nie ma traktatu pokojowego, ponieważ istnieje kwestia niemiecka. Warto może zastanowić się nad tym problemem, rzutującym nie tylko na sytuację Europy, ale i na politykę wielkich mocarstw, a więc na sytuację na świecie.

Termin „kwestia" implikuje w języku politycznym problem nabrzmiały, nierozwiązany, łączący się w szerokim zakresie z dokuczliwościami życia jednostkowego i społecznego. Kwestia niemiecka w dzisiejszym znaczeniu tego słowa powstała jako następstwo katastrofy wojennej i związanego z nią upadku państwa niemieckiego. W 1945 r. Niemcy aktem bezwarunkowej kapitulacji utraciły suwerenność państwową, poddane zostały totalnej okupacji, ich terytorium narodowe skurczyło się blisko o jedną czwartą obszaru z 1937 r. a ludność zniszczonego kraju jedynie wielkodusznej pomocy zwycięzców zawdzięczała ratunek przed głodem. W 1964 r., a więc w 19 lat po „godzinie zero" sytuację gospodarczą Niemiec ilustrują dobitnie następujące dane ich handlu zagranicznego. Eksport Niemieckiej Republiki Demokratycznej wyniósł wówczas 2917 milionów dolarów, podczas gdy eksport z terenu dzisiejszej NRD w 1936 r. przedstawiał wartość 480 milionów dolarów, co daje nominalny wzrost wskaźnika ze 100 w 1936 na 553 w 1964. Import do NRD w r. 1964 o wysokości 2608 milionów dolarów był wyższy o 1,4 od importu całej przedwojennej Rzeszy.

Odpowiednie dane dla Niemieckiej Republiki Federalnej oraz dla Berlina Zachodniego przedstawiają się następująco: w 1964 r. eksport 16,22 miliarda dolarów, import 14,7 mld dolarów, co stanowi wzrost w porównaniu z sytuacją całej Rzeszy w 1936 r. w zakresie importu prawie dziewięciokrotny, a eksportu 8,4 raza. Co więcej wzrost obrotów handlu zagranicznego był w obu państwach niemieckich większy niż w innych porównywalnych krajach świata. [1]

A więc nie w gospodarce szukać należy korzeni kwestii niemieckiej. Naród, który ekonomicznie prosperuje jak nigdy w swoich dziejach, a stopą życiową przewyższa niejednokrotnie poziom swych zwycięzców, nie ma tu powodów na uskarżanie się na skutki klęski. Źródeł niemieckich rekryminacji szukać zatem należy w sferze polityki. Istnieją trzy problemy, które zachowują żywotność w politycznym życiu Niemiec Zachodnich: problem zjednoczenia, problem prawny i problem krzywdy. Przyjrzyjmy się im kolejno.

Rzesza Niemiecka upadła w 1945 r. jeszcze przed bezwarunkową kapitulacją, w konsekwencji zawojowania jej terytorium przez zwycięską koalicję. Akt kapitulacyjny potwierdzał tylko, że w następstwie debellacji państwo niemieckie przestało istnieć także z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Oba państwa, powstałe na terytorium niemieckim, są zatem organizmami nowymi; w ich przypadku o sukcesji można by mówić nie w odniesieniu do mitycznej Rzeszy z 1937 r., ale chyba w odniesieniu do władz okupacyjnych, od których otrzymały zwierzchność nad swym państwowym obszarem. Stąd ich zjednoczenia nie implikuje żadna powszechnie uznawana zasada ani wymóg prawa międzynarodowego. Nastąpić by więc ono mogło jedynie na drodze swobodnego porozumienia się obu tych państw. A trzeba pamiętać, że koncepcja, iż wszyscy Niemcy muszą żyć w ramach jednego państwa, jest stosunkowo świeżej daty, zrodziła się sto lat temu i próżno by szukać w tym okresie tradycji duchowych i kulturalnych, z których naród niemiecki mógłby być dumny.

Nie będąc koniecznością gospodarczą ani narodową tym mniej jest zjednoczenie Niemiec koniecznością polityczną. W tym miejscu bowiem sprawa niemiecka z problemu dotyczącego przede wszystkim samych Niemców przeradza się w widmo zagrożenia pokoju i bezpieczeństwa Europy. „Ponowne zjednoczenie obu części Niemiec stworzyłoby w sercu Europy ogromną potęgę gospodarczą... Takie Niemcy, nawet gdyby pozostały neutralne, byłyby krajem,

1 Cytowane za: Józef Kokot: *Kwestia niemiecka w ćwierć wieku po bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy*, Wrocław 1968.

przed którego siłą gospodarczą musiałaby zadrżeć reszta Europy... Jakkolwiek trudno sobie wyobrazić, jak ponownie zjednoczone Niemcy mogłyby wykorzystać swoją nową gospodarczą i polityczną siłę w sposób ofensywny, to jednak słuszne jest stanowisko, że siła taka odczuwana byłaby przez inne narody jako zagrożenie" — oto opinia „Center for International Affairs" Uniwersytetu w Harvard. [1]

Problem prawny zawiera w sobie właściwie wszystkie elementy kwestii niemieckiej. Wynika to stąd, że w Niemczech Zachodnich dość powszechnie utarło się przekonanie, że myślenie polityczne można zastąpić argumentacją prawniczą, przy czym dokonuje się tutaj dość szczególnego zabiegu polegającego na identyfikacji własnej interpretacji prawa z interpretacją innych i z powszechnie uznawanymi normami prawa międzynarodowego. Nie liczące się z politycznymi faktami jurydyczne myślenie uzasadnia zarówno tezy o konieczności „ponownego zjednoczenia" i prawie do wyłącznej reprezentacji, jak i podtrzymuje wśród przesiedleńców ze wschodu rewizjonistyczne nastroje, głosząc zasadę *Recht auf die Heimat* — prawa do stron ojczystych, interpretowaną w sposób kazuistyczny. Ucieczka przed rzeczywistością w dziedzinę swoiście pojmowanego prawa jest w gruncie rzeczy próbą uchylenia się od odpowiedzialności za przeszłość. Tymczasem nakazem rozsądku jest spojrzenie prawdzie w oczy i co więcej, o tej prawdzie, która politycznym przywódcom zachodnioniemieckim jest dobrze znana, powiedzenie całemu narodowi. „Prawdą jest, że Niemcy ponoszą winę za II wojnę światową, że poniosły totalną klęskę, a następnie bezwarunkowo skapitulowały. Prawdą jest — przyjaciele i wrogowie są co do tego zgodni — że restytuowanie państwa niemieckiego w granicach roku 1937 nie jest ani możliwe, ani pożądane. Prawo do stron ojczystych, jeśli zachowuje swą ważność, to nie tylko w stosunku do Niemców. Prawdą jest, że wizja Niemiec jako wielkiego mocarstwa jest zmorą dla całego świata. Prawdą jest, że Wschód i Zachód, ze słusznych z ich punktu widzenia przyczyn, chętniej widzą Niemcy podzielone, niż zjednoczone. Bez uznania faktów powstałych w 1945 roku nie nastąpi przywrócenie jedności. Kto pragnie przywrócenia jedności — ten musi uznać linię Odry i Nysy i przyjąć do wiadomości istnienie innego, komunistycznego państwa na ziemi niemieckiej, ze wszystkimi nieuchronnymi tego konsekwencjami". [2]

Ale mimo wcale nierzadkich, trzeźwych, jak powyższy, głosów polityków i publicystów — mechanizm fikcyjnego pojmowania rzeczywistości, podparty prawniczą argumentacją, funkcjonuje na-

---

2 Hans Rubin: *Die Stunde der Wahrheit*, „Stern", nr 12 z 1967 r.

dal. Sami Niemcy tłumaczą to wymogami taktyki wyborczej. Większość wyborców ulega konserwatywnym czy wręcz reakcyjnym nawykom myślowym. Nie można więc iść przeciwko fali, bo popchnie się wyborców ku skrajnym, antydemokratycznym partiom. Ma to mieć szczególne znaczenie, jeśli idzie o liczną grupę przesiedleńców. Tu dochodzimy do trzeciego problemu: sprawy krzywdy. To już problem nie z dziedziny polityki czy prawa; to już zagadnienie z zakresu społecznej psychologii lub raczej psychopatologii. Istnieje na ten temat w NRF olbrzymia literatura, nie mówiąc już o setkach czasopism „związków wypędzonych" i „ziomkostw", które od dwudziestu lat opierają swą egzystencję na eksploatowaniu „niemieckiej krzywdy".

Zagadnienie „krzywdy", obrastające oczywiście z biegiem lat we wszelkiego rodzaju dokumentację, da się sprowadzić do dwóch tez: bezprawności wysiedleń i strat poniesionych przez ludność niemiecką podczas wysiedlenia.

Teza pierwsza zakłada, że ponieważ wysiedlenia były przymusowe, naruszyły przyrodzone prawo człowieka do stron ojczystych, czyli były aktem gwałtu. Teza druga określa wysokość strat podczas wysiedlenia na 3,3 miliona do 3,7 miliona osób (zależnie od źródła). Obie tezy służą twierdzeniu, że rachunkowi krzywd wyrządzonych Polsce w czasie okupacji należy przeciwstawić krzywdy Niemców, doznane od Polaków. Bzdurność tych twierdzeń jest tak oczywista, że wszelka polemika wydaje się zbędna. Niestety, kłamstwo powielane w tysiącach publikacji przez dziesiątki lat, nabiera autonomicznego życia i to nie tylko w NRF. Niedawno, w przyjaźnie zresztą w stosunku do Polski napisanym artykule prezydenta belgijskiego senatu, Paula Struye [3], znalazł się pogłos tych fałszerstw. Przesiedlenia ludności były wynalazkiem reżimu hitlerowskiego, który stworzył w tym celu nie tylko skomplikowaną machinę organizacyjną, ale i prawno-polityczną doktrynę, wyłożoną w dziesiątkach prac specjalistycznych. Niemcy zapoczątkowały przymusowe przesiedlenia jeszcze przed wybuchem II-wojny światowej układem z Włochami w sprawie repatriacji Niemców z Górnej Adygi. W czasie wojny do końca listopada 1944 r. pomijając przymusowe migracje ludności rdzennej krajów okupowanych (w Polsce migracje te dotknęły 4—5 milionów ludzi) przesiedliły władze hitlerowskie na teren tzw. Wielkiej Rzeszy milion trzydzieści tysięcy Niemców, osiedlonych od pokoleń w różnych państwach Europy ze Związkiem Radzieckim włącznie. Z chwilą przybliżania się frontu do dawnych granic Rzeszy rozpoczęła się masowa i bezładna ewakuacja cywilnej ludności nie-

---

3 „La Libre Belgique" nr 152, 1.6.1969.

mieckiej. W październiku 1944 r. opuściło ówczesne Prusy Wschodnie 600 tysięcy osób, co stanowiło 25% ludności tego obszaru. W okresie od stycznia do maja 1945 r. ewakuowano drogą morską przez Bałtyk ponad 1 300 000 cywilnej ludności, Śląsk opuściło około 3 200 000 Niemców. Dzika ewakuacja pochłaniała olbrzymie ofiary, których nikt już nie ewidencjonował. Dla ilustracji wystarczy fakt, że w straszliwej katastrofie na Zalewie Wiślanym, która kosztowała życie pół miliona ludzi, cywile stanowili co najmniej połowę tej cyfry.

Tymczasem gdy w kilka lat po wojnie przystąpiono do opracowania bilansu ludności niemieckiej, zaliczono różnicę pomiędzy stanem ilościowym ludności b. niemieckich ziem wschodnich a liczbą znajdujących się w Niemczech przesiedleńców do t. zw. *Vertreibungsverluste* — strat wskutek wysiedlenia [4]. Przesiedlenie Niemców dokonane w Polsce na podstawie uchwał poczdamskich i pod nadzorem władz alianckich było tylko dokończeniem procesu, który Niemcy w ostatnich miesiącach wojny sami zapoczątkowali. Zdarzające się tu i ówdzie wykroczenia jednostek nie zmieniają faktu, że wysiedlenie przeprowadzane było nieporównywalnie humanitarniej, niż najsprawniej nawet przebiegająca ewakuacja własnych obywateli przez władze hitlerowskie. Ta prawda jest zresztą także znana w NRF. Straszydło krzywdy funkcjonuje jednak jako odruch zabezpieczający przed uznaniem faktów, których nie chce się uznać za realne. Po I wojnie światowej Niemcy również nie przyjęły do swej politycznej i narodowej świadomości „dyktatu wersalskiego" i konsekwencji przegranej. Toczyły uporczywą walkę ze status quo, która zakończyła się wiadomym wynikiem. Dziś jest inna sytuacja. Ale jeśli kwestia niemiecka ma przestać istnieć i dla Niemców i dla ich sąsiadów, z arsenału działania i myślenia należy wyrzucić narzędzia, które nie tylko niczemu nie służą, ale uniemożliwiają zadanie podstawowe: odbudowanie zaufania do narodu niemieckiego.

Celowi temu, i szczególnie likwidacji drażliwego psychologicznie kompleksu krzywdy, służyć może rozumnie prowadzony dialog. W tej myśli i z tą nadzieją powstał niniejszy numer.

Mieczysław Pszon

---

[4] Wyczerpująco omawia ten problem znakomita książka Stanisława Schmitzecka *Przeciw fałszerstwom*, Warszawa 1966, ZAP.

ANNA MORAWSKA

„INNE NIEMCY“ W TRZECIEJ RZESZY *

1. HORYZONTY

Obiektywna, historyczna rola pozakomunistycznych kół przeciwników Hitlera, w latach 1933—1945, jest dość jednoznaczna: niepodobna, w politycznym rozumieniu w każdym razie, nazwać ich „ruchem oporu", gdyż aż do końca, aż do tragicznego zamachu z 20 lipca 1944, w niczym się w praktyce Hitlerowi nie oparły i żadnej czynnej z nim walki nie prowadziły. Ich działalność sprowadzała się bądź do wymiany informacji i planów „na po wojnie", bądź też — w wypadku środowisk zgrupowanych wokół Becka, Ostera i Goerdelera — do prób organizowania rozmaitych kolejnych przewrotów, do których nigdy nie dochodziło. Jedyny zrealizowany wreszcie czyn polityczny, zamach lipcowy, nazwać trzeba raczej desperacką obroną honoru Niemiec, niż walką z hitleryzmem, który wszakże, w roku 1944, był już i tak skazany na nieodwołalną klęskę, i zamachowcy wiedzieli o tym.

Prócz obiektywnych, aposteriorycznych bilansów historii, istnieć może jednak inny ogląd zdarzeń. Wymaga on cofnięcia się wyobraźnią w subiektywne „teraz" lat trzydziestych i czterdziestych w Niemczech, a więc w duchowy horyzont, w którym ani nadchodzące dzieje, ani prawdziwe, „meta-polityczne" wymiary tego, co się działo, nie mogły być tak, jak dziś, przejrzyste. Ludzie, którzy nosili się z myślą, by podstępnie obalić uwielbianego wodza, bądź w okresie, gdy wiódł on ich ojczyznę od sukcesu do sukcesu, bądź wtedy, gdy rozpętana już wojna zaczynała być dla tej ojczyzny zagrożeniem, ci ludzie — i to trzeba pamiętać — nie stali wobec zadań tak tragicznie prostych jak ruch oporu w krajach pod wrogą okupacją. Ich społeczeństwo było przeciw nim. Przeciw nim długo zdawały się przemawiać różne narodowe racje stanu. Przeciw nim działała też rzec można cała ich kultura:

* Fragment książki p.t. *Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy*, która ukaże się w Bibliotece Więzi.

najgłębiej zakorzenione tradycje polityczne, filozoficzne i religijne Niemiec w ostatnich stuleciach. Przeciw nim wreszcie przemawiał nie tylko cały ten „horyzont czasu", w którym żyli, i z którym musieli się szamotać. Był także „horyzont własny" każdego z nich. Polityczni przeciwnicy Hitlera rekrutowali się w swej większości bądź z arystokracji pruskiej, czy wyższych warstw mieszczaństwa, o zdecydowanie jurydycznej mentalności dygnitarzy dworskich albo państwowych, bądź z kół wojskowych, w których dogmat wierności i posłuszeństwa, nawet quia absurdum, okazywał się nieraz nieprzezwyciężalny, bądź wreszcie ze środowisk chrześcijańskich intelektualistów, których część przedzierała się dopiero z trudem ze swego wymoszczonego abstrakcjami światka do realiów konkretnej odpowiedzialności politycznej. E. Bethge słusznie chyba przypomina, że sytuacja „spiskowania" spadła całkiem niespodzianie na ludzi, których pochodzenie i kultura nigdy i pod żadnym względem do niej nie przygotowywały.

Chcąc uprzytomnić sobie subiektywne „teraz" tak zwanych wówczas „innych Niemiec", a także zrozumieć, czemu inność owa była aż tak bezradna, zacząć trzeba od horyzontu najszerszego: od niemieckich tradycji myślenia o polityce. Właśnie one bowiem są dla Polaka czymś najmniej w tej całej sytuacji wyobrażalnym, a więc często w naszym obrazie pomijanym. Tymczasem stanowiły, jak się zdaje, element niezwykle ważny, kto wie, czy nie decydujący.

W starej demokracji germańskiej i w państwie stanowym, prawo do oporu przeciw niesprawiedliwej władzy było ideą bardzo żywą. Świadczą o tym liczne fakty i dokumenty. Trudno prześledzić tutaj dzieje i wielorakie przyczyny jej zanikania. W każdym razie, w ostatnich stuleciach, już jej w szerszym poczuciu moralno-prawnym nie znajdujemy. W Niemczech zdarzały się rebelie. Rewolucji, tej skali w każdym razie co francuska czy angielska, nigdy nie było. Była nieobecna w tej kulturze de facto i — co nie mniej ważne — też de jure, to znaczy nie istniała również w formie uprawnionej w powszechnym poczuciu prawnym możliwości politycznej. Oczywiście każdy wie, że na ziemi niemieckiej żyło wielu obrońców prawa do zbrojnego nawet oporu przeciw niesprawiedliwej władzy, jak Fichte czy Feuerbach, nie mówiąc już o Marksie i Engelsie. Każdy wie, że w roku 1918, niewiele brakowało do zwycięstwa komunistów. Ale właśnie: nawet ruch o sile Spartakusa przegrał w końcu, i to w warunkach ze wszech miar przecie rewolucji sprzyjających. Złożyło się na to oczywiście wiele powodów. Jednym z nich był chyba jednak opór samej mentalności niemieckiej. Była ona, jak na Europę, szczególnie głęboko

tym oporem przesycona, i nic dziwnego: zarówno za czasów cesarstwa, jak potem także republiki wejmarskiej, myśl prawna, którą w praktyce realizowano, której wszędzie uczono, i która przyjęła się jako potoczna filozofia życia była oczywistym i — w naszym odczuciu — wręcz nieprawdopodobnym kultem władzy, jaka by nie była.

Głównymi patronami tego myślenia byli oczywiście Kant i Hegel. Etyka Kanta opróżniała w praktyce moralny kodeks jednostki z wszelkich treści: ocena czynu zależała wszak tylko od czystości woli „wypełnienia obowiązku dla obowiązku i bez względu na to, jakim celom działanie takie może służyć” (*Metaphysik der Sitten*). Był wprawdzie „imperatyw kategoryczny”. Ale — jak pisał Hegel: „nie ma rzeczy, która by takim sposobem nie mogła stać się prawem moralnym”.

W tym kontekście poglądy Kanta na stosunek do władzy nie są trudne do odgadnięcia. Warto jednak uprzytomnić sobie choćby małe ich próbki, w dosłownym brzmieniu:

„Gdy jakiś naród stwierdzi z największym stopniem prawdopodobieństwa, że pod określonym, obecnie istniejącym ustawodawstwem szczęśliwość jego ponosi szwank, cóż ma czynić? Czy nie powinien stawiać oporu? Odpowiedź jest tylko jedna: nie ma nic do zrobienia, prócz słuchania.

Wynika stąd: że wszelkie sprzeciwianie się najwyższej władzy i najwyższemu prawodawcy, wszelkie podżeganie do tego, by niezadowolenie poddanych przeszło w czyn, wszelkie powstawanie wybuchające rebelią jest najwyższą i najbardziej karygodną zbrodnią w życiu publicznym, gdyż niszczy jego podwaliny. Zakaz ten jest też bezwarunkowy, tak że nawet jeśli władza czy jej funkcjonariusz w postaci głowy państwa naruszy pierwotną umowę i w rozumieniu poddanych utraci prawo bycia ustawodawcą, gdyż upoważnia rząd do postępowania wręcz zbrodniczego (tyrańskiego), to i wtedy wszelki opór, jako odpowiedź gwałtem na gwałt pozostaje poddanym niedozwolony” [1].

Może jednak władza zdobyta oszustwem i przemocą (pomyślmy o latach trzydziestych w Niemczech...) na aż taką nienaruszalność nie zasługuje? Największy, obok Hegla, patron nowożytnej niemieckiej myśli politycznej tak swych rodaków pouczał:

„Źródło władzy najwyższej jest dla podporządkowanego jej ludu, ze względów praktycznych, niebanalne: znaczy to, że poddany nie powinien aktywnie mędrkować na temat owego źródła, jako mo-

---

1 Immanuel Kant, *Ueber den Gemeinspruch*, (1793), *Gesammelte Schriften*, Lipsk 1919, Band IV.

gącego być jeszcze podanym w wątpliwość prawa władzy do należnego jej posłuszeństwa. Lud (...) nie może i nie powinien mieć innych poglądów niż aktualna głowa państwa. Czy pierwotnie nastąpiła faktycznie umowa podporządkowania się przezeń tej głowie, czy też najpierw była przemoc, a potem prawo i czy ta czy tamta kolejność rzeczy powinna była raczej nastąpić, są to wszystko mędrkowania całkiem dla ludu bezcelowe, a stanowiące zagrożenie dla państwa. (...) Prawo, które samo w sobie jest tak święte (nienaruszalne), że jest już zbrodnią dopuścić nawet na chwilę co do niego wątpliwość, zawieszając tym samym na ów moment jego efektywność, musi przedstawiać się ludziom tak, jakby nie pochodziło od człowieka lecz od jakiegoś nieskalanego, najwyższego prawodawcy, i to jest sens zdania, że 'wszelka władza pochodzi od Boga'. Zdanie to nie orzeka jakiegoś źródła historycznego, lecz zasadę praktycznego rozumu: ma się słuchać istniejącej władzy, skądkolwiek by się wzięła" [2].

Władza jest więc istotnie kategorią zgoła metafizyczną, a w każdym razie tak należy ją w praktyce traktować. Kant, jak słychać, sam się wcale od tego nie uchylał, a przeciwnie, jego współczesnych frapowała nawet gorliwość, z jaką biegł zawsze ze swymi dziełami przede wszystkim i całkiem dobrowolnie do cenzury. Uważał, że:

„Byłoby rzeczą wręcz śmieszną chcieć się uchylać od posłuszeństwa wobec zewnętrznej najwyższej woli, dlatego iż ta, rzekomo, jest nierozumna. Właśnie na tym polega prestiż rządu, że nie pozostawia on poddanym swobody sądzenia o tym, co słuszne, a co niesłuszne, według pojęć własnych, lecz tylko według przepisów władzy" [3].

Według Kanta, którego poglądy najgłębiej chyba przeniknęły niemieckie poczucie prawne, i do dziś dnia, mimo wszystko co zaszło, można bez trudu rozpoznać ich ślady w publicznych dyskusjach o latach hitleryzmu i w motywacjach niejednego wyroku sądowego, władcy są też bezkarni zawsze, nawet gdy już władzę mieć przestali, a targnięcie się na nich jest czynem niewybaczalnym, „wołającym o pomstę do Boga"... Oto jeszcze jeden tekst, ilustrujący horyzont tradycji, w jakim rozgrywały się lata hitleryzmu w Niemczech:

„Lud nie ma nigdy najmniejszego uprawnienia karać władcy za jego minione zarządzenia. (...) Spośród wszystkich okropieństw przewrotu państwowego, następującego wskutek rewolty, nawet

---

2 Immanuel Kant, *Die Metaphysik der Sitten*, (1797) Lipsk 1919. Cyt. za: Fritz Bauer, *Widerstand gegen die Stadtsgewalt, Dokumente der Jahrtausende*, Frankfurt/M. 1965.

3 Op. cit.

samo zamordowanie monarchy nie jest jeszcze najgorsze. Można bowiem przyjąć, że lud działa tu może ze strachu, iż monarcha, gdyby został przy życiu, mógłby znowu nabrać otuchy i wymierzyć mu zasłużoną karę. W takim razie morderstwo byłoby posunięciem instynktu samozachowawczego, a nie posunięciem prawnym. Dopiero wykonanie formalnego wyroku śmierci na monarsze jest czymś od czego duszę, napełnioną ideami ludzkich praw, przechodzi dreszcz, i ów dreszcz czuć się musi za każdym razem, ilekroć się pomyśli o losie Karola I czy Ludwika XVI. (...) Jest to zbrodnia, która pozostaje na wieczność i nigdy zmazana być nie może (*crimen immortale, inexpiabile*), czyn w rodzaju tego, co teologowie nazywają grzechem niemożliwym do odpuszczenia ani na tym, ani na tamtym świecie"[4].

Działać ze strachu wolno więc od biedy i się godzi. Strach nie jest znowu tak złą rzeczą, jest w każdym razie, w oczach filozofa niemieckiego, czymś cnotliwszym niż dopuszczenie na moment wątpliwości, czy władza jest praworządna, czy należy jej słuchać i czy nie trzeba czasem (*crimen immortale*) pociągnąć jej do odpowiedzialności. A Kant, pamiętajmy, pisał już po rewolucji francuskiej (1789), po konstytucji USA (1787, *We, the People...*), po powstaniu kościuszkowskim w Polsce. Na pieczęci stanu Wirginia, za oceanem, widniał już napis: „Opór przeciw tyranii jest posłuszeństwem Bogu". Uniwersał połaniecki za miedzą zapewniał wolność „nawet" chłopom...

Mentalność niemiecką, która w latach trzydziestych miała stanąć w konfrontacji z hitleryzmem, kształtował jednak jeszcze drugi wielki patron: Hegel. Do panteonu nietykalnych bogów Władzy i Prawa dodał on następny absolut: Państwo i napisał o nim istną summę teologiczną. Państwo nie było po prostu strukturą społeczną, winną służyć sprawnemu i swobodnemu życiu jednostek, lecz nieuniknioną i najwyższą postacią „ducha obiektywnego", tak że jednostka, wraz ze swymi interesami i pragnieniami, była mu całkowicie i pryncypialnie podporządkowana. Państwo było też czymś naprawdę już na kształt bożka, i to osobowego: ucieleśniało zbiorowego ducha, zbiorową wolę, zbiorowy rozum... Można powiedzieć o nim, podobnie jak Feuerbach o Bogu, że zostało mu przypisane wszystko, co należało się indywidualnemu sumieniu i tym samym sumienie owo zostawało do reszty zwolnione z wolności i z odpowiedzialności. Jednostce nie przysługiwało oczywiście prawo bronienia się przed państwem przemocą, cokolwiek by owo państwo robiło. „Insurekcja (...) nie może mieć miejsca. Taka czysta

---

[4] Op. cit.

przemoc płynie bowiem z prywatnej woli jednostek, nie można więc jej określać jako wola zbiorowa" [5].

Państwo hegeliańskie stało też ponad moralnością. Obowiązujący był dlań wyłącznie instynkt samozachowawczy: „Dobro państwa ma całkiem inne uprawnienia niż dobro jednostki. Prawem dla państwa (...) nie jest coś abstrakcyjnego, tylko jego własne istnienie, i tylko wzgląd na to konkretne trwanie, a nie różne potoczne idee, uważane za przykazania moralne, stanowi zasadę jego działania i postępowania" [6].

Poglądy i praktyki polityczne, które w Anglii, USA czy też w Polsce wymieniać już można było tylko ze wstrętem, i z których każdy władca czy działacz musiał się oczyszczać, na pokaz przynajmniej, stawały się więc w tym samym czasie w Niemczech pozytywną „filozofią życia". Najsłynniejsi niemieccy myśliciele konstruowali je z całą powagą i jawnie w prawno-etyczne systemy, a społeczeństwo wsysało chętnie ich zasady podstawowe we wszystkie komórki swego publicznego działania i w samą tkankę potocznych sposobów myślenia. W dziełach historyków i pedagogów, w orzecznictwie sądowym, w teologii, w podręcznikach szkolnych i różnorakich dokumentach mentalności i reakcji szarych ludzi przeważał, aż do drugiej wojny w każdym razie, duch Kanta i Hegla.

Czy tak być musiało? Społeczeństwo niemieckie mogło — jakby się zdawało — wybrać inaczej. W jego niezwykle płodnej kulturze osiemnastego i dziewiętnastego wieku były wszak liczne inne nurty. Czasem, w chwilach uniesień czy zbyt już dojmującej niedoli, budziły sympatię, zdawały się zwyciężać... Ale nie zwyciężały nigdy. Lud niemiecki wracał z uporem do swych dziwnych, mrocznych kultów, niewiadomo: z jakiejś chorobliwej żądzy *ordnungu* doskonałego, z jakiejś hybris, z którą już Luter walczył w wieży, zanim pojął, że nie godzi się człowiekowi i nie trzeba próbować być doskonałym jako sam Bóg? Czy też — jak mówią inni — z infantylnego w gruncie rzeczy pożądania bezpieczeństwa, jakie zawsze jest w ładzie, w służeniu, w formalistycznej czci władzy i prawa, zwalniającej od odpowiedzialności? Wszak największy poeta Niemiec i wolności zresztą, Goethe — nawet Goethe mówił, że „lepsza krzywda niż nieporządek"... Czy może grała tu jakąś rolę często opisywana, osobliwa „niemożność" umysłowości niemieckiej,

---

5 Georg Wilhelm Friedrich Hegel, *Ueber die wissenschaftlichen Behandlungsarten des Naturrechts*, (1802—3). *Jeneser Logik, Metaphysik und Naturphilosophie*, Berlin 1968.

6 Georg Wilhelm Friedrich Hegel, *Grundlinien der Philosophie des Rechts oder Naturrecht und Staatswissenschaft im Grundrisse*, (1821). *Saemtliche Werke*, Stuttgart 1938, Band VII, zweite Auflage.

niezdolnej nigdy zaufać, jak Anglosasi, prostym, trzeźwym, wszystkim znanym prawdom zdrowego rozsądku, i uciekającej z ciemną, niebezpieczną pasją od rzeczywistego życia — w zawiłe abstrakcje, mające owym życiem zawładnąć czy chronić przed nim? Pogarda Hegla dla faktów była jak wiadomo niebotyczna. Niebotyczna w tym sensie także, że w swoim czasie, niesyt systematyzowania ziemi, wziął się także do zjawisk astronomicznych i wyspekulował najdokładniej, jak muszą przebiegać najbliższe odkrycia. Gdy przebiegły inaczej, już w tym samym roku, i zwracano mu na to uwagę, odpowiadał: „tym gorzej dla przyrody".

Trudno dojść, co jest jądrem niemieckiej „niemożności". Pewne jest jednak, że jest coś spętanego, niezdrowego, coś jak kompleks w reakcjach etycznych i w samym spontanicznym biegu rozumowania Niemców. Nie tylko zresztą cudzoziemcy tak to odczuwają, skoro jeszcze Hoelderlin pisał o swych rodakach, nazbyt już chyba okrutnie, że boją się życia i siebie i dlatego ich cnoty „są jaskrawym złem, bo są w istocie tylko wymuszone tchórzliwą trwogą, wyciśnięte niewolniczym znojem z pustego serca..." [7].

A może, całkiem po prostu, jest tak, jak mówił George Clemenceau: „zasadą państwa obywatelskiego jest praworządność, wolność i sprawiedliwość, a dyscyplina, rozkaz i posłuszeństwo to zasady społeczeństw militarnych"? Wielcy patroni nowożytnej mentalności niemieckiej żyli wszak i pisali w państwie pruskim, i niedarmo Hegel mówił, że „to, co jest rzeczywiste — jest rozumne". Rzeczywisty był wtedy Fryderyk Wilhelm III. Rozumne było więc przenajświętsze i nietykalne państwo typu wojskowego. Różne potem były w Niemczech systemy, różni władcy, ale rzeczywistość zasadniczo agresywnego, ekspansywnego państwa podbojów pozostała. Specyficzna dlań rozumność, czyli świadomość miała więc istotnie zawsze — by sparafrazować marksizm — swój „polityczny byt", który ją określał.

Chyba wszystkie te elementy, i sto innych jeszcze, składały się na swoiste curiosum, jakim stały się Niemcy w ciągu ostatnich dwu stuleci. Leżąc w samym środku wolnościowej Europy, były w istocie, w swym kulcie samych form prawnych i stosunków władzy, bez względu na ich moralne treści, podobniejsze na przykład do Japonii niż do któregokolwiek z sąsiadów. I nie dlatego tak się działo, że filozofia i literatura nie pełniły w nich wcale swej roli *in tyrannos*, roli demokratycznej, lecz dlatego, że poczucie prawno-etyczne społeczeństwa demokratycznym się nie stało, na-

---

7 Friedrich Hoelderlin, *Hyperion* (1797), *Saemtliche Werke*, Lipsk 1915—1926, Band II.

wet wtedy, gdy zapanowała już formalna demokracja republiki wejmarskiej.

„Ręce za lud walczące" obcinał więc w Niemczech istotnie „sam lud", gdyż czyniono to najczęściej za jego zgodą, więc też szybciej i bardziej gruntownie niż gdzie indziej. Jest piękne i gorzkie opowiadanie Heinego, które odmalowuje lepiej niż wszelkie relacje losy literatury protestacyjnej w jego ojczyźnie:

...„Opowiem jeszcze jedną historię, to historia z życia Karola V. (...)

Biedny cesarz został wzięty przez wrogów do niewoli i siedział w ciężkim areszcie. Było to zdaje się w Tyrolu. Siedział tam więc samotny i zasmucony, porzucony przez rycerzy i dworaków i nikt nie przychodził mu z pomocą... Aż nagle otworzyły się drzwi więzienia i wszedł zakapturzony człowiek, a gdy zrzucił płaszcz, cesarz poznał, że to jego wierny Kunz von der Rosen, błazen dworski. To on pospieszył mu z pociechą i radą, a był dworskim błaznem.

— O niemiecka ojczyzno, drogi niemiecki ludzie, oto ja — twój Kunz von der Rosen. Oto człowiek, którego właściwym rzemiosłem jest krotochwila i tylko bawić cię winien w dobrych czasach, lecz patrz, wciska się do twego więzienia w chwili niedoli. Tu, pod płaszczem, niosę ci twe potężne berło i piękną koronę, czy poznajesz mnie, mój cesarzu? Skoro nie mogę cię uwolnić, będę cię przynajmniej pocieszał, boć powinieneś mieć przy sobie kogoś, kto z tobą pogwarzy o doskwierających utrapieniach i doda ci otuchy, i kto cię kocha i swój najlepszy żart, z krwią serdeczną, w twoją oddaje służbę. Bo to ty, ludzie mój, jesteś przecież prawdziwym cesarzem, prawdziwym panem tej ziemi, to twoja wola jest bardziej suwerenna i uprawniona niż tamto *tel est notre plaisir* purpuratów, co powołują się na prawo boskie, bez żadnej wszakże poręki, innej niż brednie wystrzyżonych kuglarzy. To twoja wola, mój ludzie, jest jedynym praworządnym źródłem wszelkiej władzy.

— Kunz von der Rosen, mój błaźnie, zgubiłeś dzwoneczki od czapki, i coś dziwnie ona teraz wygląda, ta twoja czapka, taka czerwona...

— Ach, cesarzu, kręciłem przecząco głową, z powodu twojej niedoli, tak wściekle i tak serio, że odpadły błazeńskie dzwonki; ale czapka nie jest przez to gorsza.

— Kunz von der Rosen, błaźnie, ale co to tak tam pęka i trzeszczy na dworze?

— Uspokój się. To piła i siekiera drwala, już niedługo runą bramy więzienia, będziesz wolny, mój cesarzu!

— Więc jestem cesarzem rzeczywiście? Och, ale to tylko błazen mi to mówi.

— Nie wzdychaj, ukochany mój panie, to powietrze więzienne czyni cię tak trwożliwym. Dopiero jak odzyskasz twą władzę — poczujesz w żyłach krzepką, cesarską krew. I będziesz wtedy dumny jak cesarz, i zuchwały, i protekcjonalny, i niesprawiedliwy, i roześmiany, i niewdzięczny, jak to książęta.

— Kunz von der Rosen, mój błaźnie, ale jak będę już wolny — cóż ty z sobą poczniesz?

— Przyszyję sobie wtedy nowe dzwoneczki do mojej czapki.

— A jak mam wynagrodzić twoją wierność?

— Cóż, drogi mój panie — nie każ mnie zabić" [8].

Taki więc mniej więcej był horyzont tradycji, w którym żyli ludzie, idący, nie wiedząc o tym (lub już wiedząc? lub wiedzieć nie chcąc?), naprzeciw Trzeciej Rzeszy. Nie mogli się z niego wyzwolić. Był wszędzie. Znajdujemy go nieraz w samym jądrze wydarzeń politycznych, które decydowały o wszystkim może, a rozbijały się o jedną „niemożność" niemiecką. Znajdujemy go w typie prawości przeciwników Hitlera, jurydycznej, doktrynerskiej prawości, która musiała wszak być bezradna. Znajdujemy go w zapisach osobistych, wewnętrznych zmagań zdecydowanych opozycjonistów, jak Dietrich Bonhoeffer, i we wstępnych konfliktach niejednego z późniejszych zbrodniarzy wojennych.

Oto, już u progu dramatu, rok 1932, dokument spośród stu innych. Podręcznik prawa państwowego, w którym wyczuć można wyraźnie, że autorzy wiedzą już, czym grozi NSDAP i że napełnia ich to troską. A ich wnioski w kwestii „obowiązku sędziego stosowania niesprawiedliwych praw" są takie:

„Gdyby jednak nastąpił wypadek, że jakaś norma prawodawcy nie byłaby już wcale zamierzona jako *rebus sic stantibus* sprawiedliwa i powszechnie użyteczna, to czy wtedy taka ustawa nie ustanawia jednak prawa? Czy sędzia nie jest zobowiązany do jej stosowania? — Jest w rzeczy samej!

Jakkolwiek bowiem władza ustawodawcza, ze względów prawnych, nie powinna poczynać sobie despotycznie, i wydawać niesprawiedliwych, niemoralnych i nierozumnych norm, to jednak może to czynić w tym sensie, że gdy je wyda — są normą prawną.

Można sobie wyobrazić, że jakieś stwierdzenie prawa wyda mi się całkowicie nieuprawnione, bądź dlatego, że z powodu swej odpychającej dla mnie treści będzie w moim odczuciu nikczemne (niesprawiedliwe, niemoralne), bądź dlatego, iż mam przeświadczenie, że pochodzi z despotycznych motywacji (na przykład z par-

---

[8] Heinrich Heine, *Englische Fragmente*, *Schlusswort* (1830), *Werke in fuenfzehn Teilen*, Berlin 1908, Teil 7, *Reisebilder*.

tyjnej nienawiści). Również takiej normie, póki władza państwowa utrzymuje ją w ważności, muszę przyznać, że w formalnym sensie tego słowa jest postanowieniem prawa i przyznać jej to muszę nawet, gdy *in foro interno* i w świetle każdego innego ideału, związanego z pojęciem sprawiedliwości, nazywam ją normą przemocy i ustawową krzywdą. Także gdy moje sumienie moralne popycha mnie do nieposłuszeństwa, do nawoływania do nieposłuszeństwa, nawet do rebelii, to wciąż jeszcze muszę przyznać, że tak służąc 'prawu' (w jednym sensie tego słowa) naruszyłbym jednak w innym sensie prawo pozytywne" [9].

2. ŚWIAT SPISKOWCÓW

Odróżniali się od współczesnych, a jednak trwali w horyzoncie czasu, ze wszystkimi jego złudzeniami, oraz każdy w horyzoncie własnym, który nigdy i nigdzie nie może być wolny od złudzeń.

Hanna Malewska, *Panowie Leszczyńscy*

W gabinetach ministerstw, w sztabach wojskowych, w centralach związkowych i socjaldemokratycznych, w różnych frakcjach ruchów młodzieżowych, spiętrzano nerwowo abstrakcje prawne, koncypowano kilometrowe memoriały i knuto rozmaite arcyposunięcia w parlamentarnej grze, dzięki którym, jak to twierdził Hindenburg, „Hitlera zrobi się co najwyżej ministrem poczty i ani kroku dalej", a potem wyroluje go się, zgodnie z normami prawnymi ma się rozumieć. W okresie przed ostatecznym przejęciem władzy, NSDAP miała już wprawdzie spektakularne poparcie drobnomieszczańskich i młodzieżowych tłumów, które umiała rozhisteryzować, oraz dużej części skrajnej prawicy i wielkiego kapitału. Lecz miała dużo, więcej niż się czasem mniema, niewątpliwych przeciwników, i to w kołach elit, a więc ludzi mających wciąż duże możliwości. Pogląd, że Hitlera trzeba dopuścić do udziału w rządzie tylko po to, by go potem zręcznie usunąć, dzielili wszak von Hugenberg, Papen, Seldte, nawet socjaldemokrata Breitscheid. Fuehrer miał przez cały czas, aż do końca, bardzo wielu wrogów w kołach politycznych i w administracji, w sądownictwie, w wojsku, wśród arystokracji, na uniwersytetach...

Tylko że w początkach roku 1933 wszyscy ci ludzie bądź właśnie

---

9 Richard Thoma, *Die Funktionen des Staatsgewalt*. In: G. Anschuetz, R. Thoma, *Handbuch des deutschen Staatsrechts*, Tuebingen 1932.

koncypowali memoriały, bądź snuli wąskie rachuby międzypartyjnych strat i zysków, bądź wreszcie, widząc jak bardzo niesmaczna jest polityka, dopuszczająca tak wulgarne zjawiska jak NSDAP i cały ten w ogóle nieporządek — umywali od niej wzniośle ręce, z „kategorycznego imperatywu" oczywiście. Tymczasem fuehrer zbroił swe bojówki, które terroryzowały urzędników i społeczeństwo, fałszowały przemocą wybory, osadzały w aresztach zbyt hałaśliwie *protestujących i montowały psychozę hańby i zagrożenia narodu niemieckiego. W styczniu 1933 r. był już tymi sposobami* Kanclerzem Rzeszy. Ale i wtedy jeszcze można było działać, gdyby umiano zjednoczyć siły wokół jakiejś jednej, wspólnej racji, wyższej niż grupowo-partyjne interesy i jurydyczne kulty czy rutyny i gdyby rację ową dało się przeciwstawić z całą ideową i uczuciową mocą demagogii szowinistycznego militaryzmu. Otóż racją taką, jak się wydaje, mogły być w tej sytuacji tylko elementarne wartości demokratyczne, bazujące na wolności i odpowiedzialności jednostek i stawiające pokój ponad dążeniami do ekspansji. Mogły, gdyby miały jakąkolwiek szansę znalezienia szerszego oddźwięku w niemieckim społeczeństwie, i gdyby — co nie mniej ważne — były naprawdę żywe dla samych przeciwników Hitlera. Nie było tak jednak. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że — jak to podkreśla wielu historyków — prawdziwego momentu przełomu, to znaczy zarządzenia z dnia 28 lutego 1933, które (po pożarze Reichstagu) likwidowało bez reszty wszelkie prawa i swobody obywatelskie — prawie w Niemczech nie zauważono. Wprowadzenie już w praktyce państwa policyjnego nie wywołało większych sprzeciwów, nawet w kołach od początku i konsekwentnie wobec Hitlera opozycyjnych. A zarządzenie mówiło wszak wyraźnie, że aż do odwołania (przez Hitlera) „dopuszczone zostają ograniczenia wolności osobistej, wolności słowa, włącznie z wolnością prasy, wolności związków i zgromadzeń, jak też łamanie tajemnicy korespondencji i telekomunikacji, rewizje, konfiskaty i ograniczenia mienia, wszystko to bez obserwowania odnośnych, obowiązujących dotąd przepisów".

Z wielu wspomnień i dokumentów owych lat, widać jak ludzie, niezmiernie nawet z różnych względów stroskani awansowaniem NSDAP, i nieustannie rozważający sposoby przeciwdziałania, tym zarządzeniem rzeczywiście specjalnie się nie interesują, ani nie odnoszą się doń krytycznie. Nie interesują się, choć jednocześnie zaczynają ściszać głosy i zamykać okna przy nazbyt politycznych rozmowach... Czyżby więc wciąż Kant? Czyżby strach wydawał się rzeczą normalniejszą i godziwszą niż „zakwestionowanie na moment" samej zasady antydemokratycznej władzy? W każdym

razie ludzie, którzy już się bali, nie zdawali się sądzić, że w samej tej sytuacji jako takiej jest jakiś problem pryncypialny.

Naród niemiecki, wyborami z dnia 5 marca 1933, wyraził duże poparcie dla Hitlera, razem z jego zarządzeniem o „ochronie ludu i państwa". A przecież, wciąż jeszcze, było to tylko 44% głosów na NSDAP... W ministerstwach, urzędach i partyjnych centralach kontynuowano różne knowania i przetargi, pod koniec już szeptem, bo 21 marca wyszło dodatkowe prawo o „zdradzieckich złośliwościach", grożące sankcjami za wypowiadanie czy szerzenie poglądów szkodliwych dla dobra kraju i dla prestiżu rządu lub partii. Również to prawo nie zdawało się jednak niepokoić pryncypialnie kogokolwiek poza nieliczną autentyczną lewicą, gdyż nie o wolność w istocie ani o demokrację szło większości ówczesnych kunktatorów, tylko o to, żeby nie Hitler właśnie z takich zarządzeń korzystał, lecz raczej już oni sami. Społeczeństwo zaś, szkolone od stuleci w kulcie władzy, było teraz tym bardziej gotowe podporządkować się jej, najdokładniej według Kanta, że znużono je już i zastraszono do ostateczności ciągłym spektaklem *crimen inexpiabile*, jakim były rebelie i zamieszki.

W ten więc sposób uzyskanie dyktatury przez Hitlera, w dniu 28 marca 1933, udało się nie dlatego bynajmniej, że nie miał przeciwników osobiście, tylko dlatego, że ich faktycznie w Niemczech nie miała idea i praktyka państwa totalnego. To też spowodowało, że ani w społeczeństwie w jego masie, ani we wpływowych kołach opozycyjnej elity, nie było ideowego „punktu Archimedesa", na którym mogłaby się oprzeć jakaś szeroka, efektywna opozycja. Swych rozbitych i pozbawionych zarówno koncepcji jak chwytnych kontr-haseł przeciwników Hitler przechytrzył już łatwo. Nie spodziewali się, być może, że decydująca w historycznym głosowaniu katolicka partia Centrum (której wielu przedstawicieli dzieliło wszak pogląd, że trzeba dać Hitlerowi trochę władzy, a potem go wymanewrować) zgodzi się tak bez zastrzeżeń na jego dyktaturę, w zamian za obietnice różnych dla Kościoła korzyści. Nie spodziewali się też z pewnością (może ich jurydyczna wyobraźnia wcale nie była do tego zdolna?), że wydane i przyjęte bez oporu zarządzenia antydemokratyczne zostaną natychmiast, z całym cynizmem zawartego w nich bezprawia, zastosowane do nich osobiście. Gdy już Hitler, w oparciu o nie, „przygotował" dzień uchwalenia swych pełnomocnictw, aresztując po prostu niepożądanych posłów, likwidując partię komunistyczną (której głosy uniemożliwiłyby mu uzyskanie konstytucyjnej większości) i obstawiając swymi bojówkami salę obrad, za późno było rzecz prosta na analizy, gdyż jedynowładztwo fuehrera była praktycznie przesądzone.

I wtedy zresztą, w większości środowisk opozycyjnych, za właściwe zło uważano to, że zwyciężył właśnie Hitler i że naruszone zostały przepisy parlamentarnej gry. Do dziś dnia datą przyjętą za sam początek katastrofy jest w opracowaniach zachodnio-niemieckich właśnie ów sławetny dzień pełnomocnictw (Ermaechtigungsgesätz, 24. 3. 1933), nie zaś dzień, w którym niemieccy obywatele przestali być ludźmi wolnymi. O tym, do jakiego stopnia cały ten ciąg przyczynowy uszedł uwadze również kół przeciwników Hitlera, świadczą zapisy wielu opozycjonistów, którzy dali potem ostateczne nawet dowody subiektywnej dobrej wiary, ponosząc śmierć za swe przekonania, a którzy dość zgodnie twierdzą, że początek dyktatury przeżywali jak „nagłą okupację", do której nie byli przygotowani ani praktycznie, ani ideowo.

Ta bezradność ideowo-polityczna okazała się istotnie bardzo szybko zupełna. Zdarzały się, to prawda, jednostki, które zdobywały się na piękny, jasny protest, wiedząc, że przyjdzie im za to drogo zapłacić, jak konserwatysta-arystokrata Ewald von Kleist, czy socjalista Ernst Niekisch (który zresztą uratował raz Kleistowi życie, chowając go u siebie w domu), czy niezłomny teolog Soli Deo Gloria — Karl Barth czy Otto Wels, przywódca socjaldemokratów, który na ostatnim posiedzeniu Reichstagu przeciwstawił się w imieniu swej partii ostro pełnomocnictwom (już w istocie przesądzonym) mówiąc, że „można nam odebrać życie, ale nie honor".

Były też bohaterskie i patetyczne w swej „niemieckości" właśnie akty zwykłych, szarych ludzi. Jak na przykład Anton Schmaus, 23-letni chłopak z robotniczej rodziny w Koepenick. Ta dzielnica Berlina, jako siedziba „zdradzieckich elementów lewicowych" była w czerwcu 1933 r. terenem nieustannych krwawych rajdów i łapanek SA. Schmaus, ostrzeżony pewnego dnia na dworcu, aby nie wracał do domu, gdyż bojówki oprawców już go tam szukały, odpowiedział, że „ma dosyć bezprawia" i sam nic takiego popełniać nie będzie. Kiedy w nocy oddziały SA wdarły się rzeczywiście do domu, maltretując już u drzwi matkę Antona, zażądał on, aby wyszli, gdyż inaczej ma prawo strzelać, „w obronie koniecznej". Gdy to nie pomogło, chwycił rewolwer i ranił śmiertelnie trzech napastników, po czym wyskoczył oknem i oddał się naturalnie dobrowolnie w ręce policji. Policja zresztą — rzecz charakterystyczna i w owym czasie jeszcze możliwa — nie chciała go wydać hitlerowskim szturmówkom i pod osłoną kilkudziesięciu własnych ludzi próbowała odstawić do swej komendy głównej. Oddziały SA otoczyły jednak kordon strzelając do Schmausa; został on ranny w kręgosłup, tak że umarł w szpitalu policyjnym, w styczniu 1934 r.

Różne fakty tego typu zdarzały się w Niemczech przez cały czas. Były to jednak wszystko czyny inspirowane indywidualną etyką, zasługujące niewątpliwie na najwyższy szacunek, lecz przecie nie będące ani faktycznie, ani w zamierzeniu posunięciami, zmierzającymi do jakiejś konkretnej zmiany *status quo*. Nie można więc ich nazwać działalnością bezpośrednio polityczną, ta bowiem kieruje się przede wszystkim społeczną odpowiedzialnością i politycznymi skutkami czynów.

Istniały też czas jakiś grupy i pisma, stanowiące potencjalne platformy opozycyjnej działalności. Były one kontynuacją starych i zlikwidowanych teraz formalnie organizacji. Dość długo działał na przykład słynny Widerstand Niekischa. Środowiska, bazujące na dawnych kadrach związków zawodowych (jak metalowcy Alwina Brandesa czy tkaczki Elzy Nieviera), utrzymały pewną stałą więź, a nawet kontakty zagraniczne aż do wojny. Także na terenie związków sportowych, chórów, różnych zrzeszeń turystycznych istniały podobne koła. Pewne nielegalne komórki, o kadrowym, a nie masowym już charakterze, tworzyć próbowano wreszcie w szeregach partii socjaldemokratycznej. Rychło jednak najaktywniejsi socjaldemokraci przypłacili swe różne usiłowania śmiercią (jak np. deputowani Stelling, Pfuelf, Biedermann, Husemann czy przewodniczący komitetu berlińskiego Kuenstler). Pierwszy proces nowoustanowionego Trybunału Ludowego zmiótł w roku 1934 dziesiątki lewicowych studentów i młodych robotników, po czym posypały się następne wielkie rozprawy, skazujące z reguły kilkudziesięciu, lub nawet stu oskarżonych na raz. Wszystkie niemal niedobitki dawnych społecznych organizacji (z wyjątkiem działających mimo represji cały czas komórek partii komunistycznej) zostały w ten sposób wcześniej czy później rozgromione. Stało się to tym łatwiej, że do działania na wpół lub całkiem konspiracyjnego nie były praktycznie i duchowo przygotowane, i wciąż nie widziały jasno ani etycznych przesłanek takiej konieczności, ani jej konkretnego programu.

Tutaj zresztą właśnie leżała nieprzezwyciężalna słabość całej pozakomunistycznej opozycji antyhitlerowskiej w ogóle, także w latach, gdy nawiązała ona już szeroką sieć kontaktów i miała znowu całkiem spore możliwości obiektywne. Nigdy nie przezwyciężono w niej głębokich, wewnętrznych oporów przeciw działaniom zasadniczo nielegalnym, a czasem też na pozór antynarodowym, a nie można ich było przezwyciężyć dlatego, że nie istniała żadna koncepcja ideowo-polityczna Niemiec, która mogłaby te tradycyjne postawy zrewidować i przeciwstawić się zarazem antydemokratycznej i agresywnej linii NSDAP. Ta stara, military-

styczna linia pruska, „linia podbojów", która w wypadku Hitlera była tylko przerysowana do patologicznego już szaleństwa, żyła faktycznie w postawach większości opozycjonistów, którzy w gruncie rzeczy właśnie przerysowaniom czy samym metodom się sprzeciwiali, bądź ze względów moralno-honorowych, bądź — częściej — dlatego, że wydawały się niecelowe. Te zaś koła, które serio decydowały się linię pruską odrzucić, jak na przykład Kreisauer Kreis, zaczynały dopiero szukać nowych wizji pozytywnych, a i to z wielu tradycyjnymi obciążeniami. Poza tym były na skutek swych poglądów całkowicie bezradne praktycznie, bo wszelka opozycja skuteczna, w państwie totalnym jak Trzecia Rzesza, musiała opierać się na armii, jako jedynej sile względnie niezależnej i zorganizowanej. Tymczasem wojskowe koła opozycyjne były przeciwnikami Hitlera głównie ze względów właśnie „metodologicznych", nie zaś z powodu jakichś pryncypialnych oporów przeciw linii pruskiej. Bardzo mało komu wśród aktywnych spiskowców przychodziło w pierwszych latach wojny do głowy, że wysiłki zachowania jak największej części zagarniętych bezprawnie przez Hitlera terenów nie są może moralnie oczywiste. Była to dla nich niekwestionowalna racja stanu, stara, pruska linia militarna.

Tak więc sam już start „innych Niemiec" zapowiadał się trudno i jałowo. Theodor Steltzer (związany potem z Kreisauer Kreis) opisuje sytuację w pierwszych latach po „nagłej okupacji" w sposób, który daje dobry obraz i jej samej i charakterystycznych niemieckich reakcji:

„Przejęcie władzy przez narodowy socjalizm było naturalnie ciężkim ciosem dla wszystkich sił opozycyjnych, bo nikt z nas nie był przygotowany na życie w państwie totalnym. Z czasem zaczęły się znów tworzyć różne koła. Także w Reichswehrze występowały już od roku 1937 pewne nurty opozycyjne, i szukano porozumień z politykami. Na ogół jednak trzeba powiedzieć, że do roku 1939 nie dało się osiągnąć nic, co miałoby polityczne znaczenie.

Przyznając praktyczną nieefektywność sił oporu w owych latach, chciałbym krótko zanalizować ówczesną sytuację. Istnieje na jej temat wiele niesłusznych poglądów, gdyż trudno jest wyobrazić sobie codzienną rzeczywistość totalitarnej dyktatury.

Otóż trzeba uwzględnić fakty następujące: nie dysponowaliśmy już żadną siłą, zdolną obalić reżym nazistowski. Reichswehra stała początkowo zdecydowanie za Hitlerem. Strajki i demonstracje były wykluczone, bo rozwiązano wszelkie organizacje, i nie istniała możliwość żadnych organizacyjnych przygotowań. Koła opozycyjne nie miały żadnego przewodnictwa, gdyż wszyscy politycy byli zagrożeni.

Sabotaże i akcje terrorystyczne, po linii anarchizmu lub nihilizmu, były przy panującej perfekcji państwa policyjnego właściwie wykluczone. Nawet gdyby ktoś takie metody akceptował — my na przykład nie akceptowaliśmy ich nigdy — to i tak nie dysponowano ludźmi, którzy umieliby się obchodzić z materiałami wybuchowymi lub mogli je w ogóle zdobyć.

Od myśli o zamachu (na życie Hitlera) byliśmy w swej większości dalecy, dlatego zwłaszcza, że należało się obawiać raczej umocnienia się systemu wskutek tego. Dokonanie go było zresztą możliwe tylko dla bardzo wąskiego kręgu osób, z powodu trudnego dostępu i silnej obstawy.

Wielu przeciwników narodowego socjalizmu tak wierzyło w prawo i praworządność, że nie mogli sobie wyobrazić, aby państwo opanowane przez zbrodniarzy było w ogóle zdolne do życia. Karmili się tedy iluzją, że cały system musi się bardzo szybko załamać, i sądzili, że trzeba odczekać, aż nastąpi samo z siebie jego bankructwo.

Zastępy donosicieli ciągle rosły i zmuszały do największej ostrożności.

W wyniku rozważania wszystkich tych okoliczności dochodzono więc zawsze do przygnębiającego wniosku, że opozycja nie ma żadnych możliwości działania. Dopiero w początkach wojny nastała nowa sytuacja" [10].

*

Narastała ona, ściśle mówiąc, wtedy, gdy w kołach wojskowych, w ministerstwach i w „stojących blisko dobrze poinformowanych kół" środowiskach polityków, prawników i intelektualistów, zaczęto zdawać sobie sprawę, że wojna, i to światowa, robi się nieunikniona. Opozycja antyhitlerowska, którą nazwać można polityczną, bo próbowała w każdym razie dokonać konkretnych ingerencji w bieg zdarzeń, orientowała się w swej większości na Zachód, to znaczy uważała, że należy i można ułożyć się z państwami zachodnimi co do zamierzonej ekspansji na Wschód, i tak dopiero, już bez obawy wojny światowej, realizować roszczenia wschodnie, tyle że nieco mniej wygórowane niż to chciał Hitler. Wojnę światową uważano w kręgach ekspertów wojskowyh i w kołach ekonomistów za szaleństwo, dlatego po prostu, że — jak sądzono — nie będzie można jej wygrać.

Tymczasem fuehrer drażnił niebezpiecznie Zachód agresywnym szantażem militarnym. Jednocześnie, zwalczył wprawdzie bezro-

---

10 Theodor Steltzer, *Von deutschen Politik*, Frankfurt/M. 1949.

bocie, lecz uczynił to kosztem takiego wyczerpania kredytów, że już sama sytuacja gospodarcza stawała się bez wojny nierozwiązywalna. Parł zresztą do niej coraz niedwuznaczniej, wcale tego nie ukrywając i licząc się najwyraźniej całkiem serio z możliwością jej wygrania.

Już od roku 1937, ludzie, którzy byli nadal w elitach władzy lub w ich pobliżu, choć Hitlerowi nie sprzyjali, zaczęli uważać go za niebezpiecznego szaleńca, zarówno w dziedzinie dyplomacji czy ekonomii, jak wiedzy wojskowej. To zaś było już naprawdę sprawą groźną, i tworzyło nową sytuację. O ile przedtem nie cierpiano go po prostu za despotyzm i chamstwo, oraz próbowano czasami sprzeciwiać się (zawsze drogą praworządną) różnym jego nikczemnościom, sądząc wciąż, że rzecz całą się „przeczeka", to teraz, pierwszy raz, zaczynała pojawiać się nielegalna myśl o przewrocie, choćby siłą. Zagrożone były już wszakże nie tak „liberalne" i cokolwiek podejrzane wartości jak wolność czy prawa jednostek, lecz same interesy Państwa. To i to dopiero skłaniało więc do działania.

Jednocześnie jednak, zarysowywały się jego liczne dwuznaczności. Oto w imię — jak mniemano — narodowych racji stanu, trzeba było postępować wbrew racjom i polityce aktualnego i powszechnie aprobowanego rządu. Oto chcąc ratować kraj przed przyszłą (lecz nieudowodnioną wszak jeszcze) klęską, trzeba było paktować potajemnie z wrogimi w danej chwili mocarstwami. Oto wreszcie odwracała się radykalnie hierarchia ocen ludzi i ich postępowania: nie „czyści" byli teraz potrzebni, jeśli miało się w ogóle coś zrobić, lecz ci, którzy piastowali jakieś kluczowe stanowiska, a więc mieli za sobą niewątpliwie ich nieuchronne ceny. Nie o to też iść musiało samym członkom aktywizującej się opozycji, by „nie zbrukać honoru", lecz by pozostać tak czy inaczej w aktualnym aparacie władzy, wojska lub wywiadu, co — rzecz prosta — z honorem całkiem czystym dziać się nie mogło. Że zaś punkt nieprzekraczalnego już *non possumus* wypada jak wiadomo u każdego człowieka gdzie indziej, nawet wzajemne stosunki w szerszych kręgach wtajemniczonych nigdy już nie miały być całkiem przejrzyste ani pewne.

Rysująca się w r. 1937 sytuacja nosiła w końcu tę cechę również, że ponieważ przewrót (czy później zamach) przeprowadzić można było tylko odgórnie, rękoma części aktualnych dostojników i kadr różnego rodzaju, konspiracja musiała mieć charakter, by tak rzec, na wskroś „pałacowy": była ściśle uzależniona od różnych rozgrywek personalnych i nawet po prostu od nastrojów decydujących osób, była oderwana od szerszych mas społecznych, była wprawdzie prawicowa w ogólnym nastawieniu, lecz jej argumenty były przede

wszystkim doraźnie pragmatyczne, nawet ambicjonalne, rzadko odwoływano się do jakiejś nadrzędnej wizji lub idei. Wszystko to sprawia, że dzieje niemieckiego spiskowania przypominają chwilami bardziej powieść psychologiczną (o intrygach i dramatach jakichś renesansowych książąt), niż historię walk naprawdę ideowo-politycznych.

Pierwszy konkretniejszy plan przewrotu ześrodkował się na „skandalu Fritscha". Kiedy 5 listopada 1937 r., w przemówieniu programowym do głównodowodzących, Hitler zapowiedział, że „każde pokolenie potrzebuje swojej wojny, i zadba już o to, aby obecne swoją otrzymało", głównodowodzący wojsk lądowych, generał pułkownik Werner Fritsch, i generał Werner von Blomberg, wówczas jeszcze naczelny dowódca sił zbrojnych, posunęli niesubordynację aż do wypowiedzenia pewnych zastrzeżeń. Dało to asumpt do sfinalizowania całego splotu trwających już od dawna wśród generalicji intryg, i w końcu stycznia 1938, obaj nie mieli już swych stanowisk. Naczelne dowództwo objął Hitler, a na miejsce Fritscha przyszedł feldmarszałek Walter von Brauchitsch. Fritschowi wytoczono przy tej okazji proces o homoseksualizm.

Istniało już wtedy koło ludzi, zaczynających myśleć o przewrocie, choć nie puczem, broń Boże, to wtedy nazywano, a jedynie zmianami, jakie trzeba wprowadzić w oparciu o fachową dyskusję. Przewodniczył temu środowisku wśród wojskowych generał-pułkownik Ludwig Beck, wówczas szef sztabu wojsk lądowych, a w grupie cywilnej — Karl Friedrich Goerdeler, socjaldemokrata, wówczas nadburmistrz Lipska. Ośrodkiem koordynacji i osłony poczynań spiskowców było centralne biuro wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, którym kierował pułkownik (później: generał-major) Hans Oster. Generalny szef Abwehry, admirał Wilhelm Canaris, któremu biuro owo podlegało, i którego funkcje i rola były niezmiernie wieloznaczne, tolerował w każdym razie i krył aż do końca coraz bardziej rozbudowane akcje Ostera i zginął w końcu za udział w lipcowym spisku z roku 1944.

Cała ta grupa, która zresztą wtedy właśnie ostatecznie się zwarła, postanowiła, przy okazji obrony honoru Fritscha, spróbować zagrać na ambicjach armii. Trzeba tu było czegoś działającego na wyobraźnię, więc Fritsch miał pociągnąć Himmlera do odpowiedzialności za oszczerstwo i zniesławienie, a niektórzy wtajemniczeni oficerowie wykorzystać wywołane tym nastroje i nakłonić swych podkomendnych do poparcia przewrotu. Hans von Dohnanyi, z Ministerstwa Sprawiedliwości, który od początku działał w kole konspiracji i rychło znalazł się w jego centrum, ułożył nawet tekst tego wyzwania. Fritsch jednak zwlekał, wahał się, nie miał odpowiedniego usposobienia, wreszcie, ku desperacji spiskowców, sam

„podał się do dymisji", bo „skoro nie mają do niego zaufania"... Jednym słowem, jak pisze Fabian von Schlabrendorff (jeden z niewielu pozostałych przy życiu spiskowców), postępował „najniepolitycznej w świecie" [11]. Tymczasem przyszedł Anchluss Austrii i moment psychologiczny minął.

Następne plany przygotowywano już staranniej. Gdy w roku 1938 wzbierała histerycznie kampania wojenna i groził lada dzień zatarg zbrojny z Czechosłowacją, przedsięwzięto różne kroki uświadamiające. Goerdeler, który już od kilku lat nawiązywał kontakty we wszystkich niemal krajach Europy, zaczął rozsyłać na wszystkie strony memoriały, tłumaczące, że na Zachodzie „przedkłada się dziś każde pokojowe rozwiązanie, nawet wymagające od tego Zachodu dużych ofiar, ponad rozwiązania wojenne. Jednocześnie jednak każda próba załatwienia sobie przez Niemcy sprawy czeskiej drogą militarnego wymuszenia musi prowadzić do wojny światowej" [12]. Generał Beck argumentował, że po pierwsze Niemcy nie są wojskowo do wojny światowej przygotowane, a po drugie, wojna totalna, jaką projektowano, stanowi morderczą napaść na całą (także cywilną) ludność danego kraju, więc „nie może służyć dalekosiężnym celom politycznym", i prowadzić „do dobrego pokoju, w sensie bismarckowskim" [13]. Zdecydował się w końcu nawet na protest u Hitlera, gdzie jednak usłyszał, że „wojsko jest instrumentem polityki i armia ma rozwiązywać dawane jej zadania, a nie dyskutować, czy są one słuszne czy niesłuszne". Odchodząc w r. 1938 ze stanowiska szefa sztabu, Beck złożył uroczyste oświadczenie, którym również chciano wpłynąć na generałów. Brzmiało ono: „Chcąc wyjaśnić nasze stanowisko historykom przyszłości, oraz w trosce o dobre imię naczelnego dowództwa, życzę sobie, aby zaprotokołowano, że jako szef sztabu generalnego uchyliłem się od aprobaty jakiejkolwiek narodowo-socjalistycznej awantury wojennej. Ostateczne zwycięstwo Niemiec jest niemożliwością" [14].

Do nastrojów opozycyjnych przyczyniał się także wzgląd ambicjonalny. Oto Hitler, 17. 8. 1938, podniósł Waffen SS do rangi czwartego rodzaju broni, obok armii, lotnictwa i marynarki. Nie mogło to pochlebiać szanującym wszak na swój sposób swój honor wojskowym, ani też być im dogodne. Generalicję usposobiło to, stosunkowo jak na nią, „wywrotowo".

---

11 Fabian von Schlabrendorff, *Offiziere gegen Hitler*, Frankfurt/M. 1965, fuenfte Ausgabe.

12 Wolfgang Foerster, *Generaloberst Ludwig Beck, Sein Kampf gegen den Krieg*, Muenchen 1953.

13 Op. cit.

14 J. W. Wheeler-Bennet, *The Nemesis of Power. The German Army in Politics, 1918—1945*, London 1954.

lada dzień (odpowiedziano mu wtedy, że według informacji Foreign Office pakt taki jest niemożliwy).

Wszystko to nie dało jednak żadnych konkretnych rezultatów. Pakt nastąpił i umocnił przekonanie, że wojny światowej nie będzie. Najwyższym aktem protestu niemieckiej generalicji w przededniu wojny z Polską było to, że mowę Hitlera o planowanych na zajętych terenach zbrodniczych akcjach SS, w których jednak zezwala się armii nie brać udziału, przyjęto... „z lodowatym milczeniem".

Koła spiskowców jednak miały już tymczasem dość szeroką sieć kontaktów w różnych środowiskach. Byli wśród nich ustosunkowani też za granicą katolicy, jak Jakob Kaiser (przywódca związkowy, po wojnie minister w NRF), czy koło, któremu przewodzili Carl von Jordans i Nikolaus von Halem, czy grupa adwokata z Monachium Josefa Muellera (po wojnie ministra w NRF), czy środowiska redakcji „Weissen Blaetter" pisma, które wydawał baron Karl Ludwig von Guttenberg. Byli też ludzie związani dawniej lub aktualnie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, jak były ambasador niemiecki w Rzymie, baron Ulrich von Hassell, Herbert Mumm von Schwarzenstein, Helmuth graf von Moltke, Hans Bernd von Haeften, Adam von Trott zu Solz. (Niektóre koła ministerstwa i podległego mu wydziału zagranicznego Kościoła Ewangelickiego prowadziły też jednak różne akcje własne, które długo były niezależne od akcji Ostera.) Funkcjonowało wreszcie, już od roku 1938, zorganizowane z inicjatywy Becka tak zwane Stowarzyszenie Środy. Analizowano tam szereg aktualnych zagadnień. Ekspertem spraw wojskowych był sam Beck, spraw politycznych — Hassell, różne gałęzie nauk reprezentowali profesorowie: Sauerbruch, Spranger, Popitz i Jessen. Nie tracono więc nadziei: sieć porozumień rosła i rosła także w czasie wojny rola armii, a jej możliwości akcji zbrojnych były większe niż w czasach pokojowych.

Kolejny plan działania zaczęto więc przygotowywać zaraz po kampanii polskiej. Beck odbył szereg rozmów z Halderem i Brauchitschem, wyjaśniając znowu konsekwencje rozpętania się na dobre wojny światowej, oraz projektowanego już przez Hitlera zgwałcenia neutralności Belgii i Holandii. Nawiązano (przez Leuschnera) pewne kontakty w związkach zawodowych. Nie wykluczano możliwości strajku. Apelowano także do honoru armii. Hans von Dohnanyi, który od lat już gromadził dokumentację nieprawomocności i zbrodni NSDAP, przedstawiał fakty i cyfry, dotyczące akcji SS na polskich terenach. Miał nawet filmy, które te akcje ukazywały (między innymi także film demaskujący prowokację w radiostacji gliwickiej). Generał Blaskowitz, głównodowodzący

w Polsce, pisał w proteście do Hitlera, że wszystko, co głoszą na ten temat wrogie zachodnie radiostacje, jest niczym w porównaniu z rzeczywistością. I ten dokument (po którym Blaskowitza odwołano) był znany części przynajmniej generalicji. Mimo to wszystko jednak Brauchitsch uważał, że szansa przekonania żołnierzy do „antynarodowych akcji" jest zbyt słaba i przypominał, że Anglia walczy nie tylko z Hitlerem lecz z Niemcami, więc wszelka dywersja w takiej chwili byłaby czymś w rodzaju zdrady.

Zdawało się, że ten ostatni argument się obali, uzyskując od aliantów obietnice jakiegoś możliwego do przyjęcia pokoju. Opozycja prowadziła więc starania, głównie za pośrednictwem Watykanu, o gwarancje, że jeśli Hitlera się usunie, zawarty zostanie pokój „nie będący oczywiście w duchu traktatu wersalskiego". Pertraktacje z Watykanem prowadził Josef Mueller, wówczas już pracujący w Abwehrze, w komórce Ostera. Anglia okazała się przychylna, pod ogólnikowym warunkiem powrotu do granic z roku 1937 i likwidacji nazizmu. Papież, jak pisze w swych pamiętnikach baron Hassell, „wykazał nawet zadziwiająco duże zrozumienie niemieckich interesów" i mówił, że uwag angielskich o plebiscycie w Austrii nie należy się zbyt obawiać, bo „nie powinny być poważną przeszkodą w rokowaniach" [15]. Wszystko to opisano w tak zwanym „Raporcie X". W międzyczasie jednak, w lutym, nastąpiła wizyta Summera Wellesa podsekretarza stanu USA u Hitlera, co wywołało wrażenie, że Ameryka, więc też Zachód, z nim jednak najbardziej się liczy. W każdym razie, generał Brauchitsch zmienił usposobienie na jeszcze gorsze i na widok „Raportu X" powiedział, jak podaje Halder: „Nie powinien był pan w ogóle mi tego przedkładać. To, co się tu robi, to oczywista zdrada stanu". Kazał też natychmiast aresztować człowieka oznaczonego „X", który dokument przywiózł, na co Halder miał odpowiedzieć: „Jak już ktoś ma być aresztowany, niechże pan aresztuje mnie" [16].

Nikt aresztowany nie został, oczywiście, rzecz odbywała się wszakże między oficerami. Wewnątrz armii niemieckiej obowiązywał niewątpliwie pewien kodeks honorowy, pewna wzajemna solidarność, która nie była łamana nawet wtedy, gdy cały kraj był już pogrążony w strachu i w donosicielstwie. Jest charakterystyczne, że jak świadczą dokumenty, o spisku wiedziało niejedno wielu generałów, którzy mu byli przeciwni i sami nigdy do konspiracji nie przystali. Gdy ich do tego namawiali ludzie Becka, reagowali nieraz gwałtownie, w imię przysięgi, fuehrera, „zdrady narodowej", a przecież nie oddawali ich w ręce gestapo. Była to rzecz, której

---

15 Ulrich von Hassel, *Von andern Deutschland*, Muenchen 1964.
16 Op. cit.

się w armii „nie robiło", tak samo jak „nie robiło się" rzeczy sprzecznych z befehlem. Sztywność zasad wojskowego honoru miała więc też pewien aspekt dla spiskowców niewątpliwie korzystny.

Brauchitsch jednak odmówił udziału w „zdradzie narodowej", więc plan Becka, który miał się zakończyć trójdyrektoriatem, z nim samym na czele, i w którym zamierzano wyjawić narodowi niemieckiemu planowaną agresję na państwa neutralne, a także uświadomić mu prawdę o Polsce — spalił na panewce. Zadziałała znowu „niemożność" niemiecka przedarcia się poza formy i konwencje prawno-etyczne do treści, jakie się za nimi kryły.

Były jednak też jednostki, skłonne do podjęcia odpowiedzialności na własną rękę. Generał von Hammerstein, wówczas głównodowodzący armii nadreńskiej, powziął na przykład podobno plan przywabienia tam Hitlera na inspekcję i aresztowania go po prostu, zanim dojdzie do działań zbrojnych na Zachodzie. Hitler jednak odłożył niespodziewanie zapowiedziany już termin przyjazdu, a Hammerstein został z niejasnych powodów przeniesiony w stan spoczynku. Takie „zbiegi okoliczności" miały się zresztą powtarzać często, i historia nie rozwikłała dotąd do końca, czym należy je tłumaczyć. Może spisek sięgał jakimś nieznanym samym spiskowcom kanałem aż do Himmlera, który go dla jakichś sobie tylko znanych rachub, trzymał w odwodzie? A także trzymał w tajemnicy, bo jak świadczą ocalałe akta, dotyczące zamachu z roku 1944, gestapo wiedziało w istocie dość mało. A może niemieckie relacje przerysowują dziś po prostu nieraz konkretność zamierzeń, by wyjaskrawić rzekomą przypadkowość niepowodzeń? W każdym razie, trzymając się dostępnych danych, stwierdzić trzeba, że Hitler wielokrotnie zdawał się miewać jasnowidzenia.

Spróbowano wreszcie jeszcze jednego środka. Tym razem niesłychanie dla spiskowców ciężkiego moralnie i narażającego na szwank całą ich reputację. Do dziś dnia dyskutuje się w NRF o tym, czy działalność kół opozycyjnych była czy nie była zdradą narodową, bo wszak Oster zdradził na przykład faktycznie Holandii zamiar i termin niemieckiej inwazji. Uczynił to rzeczywiście, i to za zgodą swej grupy. Niczego to nie zmieniło, gdyż nie uwierzono jego informacji, nawet zaś gdyby uwierzono, jest wątpliwe, czy powstrzymałoby to lub odwróciło bieg zdarzeń. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że — działając w ramach narodowych racji, pojmowanych „po prusku" zapewne, lecz racjonalnie i samodzielnie — grupa spiskowców zdobyła się tu na czyn niesłychany, z punktu widzenia tradycji niemieckiej i horyzontów osobistej kultury, jak też każdej zresztą potocznej etyki ludzkiej w ogóle. Trudno wszak wyobrazić sobie uczciwego człowieka, jakiejkolwiek narodowości, który — nawet będąc w niezgodzie z aktualną polityką swego

rządu — zdobyłby się bez wahań na to co Oster, w wojennej w dodatku sytuacji.

Zdarzenie to ogniskuje jednak tylko, z wyjątkową dramatycznością, głęboki konflikt lojalności, w jakim musiała znajdować się już stale grupa spiskująca, od chwili gdy Niemcy, wbrew jej woli, ale nieodwracalnie, znalazły się w stanie wojny. Była to niesprawiedliwa wojna agresywna i wiedziano o tym. Lecz przecie — kiedy raz zaistniała — była także zagrożeniem dla narodu niemieckiego, i to zagrożeniem wzrastającym. Od chwili rozpoczęcia się kampanii na Zachodzie, a potem kampanii rosyjskiej, klęska musiała już być klęską straszną, straszliwszą z każdym rokiem, a każdy wstrząs wewnętrzny groził jej spowodowaniem lub przybliżeniem. Nie odstępując od gorzkiego z konieczności obiektywizmu w ocenie „innych Niemiec", pamiętać więc trzeba także, że jak trafnie pisze E. Bethge, „ludziom i narodom, które nie znają doświadczenia, jakiego nikomu nie można życzyć, doświadczenia konfliktu lojalności, bardzo trudno jest nawet sobie wyobrazić tę sytuację graniczną. Sytuację, w której właśnie jednostki o największej prawości musiały brać na siebie hańbę"[17].

Byli oczywiście ludzie, którzy tę sytuację graniczną podejmowali z całą jasnością. Mówili otwarcie, że są zmuszeni pragnąć klęski własnej ojczyzny, i to jak najszybciej, by ratować wartości nadrzędne: miliony skrzywdzonych istot ludzkich i najcenniejsze ideały wspólnej, europejskiej kultury. Takich ludzi było jednak bardzo mało (w jakim kraju byliby liczni?) i dlatego polityka spiskowców jako całość musiała już być, pod wieloma względami, chwiejna i dwuznaczna. Było więc wiele prawdy w smutnej ironii Hassella, który pisał, że przewrotu nigdy nie można było przeprowadzić, bo z początku sytuacja była na to za dobra, a zaraz potem za tragiczna.

Rychło po słynnej „zdradzie Ostera", nastąpiły fakty, które zdawały się świadczyć, że jest „za dobra" już nieodwracalnie i które obaliły wszystkie dotychczasowe prognozy spiskowców. Po napadzie w kwietniu na Danię i Norwegię, po przekroczeniu granic Belgii, Holandii i Luksemburga (10. 5. 1940), rozpoczęła się kampania francuska, która wbrew przewidywaniom wszystkich niemal sztabowców, doprowadziła w niespełna dwa miesiące do kapitulacji Francji (22. 6. 1940). W czerwcu do działań wojennych Niemiec przyłączyły się Włochy. W sierpniu rozpoczęto lotnicze przygotowanie inwazji na Anglię (operacja *Seeloewe*). Wszystkie plany przewrotu stawały się oczywiście w tej sytuacji nie-

---

17 Eberhard Bethge, *Dietrich Bonhoeffer, Theologie-Christ-Zeitgenosse*, Muenchen 1967.

aktualne. Obrócenie zwycięskiej armii przeciw nieomylnemu jak się zdawało teraz wodzowi było psychologiczną niemożliwością. Zresztą groziła też legenda: targnąć się na fuehrera w takiej chwili, znaczyło uczynić go — żywego czy też martwego — jeszcze silnieszym niż i tak już był faktycznie. Do zrobienia nie było więc nic. Wszystko było przeciw spiskowcom. Dlaczego się ostali?

Były wśród nich oczywiście jednostki o nieprzeciętnym zdecydowaniu moralnym i poczuciu odpowiedzialności. Na ogół jednak wydaje się, że głównie siła nieodpartego wstrętu do Hitlera i hitleryzmu, wstrętu płynącego, powiedzmy szczerze, z typu kultury przede wszystkim, utrzymała w ciągu tych ciężkich miesięcy koła spiskowe przy ich poprzednich postawach. Była to kultura niewątpliwie konserwatywnego typu, lecz też jedyna w amorficznych, drobnomieszczańskich Niemczech o dość silnej mocy formatywnej, by się oprzeć, przemożnej już w tamtych chwilach, histerii nacjonalistycznej. Można powiedzieć chyba bez przesady, że dwie tylko siły mogły być w konkretnych psycho-społecznych warunkach niemieckich do tego zdolne: partia komunistyczna rozporządzająca konsekwetnym i zdecydowanym programem ideowym, oraz właśnie elity arystokracji i intelektualistów, uwarunkowane nadzwyczaj silnie immunizującą je niejako kulturą domową. Chcieć kontynuować, będąc Niemcem, walkę z Hitlerem w lecie 1940, można było tylko albo dla idei, albo ze wstrętu. Pewna część spiskowców, ci właśnie którzy decydowali się pragnąć klęski Niemiec, inspirowała się z pewnością swym chrześcijańskim humanizmem w sposób podobny nieco jak partia komunistyczna — swoimi ideałami, choć bez jej konkretnego programu. Większość jednak, w okresie zenitu wojennej gwiazdy fuehrera, utrzymała, jak się zdaje, w oporze sam tylko żywiołowy i nieprzezwyciężalny wstręt pewnej kultury do pewnego chamstwa.

Sytuacja, już z końcem roku 1940, zaczęła jednak znowu trochę się dla spiskowców polepszać. Bitwy o Anglię zaniechano w końcu września, a że wojna wobec tego mogła być długa, przebąkiwać zaczęto o potrzebie zaplecza, analogicznego do tego, jakie dla Anglii stanowiły Stany Zjednoczone. Logika sytuacji sugerowała więc uderzenie na Związek Radziecki już zanim rozpoczęto (wiosną 1941), prace nad „operacją Barbarossa". Było to znowu niepopularne i ryzykowne. Wprawdzie wiosenne sukcesy Hitlera (Bułgaria, Grecja, Jugosławia, Afryka) były dla społeczeństwa imponujące, to jednak w sztabach i w generalicji widziano złe strony rozpraszania sił na aż tak wielkich terytoriach. Anglia, po amerykańskiej ustawie Lend and Lease (10. 3. 1941), gwarantującej jej olbrzymią bazę zaopatrzeniową, zaczynała z wolna być nie tylko niezdobyta, lecz też niebezpieczna. Były więc przesłanki do na-

dziei, że armia zechce może w końcu wziąć sprawy we własne ręce.

Rok 1941 upłynął tedy, można powiedzieć, na „umoralnianiu" jej głównodowodzącego, generała Brauchitscha. Nadal bowiem bez najwyższego rozkazu nie było cienia nadziei, by cokolwiek dało się w armii zrobić. W kołach Becka i Goerdelera całe zastępy najrozmaitszych rzeczoznawców opracowywały jak najczarniejsze prognozy rosyjskiej kampanii, zadanie niełatwe, bo wszystkie przepowiednie Goerdelera dotąd z reguły zawodziły i sami spiskowcy zaczynali być sceptyczni. Generał Halder (szef sztabu naczelnego dowództwa armii) miał opowiadać ze łzami w oczach o swych zmaganiach z Brauchitschem, który wierzył jednak wciąż twardo, że Związek Radziecki pobije się w sześć tygodni i nie chciał o niczym słyszeć.

Tymczasem rozbudowywano jednak Waffen SS, co generalicji nie cieszyło. W końcu zaś Hitler zażądał od armii nikczemności, na jakie wprawdzie dotąd patrzyła i w których (w Polsce na przykład) pewne jej oddziały brały udział, lecz które formalnie nie stały dotąd w jej „befehlach", więc — według charakterystycznej niemieckiej mentalności — „honor wojska był czysty". Wódz zażądał mianowicie, 30 marca 1941 r., aby armia właśnie rozstrzeliwała bez sądu wszystkich wojskowych i cywilnych komisarzy, jacy znajdą się w Rosji w jej rękach. Poza tym wszelkie wykroczenia żołnierzy przeciw ludności cywilnej na terenie Związku Radzieckiego miały być wyjęte spod sądów wojskowych.

W kołach dowódców zawrzało. Halder rozważał podanie się do dymisji. Spiskowcy tłumaczyli w podaniach i memoriałach, że nie o sam nawet „honor armii" idzie, lecz również o obłęd polityczny takiego postępowania. Brauchitsch jednak i teraz nie okazał się usposobiony do żadnego decydującego kroku. Rozkaz, podpisany przez generała Keitla, został 13 maja rozesłany poszczególnym armiom. 22 czerwca rozpoczęła się ofensywa na wschód i w krótkim czasie front ciągnął się już nieopodal Leningradu, Moskwy i Rostowa. Jednocześnie Rommel święcił triumfy w Afryce.

Tymczasem powiększały się jednak i wiązały bliżej koła rozmaitych przeciwników Hitlera. Grupa Becka-Ostera-Goerdelera grała w coraz większym stopniu rolę koordynującego ośrodka (po części dzięki temu, że Oster miał swych V-Mannów wszędzie i że Abwehra reklamowała bardzo wielu interesujących ją ludzi z wojska, uzyskując dla nich tak zwane U. K. Stellung, czyli „stanowisko nieodzowne" dla zadań wywiadu). Nawiązano między innymi bliski i stały kontakt z Tresckowem, oficerem sztabowym Grupy Armii „Srodek", który dzięki zręcznej polityce personalnej miał

tam już wkrótce wielu współpracowników, a dzięki podobnym do Goerdelera talentom „pedagogicznym" mógł rozwijać pracę umoralniającą nad kolejnymi głównodowodzącymi tego odcinka, generałem Bockiem, (który jednak był długo oporny) i potem generałem Kluge (który ulegał, lecz zmieniał poglądy natychmiast, jak Tresckow przestawał do niego mówić, tak że nie można było go bezpiecznie porzucić ani na tydzień).

„Ludźmi Ostera" było też parę osób z Kreisauer Kreis (m. in. Moltke), choć to koło, powstałe w roku 1940, miało więcej powiązań z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i różniło się pod wieloma względami od grupy Becka. Przewodniczyli mu Moltke i Yorck. Wśród członków, przeważnie chrześcijan, byli arystokraci, jak Trott zu Solz, działacze samorządowi, jak Theodor Steltzer, związkowcy, jak Wilhelm Leuschner, przywódcy socjaldemokracji, jak Julius Leber, wojskowi, jak przez czas jakiś Berthold Schenk graf von Stauffenberg. Był to krąg ludzi przeciwnych w swej większości próbom przewrotu siłą. Uważano, że nie zmieni to już nic w sytuacji, i tak dla Hitlera przegranej à la longue, i obawiano się jak się zdaje przechwycenia przy takiej okazji władzy przez prawicowe koła wojskowe. Poza tym intelektualiści chrześcijańscy, jak Moltke i Yorck, uważali użycie gwałtu za środek „niemoralny". Nie zgadzano się też z programem społeczno-politycznym Goerdelera, uważając go za zdecydowanie reakcyjny, tak że w opozycyjnych kołach uważano nieraz Kreisauer Kreis za „socjalistów". W rzeczywistości była to grupa raczej dopiero szukająca rozwiązań na czas już po nieodwracalnej — jej zdaniem — klęsce Niemiec. Zdawano sobie jasno sprawę, że konieczna jest radykalna rewizja zasadniczej „linii pruskiej", i pod tym względem Koło było niewątpliwie najpostępowsze w niekomunistycznych „innych Niemczech". W ramach tych zamierzeń jednakże i przy ogólnej orientacji na jakieś stany zjednoczone Europy (z których nie chciano wyłączać, jak ludzie Goerdelera, Związku Radzieckiego), były w Kole bardzo różne propozycje szczegółowych rozwiązań. Moltke na przykład twierdził, że nie ma zupełnie nic przeciw temu, aby na przykład Czechy czy Polska miały po wojnie cały Śląsk, bo trzeba myśleć przede wszystkim w kategoriach potrzeb pokojowych Europy jako całości. Yorck natomiast był bardziej konwencjonalny i nieraz trochę Moltkem zgorszony. Koło z Kreisau (nazwa niemiecka byłej posiadłości Moltkego, obecnie Krzyżowa koło Świdnicy), któremu zarzucano naturalnie akademickość i teoretyzowanie, uznało jednak z czasem (w roku 1942) koordynującą i przewodzącą w praktyce rolę Becka i doszło z nim do praktycznych uzgodnień na wypadek zamachu. Część jego działaczy miała wejść do projektowanego rządu.

Prócz kontaktów lokalnych próbowano w roku 1941 nawiązać z powrotem zagraniczne. O wytargowaniu jakiegoś korzystnego dla Niemiec pokoju nie mogło już teraz być mowy, chyba żeby był to pokój antyradziecki... Ale nastąpił właśnie (12. 7. 1941), pakt o wzajemnej pomocy między Anglią a Związkiem Radzieckim, co możliwość taką wykluczało, tym bardziej, że ZSRR bronić miał przecie właśnie zachodnich aliantów, ciągle do ofensywy niegotowych.

Spiskowcom chodziło więc teraz przede wszystkim o modyfikowanie zamierzeń na okres powojenny. Roosevelt i Churchill podpisali właśnie (8. 8. 1941) Kartę Atlantycką, którą potem, w r. 1942, przyjąć miało 25 innych krajów. Niemcy były w niej oczywiście dyskryminowane, jako kraj, który dał dowody, iż jest wciąż źródłem katastrof wojennych w Europie i który się dopuścił nienotowanych w historii zbrodni. Licznym przez cały czas wojny wysłannikom „innych Niemiec", którzy poprzez kraje neutralne, a także poprzez Kościoły, porozumiewali się z Anglią, chodziło więc o przekonanie aliantów, że po pierwsze ich identyfikacja hitleryzmu z całym niemieckim społeczeństwem jest niesłuszna, i że po drugie jest złą taktyką, bo jeżeli wszyscy Niemcy mają być traktowani jednakowo, to niepodobna będzie nikogo namówić do przeciwstawienia się Hitlerowi.

Wyjaśnienia te nie dawały większych rezultatów. Anglicy mieli już dość zapowiadanych i nigdy niewykonywanych przewrotów i ich ambasada w Szwajcarii przestała nawet przyjmować wciąż napływające memoriały „innych" rzekomo Niemiec. Politycznie „inność" owa była rzeczywiście nie istniejąca. Ani w losie ofiar zbrodni na okupowanych terenach, ani też w losie żołnierzy, których musiały poświęcać mocarstwa prowadzące wojnę z Hitlerem nie zachodziła wszakże żadna najmniejsza zmiana na skutek tego, co się działo na dnie dusz „innych Niemców", lub co sobie mówili w rozmowach prywatnych. Kraj, który nie umiał zapobiec temu, że stawał się raz po raz ogniskiem i narzędziem katastrof, musiał być traktowany jako niebezpieczny, bez względu na subiektywne przeżycia jego obywateli. Tak rozumowano wtedy na Zachodzie i nie ułatwiało to oczywiście spiskowcom ich zadania. W dodatku realne nawet szanse przewrotu nie były już teraz tak dla zachodnich aliantów interesujące jak poprzednio. Rozumowali już wszakże jak zwycięzcy, a nie jak zagrożeni. Były wprawdzie głosy, które wzmocnić się miały w późniejszych latach, wyrażające troskę o zbyt duży wzrost wpływów radzieckiego partnera i sugerujące, że przeto nie od rzeczy byłyby rozmowy z jakimiś możliwymi do akceptacji Niemcami. Opinie takie należały jednak w roku 1941 do rzadkości.

Zagraniczne wojaże były więc dla konspiracji dość jałowe. Tymczasem jednak pogorszyła się sytuacja na froncie wschodnim. Moskwy nie zdobyto. Od grudnia rozpoczęła się radziecka kontrofensywa, o niezwykłej sile, zadająca kłam mniemaniu o rzekomym „wykończeniu się" Rosjan. Nimb Hitlera zaczął blednąć. Sztabowcy skracali fronty, wstawiając do raportów fikcyjne natarcia przeciwnika (gdyż inaczej Hitler cofać się nie pozwalał), żołnierze zaczynali — jak było słychać — robić się coraz pobożniejsi, nastroje armii wzburzył też rozkaz wydawania w ręce plutonów egzekucyjnych SS wszystkich jeńców radzieckich, o których dwu z ich rodaków zeznało, iż są członkami partii komunistycznej. W grudniu, na dobitek, nastąpił atak na Pearl Harbour i Stany Zjednoczone przystąpiły oficjalnie do wojny.

Spiskowcy nabrali animuszu. Goerdeler znów rozsyłał memoriał o sytuacji gospodarczej, która wobec faktu, że przemysł radziecki nie został — jak zapowiadał Hitler — zdobyty, przedstawiała się istotnie bardzo źle. Dietrich Bonhoeffer i Justus Perels, doradca prawno-finansowy Kościoła Wyznającego, opracowali memoriał o deportacjach Żydów z terenu Rzeszy. Był to pierwszy akt w obronie Żydów ze strony spiskowców i apelował do elementarnej solidarności ludzkiej oficerów i żołnierzy. Próbowano też poruszyć zwykłe ambicje dowódców i ich poczucie odpowiedzialności za podkomendnych, uświadamiając im, że są oto wykonawcami bezsensownych strategicznie planów Hitlera, przeświadczonego, od czasu Francji, że jest geniuszem wojskowym, i że jego sztaby do niczego się nie nadają prócz milczenia i słuchania.

Na tle wszystkich tych faktów i zabiegów, umoralnianie generała Brauchitscha szło tak dobrze jak nigdy przedtem. Był już prawie... prawie... usposobiony... i wtedy przyszedł cios, który obalił wszelkie w ogóle plany przewrotu według dotychczasowej formuły: Brauchitsch został odwołany i naczelne dowództwo przejął sam Hitler.

Tym samym upragniony rozkaz głównodowodzącego, od którego każdy pucz musiał się zacząć, stawał się nieosiągalny. Pozostawało jedno tylko rozwiązanie: zabić lub uwięzić Hitlera, i przechwycić jakoś władzę dopiero potem. Był to już jednak krok znacznie ryzykowniejszy, bo grożący poważnymi zamieszkami, których rezultat oczywiście był niepewny. Był też, jak się potem okazało, niemal niewykonalny z przyczyn psychologicznych. Nie jest to do pojęcia, nawet na tle Kanta, Hegla i wszystkich wyobrażalnych „niemożności" niemieckich, lecz tak właśnie było: wojskowi którzy patrzyli wszakże na otchłań zbrodni w krajach okupowanych, wiedząc też, że armia, jakże już często! bierze udział w egzeku-

cjach kobiet i dzieci, czuli nieprzezwyciężalne wprost opory przeciw „morderstwu" na fuehrerze. Było tak nawet z tymi, co uznawali w pełni jego konieczność, i co najbardziej Hitlera nienawidzili. Stanowiło to nienajważniejszą chyba, lecz przecie realną trudność w urzeczywistnieniu różnych kolejnych planów koła spiskowców.

Rok 1942 upłynął głównie na przygotowaniach do ewentualnego zamachu. Trzeba było ustalić, kto go dokona, armia frontowa czy pozostająca w kraju (tak zwana „Ersatzheer"), trzeba było przygotować aparat wojskowy i cywilny do natychmiastowego przejęcia władzy (czym zajmował się m. in. generał Friedrich Olbricht, z Naczelnego Dowództwa Ersatzheer), trzeba było wreszcie starać się o uzyskanie jakichś gwarancji od aliantów, tak by rzecz mogła się przedstawiać generalicji, a także samym spiskowcom, jak ratunek, a nie jak dobijanie kraju.

Wciąż pojawiały się jednak argumenty przeciw zamachowi w ogóle, które teraz koncentrowały się głównie wokół bezpieczeństwa Niemiec. Obawiano się, że zamach na Hitlera spowoduje natychmiastową klęskę na wszystkich frontach i wahano się przed podjęciem takiej odpowiedzialności. Przewidywano też katastrofę gospodarczą i „psychologiczną". W końcu zniecierpliwiony tym wszystkim Nikolaus von Halem postanowił działać na własną rękę i zlecił zabicie fuehrera niejakiemu Beppo Roemerowi, który był dość ciemną figurą, lecz po obozie koncentracyjnym zdawał się nienawidzieć Hitlera z całą pasją swej prymitywnej natury. Ktoś jednak — wspólnik Roemera czy też on sam? całą rzecz wsypał, i Halem oraz współdziałający z nim Mumm zostali w lutym aresztowani.

Grupa Becka przygotowywała tymczasem przejęcie władzy po zamachu. Zacieśniono kontakty z armią i nawiązano porozumienia z grupami cywilnymi, które konsolidowały się teraz też poza Berlinem. W Hamburgu, wokół Klausa Bonhoeffera, zgromadziło się na przykład kilka osób z Lufthansy, a także Kaiser, Leuschner i Maass. Odbywały się też rozmowy z księciem Ludwikiem Ferdynandem, którego Goerdeler desygnował na króla Niemiec.

Na zlecenie Goerdelera przygotowano bowiem dokładne plany ustrojowe. Były one bardzo konserwatywne społecznie i politycznie. Kanclerzem Rzeszy miał być sam Goerdeler, Beck — „namiestnikiem", rozdzielano teki ministerialne między przedstawicieli dawnych ugrupowań, ze szczególnym uwzględnieniem prawicy i katolickiego Centrum. Ze względów taktycznych, bardziej może niż pryncypialnych, postulowano też monarchię dziedziczną, tak aby rozprzężony i zdezorientowany lud niemiecki mógł mieć konieczne dlań ucieleśnienie Najwyższej Władzy, Państwa i Prawa. Przywiązanie do Hohenzollernów było wciąż bardzo

żywe, co okazało się niezwykle wyraźnie, gdy syn następcy tronu padł na froncie wschodnim. Reakcje społeczeństwa skłoniły nawet wówczas Hitlera do zwolnienia z wojska wszystkich członków cesarskiej rodziny, a także do sprowadzenia ze Stanów Zjednoczonych Ludwika Ferdynanda, który osiedlił się w Prusach. Właśnie jego autorytetu chciano teraz użyć, by odzyskać zaufanie społeczne po zamachu. W pierwszej chwili przewidywano oczywiście stan wyjątkowy i władzę armii. Zastrzegano się jednak, że koła wojskowe nie będą próbowały tego stanu rzeczy utrzymać na stałe, i dopóki, w każdym razie w konspiracji, grała dużą rolę grupa cywilna, kładziono duży nacisk na ten warunek.

Jednocześnie zabiegano naturalnie energiczniej niż przedtem o „zrozumienie" mocarstw zachodnich. W r. 1942 dotarły do Anglii między innymi memoranda Trott zu Solza, pastora Hansa Schoenfelda (reprezentującego bądź koła Ministerstwa Spraw Zagranicznych, bądź Kreisauer Kreis, bądź jedno i drugie), oraz propozycje Becka (przekazane ustnie w Szwecji przez Dietricha Bonhoeffera biskupowi Bellowi). Wszystkie te próby były w swej treści zasadniczej dość podobne. Komunikowano intencje zamachu na Hitlera, przy czym Beck zlecił wymienić (pierwszy raz) nazwiska osób związanych ze spiskowcami [18]. Zapytywano, czy alianci zachodni zechcą wstrzymać ataki na czas przejmowania władzy przez nowy, zorganizowany już aparat, a następnie pertraktować z nim jako z niehitlerowskim rządem niemieckim, mimo że początkowo nie będzie on rządem demokratycznym „w sensie anglosaskim". Wyrażano zrozumienie dla konieczności dojścia do uzgodnień ze Związkiem Radzieckim, odnosząc się do tego jednakże bądź „powątpiewająco", bądź z nadzieją, że da się osiągnąć z nim zgodę co do granic, gdyż (i dopóki) armia niemiecka wciąż zajmuje ogromne radzieckie terytoria. Deklarowano gotowość stopniowego wycofania wojsk z terenów okupowanych. Podkreślano też z naciskiem nieodzowną pomoc Niemiec w opanowaniu nieuchronnego po wojnie „chaosu w Europie" i przypominano (już) fatalny wpływ „dyk-

---

18 W memorandum z rozmów sztokholmskich, sporządzonym przez biskupa Chichester, George'a Bella dla Edena, figurują następujące nazwiska przywódców sprzysiężenia: generał-pułkownik Beck, generał-pułkownik von Hammerstein, Goerdeler, Leuscher, Kaiser. Jako pozyskanych już, lub możliwych do pozyskania dla sprawy spisku feldmarszałków Dietrich Bonhoeffer, na zlecenie Becka, wymienił: von Kluge, von Bocka i Witzlebena. Hjalmar Schacht był wymieniony jako ewentualny sprzymierzeniec, w razie wzrostu szans spiskowców. Bell wspomina w swym memorandum także o księciu Ludwiku Ferdynandzie jako ewentualnym królu Niemiec. Tekst memorandum znajduje się w tomie pierwszym *Dzieł zebranych* Dietricha Bonhoeffera, w rozdziale ilustrującym jego kontakty w czasie wojny. (Dietrich Bonhoeffer, *Gesammelte Schriften*, Band I, *Oekumene, Briefe, Aufsaetze, Dokumente 1928—1943*, Muenchen 1965).

tatu wersalskiego" na sukces hitleryzmu. Wykazywano zrozumienie dla żądań rozbrojenia Niemiec, pod warunkiem jednakże, że zostanie Niemcom zapewnione „bezpieczne" miejsce polityczne i gospodarcze w przyszłej federacji europejskiej, i że niemieckie siły zbrojne, pod wspólną kontrolą oczywiście, wejdą w skład armii federacyjnej. Do federacji wchodzić miały między innymi wolna Polska i wolna Czechosłowacja. Wszystkie te punkty figurują m. in. w sprawozdaniu biskupa Bella złożonego przez niego Edenowi, z rozmów w Sztokholmie (w czerwcu 1942) z Dietrichem Bonhoefferem i przybyłym tam również, choć niezależnie od Bonhoeffera, Schoenfeldem.

Podobne lub innej nieco natury sugestie pokojowe płynęły w latach 1942—43 najrozmaitszymi kanałami i z najrozmaitszych kół. Między innymi z NSDAP, gdzie właśnie rysował się konflikt Hitler-Himmler. I spiskowcy Becka, i ludzie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych chcieli zresztą ów ewentualny pucz SS wykorzystać dla siebie. Również w memorandum Bella jest sugestia, iż alianci powinni tu Himmlera zachęcać, gdyż zrobi on wtedy tylko niejako „brudną robotę" a potem zostanie z kolei usunięty przez bardziej „właściwych" ludzi. Gdyby Hitlera zgładziło SS rozumowano w kołach konspiracji, będzie można wystąpić z początku w charakterze jego mścicieli i przeciw niepopularnemu Himmlerowi. Byłby to jedyny sposób pewny uzyskania poparcia społecznego. Plan był jednakże zbyt śliski i wątpliwy. Beck podobno odstąpił od tej koncepcji już, zanim jasne się stało, że do puczu Himmlera nie dojdzie. Sytuacja, w której Hitlera można było zgładzić tylko rękami SS jest jednak niezwykle wymowna.

W większości tajnych propozycji, stawianych Zachodowi w tych latach przez różne mniej lub bardziej „inne" Niemcy, zawarty był oczywiście argument o niebezpiecznym wzrastaniu wpływów Związku Radzieckiego. Wyrażał on się bądź w „powątpiewaniu" o możliwości trwałego porozumienia, przy jednoczesnym deklarowaniu, że nie rości się żadnych pretensji terytorialnych wobec Rosji (jak w memorandum sztokholmskim), bądź w sugestii, że „panslawizm", jak to jest nazwane w jednym z dokumentów dla Rady Kościołów, może z czasem stać się groźniejszy od pangermanizmu, i retorycznym pytaniu, czy będzie przeto roztropne pozostawiać w radzieckiej strefie wpływów państwa bałtyckie i Besarabię, bądź wreszcie w dość jawnych ofertach wspólnej krucjaty antykomunistycznej, na jaką liczył jak się zdaje Himmler. Stanowisko ścisłego koła Becka, na tle tego wachlarza postaw, było stosunkowo umiarkowane, choć i tu nie rezygnowano rzecz prosta z argumentu o „równowadze sił": był to jeden z najpoważniej-

szych argumentów, jakimi wówczas wobec Zachodu rozporządzano, i na chwilę teraźniejszą i na przyszłość.

W najogólniejszej linii aspiracje dużej części „innych Niemiec" zmierzały jak widać do pozycji i roli kraju dość podobnej do tej, jaką potem rychło uzyskała NRF. Nieliczni Anglosasi, którzy już w latach 1942—43 sprzyjali takim sugestiom, mówią więc dzisiaj z przekąsem, że ich rządy zrobiły w końcu i tak to samo, co im radzono wtedy, tyle że o kilka lat za późno.

Churchill i rzecznicy USA odrzucali rzeczywiście wszystkie bez wyjątku propozycje niemieckie bardzo stanowczo. Dotyczyło to nie tylko próśb o gwarancje czy bodaj pertraktacje. Tutaj mocarstwa zachodnie były skrępowane dodatkowo przez umowę, jakiej zażądał właśnie Związek Radziecki, i która została podpisana 26.5.1942. W umowie tej strony zobowiązały się uroczyście do nieprowadzenia żadnych odrębnych rozmów z żadnym rządem niemieckim, hitlerowskim czy też niehitlerowskim. Wobec zniecierpliwienia ZSRR odwlekaniem się inwazji, musiano unikać nawet pozoru naruszenia tego postanowienia. W Anglii długo nie chciano jednak nawet zaznaczyć oficjalnie, że się wprowadza jakąkolwiek różnicę między hitlerowcami a całym narodem niemieckim. Dopiero w niespełna trzy miesiące potem, jak uczynił to bardzo jasno Stalin (6.11.1942), rzecznik rządu brytyjskiego stwierdził powściągliwie, w odpowiedzi na interpelację Bella w Izbie Lordów (27.I.1942): „W imieniu Rządu Jego Królewskiej Mości oświadczam, że zgadzamy się z premierem Stalinem w tym, iż po pierwsze państwo hitlerowskie winno być zniszczone i po drugie cały naród niemiecki nie jest przez to samo skazany na zagładę, jak to próbuje mu wmawiać Goebbels w swej propagandzie" [19].

Spiskowcy znaleźli się więc z kolei w dylemacie odwrotnym niż na początku wojny. Sytuacja nie była już „za dobra", by zaatakować Hitlera, tylko robiła się na to „za tragiczna". Trudno było to teraz czynić bez poczucia, że się pełni, jak wówczas mówiono, rolę „likwidatorską" wobec kraju, służąc celom wroga, a w niczym nie umniejszając grożących klęsk.

Wkrótce jednak wypadki na froncie wschodnim ten kolejny konflikt lojalności nieco uprościły. Stało się jasne, mianowicie, że nawet między klęskami można wybierać. Po odcięciu i zlikwidowaniu pod Stalingradem 300-tysięcznej armii, pozostawionej tam zbrodniczą, prestiżową decyzją Hitlera, oraz po przejęciu ostatecznie przez Związek Radziecki strategicznej inicjatywy, dla doświadczonego sztabowca jak Beck stało się jasne, że zamach, bez względu na wszelkie związane z nim ryzyko, jest konieczny, po to po prostu, by móc bronić przedwojennych wschodnich granic Rzeszy.

19 Op. cit.

Wiosną 1943 r. zaczęto też spieszyć się rzeczywiście. W Afryce północnej, gdzie już w listopadzie 1942 wylądowały wojska sojusznicze, zbliżała się klęska, po której należało się spodziewać rychłej kapitulacji Włoch. Inwazja we Francji zaczynała coraz wyraźniej rysować się na horyzoncie. Na całym froncie wschodnim posuwała się zwycięska radziecka ofensywa. A la longue nie można już było jej powstrzymać. Był najwyższy czas usunąć Hitlera za wszelką cenę. Postawieni przed faktem dokonanym Anglosasi byliby może skłonni mimo wszystko do pertraktacji, przed inwazją. Lecz już nie po niej. Nawet zaś w razie inwazji na Zachodzie, trzeba było, rozumowali ludzie Becka, zatrzymać przede wszystkim wschodni front. Tymczasem strategiczne szaleństwa Hitlera mogły to całkiem uniemożliwić. Jeśli zyskiem z działania miał być tylko wybór okupacji, to i tak trzeba było działać, myślano.

Za pośpiechem przemawiały także inne względy. Od lat już trwał spór między Gestapo a Abwehrą o zakres kompetencji. W roku 1936 zażegnano go umową o „dziesięciu przykazaniach", ograniczającą działalność wywiadu i kontrwywiadu wojskowego tylko do spraw czysto militarnych. Canaris nigdy sobie jednak z tego wiele nie robił, i miał szeroką sieć informacji i akcji również politycznych. Heydrich, który nie mógł znieść faktu, że istnieje w Rzeszy jakaś niezależna od niego organizacja, podejrzewał coś z tego wszystkiego oczywiście i w r. 1942 zażądał nowego porozumienia, jeszcze ściślej ograniczającego działalność Abwehry. Podpisano je w maju, na parę dni przed zamachem, w którym Heydrich zginął. Gestapo szukało jednak dalej najwyraźniej pretekstu, żeby Canarisa skompromitować. Jeszcze wiosną 1942 stwierdzono, że zajmujący w grupie Ostera kluczową pozycję Hans von Dohnanyi, oraz jego szwagier, Dietrich Bonhoeffer, są obserwowani. Ich poczta była kontrolowana, telefony na podsłuchu. W czasie procesu Halema i Mumma w lutym Gestapo dopytywało się również o związanych z Osterem Schlabrendorffa i Guttenberga, i to bardzo dociekliwie. Jesienią aresztowano w związku z jakąś wpadką dewizową w Pradze konsula portugalskiego w Monachium, Schmidhubera, który był jednym z łączników Abwehry na zagranicę. Gestapo wpadło na trop tak zwanej „operacji 7", która polegała na przeszmuglowaniu do Szwajcarii kilkunastu Żydów, zagrożonych deportacją. Dopytywano się w związku z tym Schmidhubera już wprost o Dohnanyiego i Bonhoeffera. Uzyskana z trudem przez Canarisa poręka generała Keitla ochroniła jeszcze tym razem Abwehrę od interwencji Gestapo na jej terenie i sprawę dewiz oraz wyjazdu Żydów zatuszowano. Nie wróżyło to wszystko jednak nic dobrego, tym bardziej, że wybuchły niedawno skanda-

le w Ministerstwie Lotnictwa, gdzie nakryto działającą od lat, z radiostacją i aparatem propagandowym, komórkę komunistyczną Rote Kapelle, i w Monachium, gdzie z kolei pojawiły się studenckie ulotki i stwierdzono istnienie nielegalnej organizacji „Białej Róży". Gestapo szalało więc i nie miało z pewnością zamiaru pozostawić Abwehry w spokoju, to zaś oznaczało bezpośrednie już zagrożenie całej centrali spiskowej Ostera.

Trzeba było tedy działać jak najszybciej. Poczyniono już wiele kroków organizacyjnych. W lutym generał Olbricht miał przygotowany wojskowy i cywilny aparat, który miał na jego rozkaz natychmiast przejąć władzę w Berlinie, Wiedniu, Kolonii i Monachium. Pułk kawalerii Grupy Armii „Środek", pod dowództwem Boeselagera, był przygotowany na rozprawienie się z Hitlerem i jego świtą w czasie planowanej na pierwsze dni marca inspekcji, a po otrzymaniu meldunku o tym Olbricht miał zacząć działać w Berlinie. Głównodowodzący „Środka", generał Kluge, miał wesprzeć spiskowców swym autorytetem i zarządzić natychmiast skracanie linii frontów, co pozyskałoby mu, jak sądzono, przychylność dowódców i sztabów.

Hitler, odłożywszy swoim zwyczajem przyjazd parę razy, przybył wreszcie 13 marca 1943 r. do kwatery głównej Grupy Armii „Środek" pod Smoleńskiem, razem ze świtą, kucharzem i lekarzem do próbowania potraw. Okazało się jednak, że generał Kluge zapadł właśnie na ostrą niedomogę woli. Obawiał się jak lud niemiecki, żołnierze i cały świat (!) osądziliby taki czyn, radził czekać, aż „same zdarzenia przyniosą rozstrzygnięcie". Tresckow postanowił tedy działać na własną rękę. Do samolotu Hitlera podłożono bombę. Miała ona kształt paczki z dwoma flaszkami koniaku, przeznaczonej rzekomo dla generała Stieffla, w Kwaterze Głównej. Samolot wystartował. Przekazano do Berlina telefonicznie zaszyfrowaną wiadomość, że zamach jest w toku. Ale Hitler doleciał spokojnie do Kętrzyna. Gdy na drugi dzień zdołano podmienić dostarczoną rzeczywiście do Kwatery Głównej paczkę, podkładając w jej miejsce autentyczne dwa koniaki, okazało się, że w skomplikowanym angielskim zapalniku, przebiegły poprawnie wszystkie fazy odbezpieczające, i z niewiadomych przyczyn nastąpiła awaria w ostatniej: nie zadziałał zapłon.

Następny plan miał być już aktem typu kamikadze. Generał-major Rudolf von Gersdorff, z grupy Armii „Środek", zdecydował się dokonać zamachu w ten sposób, że miał zbliżyć się do Hitlera i nacisnąć zapalnik dwu bomb, ukrytych w kieszeniach płaszcza. W ten sposób zabiłby go, ale ginąc z nim razem. Miało się to stać w czasie wystawy zdobycznej broni w Berlinie, dnia 21 marca 1943. Hitler jednak, wbrew najdokładniejszemu jak zawsze w takich wypadkach

programowi, wyszedł zaraz po powitaniu i Gersdorff nie zdążył się do niego zbliżyć.

Potem był już okres samych ogólnych i wewnątrzgrupowych klęsk. W kwietniu kontrofensywa na froncie wschodnim nie powiodła się, a w Casablance zwyciężające mocarstwa uzgodniły ostatecznie żądanie bezwarunkowej kapitulacji Niemiec, co przekreślało rachuby na jakiekolwiek jeszcze polityczne zyski z zamachu. Aresztowano Dohnanyiego, Bonhoeffera i Muellera (7.4.1943), wyszły na jaw bardzo niepożądane dokumenty pertraktacji z Watykanem. Canaris wskutek tego wszystkiego, był zmuszony zwolnić skompromitowanego Ostera, co w praktyce likwidowało główny ośrodek koordynujący całe działanie. Beck był operowany i z konieczności wyłączony z akcji na kilka miesięcy. Umarł von Hammerstein, jeden z nielicznych zdecydowanych od początku generałów.

Centrala spiskowa w Berlinie, w której grali dotąd dużą rolę cywile, została więc w praktyce rozbita i trzeba było dopiero montować ją na nowo. W okresie tym wielu zaangażowanych od początku działaczy sądziło, że już teraz zamach nic nie zmieni w katastrofalnej sytuacji i że obstawać przy nim trzeba jeszcze tylko w imię ratowania resztek honoru. Oczywiście i to było dosyć dyskusyjne: argument o „likwidatorskiej roli" był już teraz bardzo realnym argumentem i cokolwiek by się sądziło o obiektywnej funkcji spiskowców, a także ich intencjach, trudno nie widzieć, że konflikt lojalności musiał się teraz znowu pogłębić.

Pesymizmu co do praktycznych celów zamachu nie dzieliły jak się zdaje jeszcze w 1943 r. koła wojskowe. Właśnie one przejęły teraz główną rolę. Koordynatorem wszystkich spiskowych poczynań został po Osterze Stauffenberg, ówczesny szef sztabu u generała Olbrichta. Był on ciężko ranny w Afryce, stracił tam oko, prawą rękę i dwa palce ręki lewej. Jego talenty sztabowe były jednak podobno tak duże, że był dalej w służbie czynnej, tyle że nie na froncie lecz w Ersatzheer, w kraju. Z pomocą Tresckowa, który wystarał się w tym celu o kilkumiesięczny urlop, i majora von Oertzen (ze sztabu Grupy Armii „Środek"), Stauffenberg zabrał się do sztabowego rozpracowania przejęcia władzy przez wojsko. Opracowano rozkazy na moment „Walkirii" (hasło na „wewnętrzne niepokoje") i plan obsadzenia Berlina w pierwszych chwilach po zamachu. Nie było to łatwe. Siły SS w mieście były duże i skoszarowane w pobliżu punktów kluczowych, jak budynki rządowe, radio, elektrownia itp. W nielicznych oddziałach wojsk rezerwowych wciąż następowały przegrupowania i zmiany personalne, co utrudniało przygotowania. Liczono na tak zwany Batalion Wartowniczy (który wbrew swej nazwie miał siłę i liczebność pułku) i na posiłki z okolicznych akademii i szkół wojskowych. Sądzono, że mając poparcie komendanta

miasta, Paula von Hase, oraz części policji przetrzyma się pierwsze krytyczne 24 godziny. Na dni następne przewidywano stan wyjątkowy, przejęcie wszędzie całej władzy przez komendy wojskowe, aresztowanie hitlerowskiego aparatu władzy i rozbrojenie oraz rozproszenie oddziałów SS.

Najtrudniej jak zawsze przedstawiała się sprawa poparcia generalicji. Przekonanych było wprawdzie znacznie więcej niż dawniej: generał Stieffl (szef działu organizacyjnego w Naczelnym Dowództwie), generał Fellgiebel (szef służby informacji), głównodowodzący we Francji — generał Stülpnagel, głównodowodzący w Belgii i Francji północnej, generał von Falkenhauser. Znacznie gorzej było jednak na froncie wschodnim. Kluge, bez Tresckowa, miał znowu problemy i wątpliwości, a potem został ranny w wypadku samochodowym i poszedł na urlop. Z jego następcą generałem Buschem, nie warto było rozmawiać, bo „nie rozporządzał zgoła zdolnością mienia zdania". Feldmarszałek Manstein mówił wciąż o przysiędze i o sztandarze. Sądził prawdopodobnie, że należy przede wszystkim powstrzymywać natarcie radzieckie i obawiał się, że przewrót może w tym przeszkodzić. Wojskowi spiskowcy natomiast, też zapewne to głównie mając na uwadze, uważali, że trzeba fronty cofnąć i umocnić, a nawet zbudować jakąś potężną „ścianę wschodnią" i starać się ocalić jak największą ilość ludzi i sprzętu dla obrony samej Rzeszy. To zaś właśnie było bez usunięcia Hitlera niewykonalne.

Usiłowano więc wszelkimi sposobami zamach przyspieszyć. Prócz różnych technicznych trudności (dostęp do obwarowanej trzema pierścieniami ochronnymi Kwatery Głównej miało bardzo mało osób, a Hitler coraz rzadziej dawał się stamtąd wywabiać), trwały jednak wciąż, a nawet się wzmogły, opory psychologiczne. Ponieważ ich charakter trudno zrozumieć i opisać Polakowi, niechże mówi sam za siebie tekst niemiecki. Mowa w nim, pamiętajmy, o latach 1943 i 1944, kiedy wszystko już, bez reszty było jasne.

„Niektórzy, głównie cywile, byli zdania, że Hitlera nie należy zabijać, a tylko uwięzić. Zamach na jego życie wzbudziłby odrazę u Niemców, których przeciętny charakter jest wszak słaby i sentymentalny. Przedstawiałby i to także niebezpieczeństwo, że mogłaby się potem utworzyć legenda, mówiąca, że pod jego dowództwem wszystko jeszcze by się dobrze ułożyło. Przede wszystkim jednak, mając Hitlera w ręku, można będzie wytoczyć mu proces na oczach świata i wykazać prawnie absurdalność jego i jego systemu. Pogląd ten reprezentował przede wszystkim Goerdeler. Niektórzy jednak, głównie z grupy wojskowej, byli innego zdania. Żołnierze, którym przypadło w udziale samo wykonanie zamachu, uważali uwięzienie Hitlera za prawie wykluczone, jeśli

nie całkiem niemożliwe. Znali postawy i nastroje w wojsku. Wiedzieli przede wszystkim, czym jest przysięga dla niemieckiego żołnierza. Zdawali sobie sprawę, że 70-milionowy naród niemiecki, duża część nie-niemieckiej ludności i nawet pewni ludzie w szeregach walczących z Rzeszą mocarstw są wciąż jeszcze w mocy zafascynowania Hitlerem. Europa przypominała klasę w szkole, przed którą stoi Hitler, z rózgą w ręce, jako nauczyciel. Wszyscy uczniowie żywią mniej lub bardzej skrytą trwogę: kogo teraz wyrwie? W kołach wojskowych sądzono, że póki Hitler żyje, póty trwać musi to urzeczenie jego osobą. Grupa ta uważała więc za najpilniejsze zadanie zadać cios, który to urzeczenie usunie i stworzy w Niemczech stan zwolnienia spod przysięgi. Ten pogląd, reprezentowany przede wszystkim przez Becka, przeważył w końcu. Zdecydowano się Hitlera nie uwięzić, lecz zabić. (...)

Każdy jednak, kto nosił broń i używał broni, wie, jak trudno jest zastrzelić z bliska człowieka. Przy sprawdzaniu, kto podjąłby się takiego zadania, okazywało się ciągle, że nawet ci, co udowodnili już nieraz swą dzielność w wojnie, uważali, że do takiego czynu nie są zdolni. Tak na przykład trzydziestoletni kapitan von Boeselager, odznaczony za męstwo w walce z nieprzyjacielem krzyżem rycerskim, liśćmi dębowymi i mieczami, odmówił wykonania go, twierdząc, że zrobić czegoś takiego nie byłby w stanie. Chciał natomiast podjąć się zdobycia ze swoim pułkiem Kwatery Głównej. Pułk ten jednak był w Rosji i nie dało się przeprowadzić jego przeniesienia do Prus Wschodnich. Inny kandydat, kapitan von Haeften, oficer do zleceń Stauffenberga, uważał, że z powodu swoich chrześcijańskich przekonań, nie może wziąć na swoją odpowiedzialność tego, że na skutek dokonania zamachu mógłby może zabić też kogoś z otoczenia Hitlera" [20].

Sprawa w drugiej połowie roku 1943 wyglądała więc przez jakiś czas beznadziejnie, gdyż żaden niemiecki oficer, także w opozycyjnych kołach, nie był z tych czy innych przyczyn w stanie podnieść ręki na fuehrera. Pojawili się w końcu znowu dwaj ochotnicy, gotowi go zabić, lecz tylko — podobnie jak Gersdorff — ginąc z nim razem (Axel von dem Bussche i Ewald-Heinrich Kleist). Chcieli rzucić się na Hitlera z bombą pod płaszczem w czasie wystawy projektowanych nowych mundurów w Berlinie. Hitler odkładał jednak jak zawsze przybycie, a gdy miał już przyjść na pewno, teren wystawy został w przeddzień doszczętnie zbombardowany.

W sztabie Grupy Armii „Środek" projektowano więc z kolei napad zbiorowy. To wydawało się jeszcze psychologicznie wykonalne, nie chodziło wszak o samodzielny czyn i decyzję jednostki,

---

20 Fabian von Schlabrendorff, *Offiziere gegen Hitler*, Frankfurt/M. 1965.

czy jednakże zdobyto by się na to — nie wiadomo. W każdym razie, usiłowano istotnie skłonić Hitlera do przyjazdu, co się jednak nie udało: nie chciał widać ryzykować zbyt wielu spotkań z armią już teraz.

Tymczasem sytuacja pogarszała się dalej pod każdym względem. Jeszcze zimą 1943 r. Hitler miał powiedzieć Canarisowi w oczy, że wie o spisku, i w swoim czasie porachuje się z Beckiem i Goerdelerem, a w lutym 1944 Canaris został zdymisjonowany. W czerwcu rozpoczęła się inwazja w Normandii, a na Wschodzie rozbito w trzy tygodnie trzydzieści trzy dywizje niemieckie i armia radziecka wkroczyła na wschodnie tereny Polski. W Berlinie, w którym Canaris nie mógł już teraz nikogo osłaniać, po odbytym na żądanie Lebera pierwszym spotkaniu przedstawicieli spiskowców z komunistami (23. 6. 1944), Gestapo wszystkich uczestników aresztowało. Grunt palił się więc pod nogami i to ze wszystkich stron na raz. Zamach jednak, rozumiało to już teraz także wielu wojskowych, miał już sens głównie honorowy. Było bardzo wątpliwie, czy się zdoła dzięki niemu czemukolwiek jeszcze zapobiec, co musiało czekać Niemcy. Nawet dla samego tylko bronienia granic Rzeszy był już teraz, latem 1944, bardzo problematyczny, ze względu na ryzyko zamętu, jakie przedstawiał. Zresztą „obrona" ta, sprowadzająca się już dawno tylko do wyboru okupanta, nie mogła się udać bez współdziałania dowódców na Zachodzie. Tymczasem postawa generalicji, i to mimo przeważających w niej przecie postaw pro-zachodnich, była nadal akurat taka sama jak przedtem. Kluge, obecnie głównodowodzący na Zachodzie, któremu sugerowano, że frontu tam zbytnio bronić nie należy, odpowiedział na przykład, że nie może nic absolutnie robić w takim kierunku.

W takiej sytuacji obstawanie przy zgładzeniu Hitlera stanowiło akt w dużej mierze desperacki i dla grona bezpośrednich wykonawców zamachu było to jak się zdaje dosyć jasne. Stauffenberg, już po podjęciu swej decyzji, twierdził przecie otwarcie, że „nic to już nie zmieni w beznadziejnym politycznym i militarnym położeniu". Wiedziano również, że szanse udania się całej operacji są dość wątłe. Tresckow jednak mówił, że „trzeba działać, choćby zamach miał się nie udać, gdyż nie chodzi już o cel praktyczny, tylko o to, aby niemiecki ruch oporu zdobył się na ten decydujący gest wobec Historii. Wszystko inne jest w porównaniu z tym obojętne". Miał poczucie, jak świadczą relacje z jego ostatnich godzin przed popełnieniem samobójstwa, 22 lipca 1944, że wraz ze swymi współtowarzyszami pełnił rolę biblijnych „dziesięciu sprawiedliwych", przedstawicielsko jakby rehabilitujących zbrodnie i inercję tysięcy współrodaków.

Dzieje zamachu lipcowego są u nas na ogół znane. Stauffenberg, który od 1 lipca 1944 był szefem sztabu u Olbrichta i brał przeto udział w odprawach u Hitlera, udawał się na nie z bombą w teczce trzykrotnie. Pierwszy raz, 11. 7. 1944, w Obersalzberg koło Berchtesgaden, zamachu nie dokonał, bo nie było Himmlera, który też powinien był zginąć. Drugi raz, 15. 7. 1944, już w Prusach Wschodnich, Hitler wyszedł niespodziewanie w środku obrad i już nie wrócił. Trzecia kolejna odprawa, 20. 7. 1944, nie odbywała się jak zwykle w bunkrze, tylko w nieumocnionej herbaciarni, bez dachu, którą siła wybuchu rozniosła wraz z ludźmi, tak że zginęły tylko 4 osoby. Hitler (obok którego krzesła Stauffenberg pozostawił teczkę z odbezpieczoną bombą, wychodząc rzekomo do telefonu), potłukł się tylko i skaleczył rękę.

Stauffenberg, który w chwilę po wybuchu widział fuehrera na ziemi we krwi, był podobno przekonany, że zginął. W Berlinie rozpoczęto operację „Walkirii". Wieść, że zamach się nie udał, rozniosła się jednak szybko, większość chwiejnych cały czas oficerów i urzędników przeszła co prędzej na stronę SS i hitlerowcy rychło sytuację opanowali.

Generał-pułkownik Friedrich Fromm, głównodowodzący wojsk rezerwowych, aresztowany poprzedniego dnia przez spiskowców, został zwolniony i aresztowano z kolei, w jego własnym gabinecie, grupę przywódców spisku, z Beckiem na czele. Stauffenberg, Haeften, Olbricht i Mertz zostali — rzekomo z wyroku sądu doraźnego — skazani na natychmiastowe rozstrzelanie. Beckowi Fromm zezwolił, by sam wyciągnął konsekwencje z sytuacji. Strzelał dwa razy lecz niecelnie. Żył jeszcze, gdy skazanych wyprowadzono i na dziedzińcu przebrzmiała salwa plutonu egzekucyjnego. Jakiś sierżant, na rozkaz Fromma, strzelił po raz trzeci.

Anna Morawska

ANNA MORAWSKA

ALFRED DELP SJ
(15. 9. 1907 — 2. 2. 1945)

...To ci piszę w kajdanach. Skutych rąk nie zapisuję ci w spadku. Lecz niechże dana ci będzie piękniej, oględniej, bezpieczniej wolność, która — nawet skuta — zostaje sobie wierna.

(Z listu do nieznanego już chrzestnego syna, Alfreda Sebastiana)

Ojciec Delp urodził się 15 września 1907 r. Po maturze wstąpił do jezuitów. Pod koniec blisko dziesięcioletniego okresu studiów napisał książkę pt. *Tragische Existenz*. Stanowiła ona krytyczny dialog z poglądami Heideggera. W r. 1937 A. Delp otrzymał święcenia kapłańskie. Sytuacja w Niemczech budziła już wtedy jego najwyższy niepokój. Przerażała go bierność chrześcijan. W licznych odczytach i artykułach dawał po wielokroć wyraz swemu przeświadczeniu, że „właśnie kiedy historia wyrodnieje, bije godzina, gdy człowiekowi nie wolno jej zdradzać. Jest to pierwsze prawo wolności i wolność musi być mu wierna, nawet za cenę osobistej katastrofy".

Ojciec Delp, co na tle jego doświadczeń nie jest niezrozumiałe, oceniał raczej pesymistycznie kulturę i cywilizację współczesną, a także zdolność człowieka do stawiania czoła jej zasadzkom. Sądził, że tylko coś w rodzaju geograficznego chrześcijaństwa, w unowocześnionej oczywiście formie (gdyż zdawał sobie dobrze sprawę z ewolucji historycznej), mogłoby uratować ludzkość. Liczył bardzo na chrześcijańskie doktryny społeczne i na rolę wychowawczo-polityczną Kościoła w przyszłych Niemczech. Tym większą jego troską była więc głęboka odnowa tego Kościoła, tym bardziej niepokoił go, a nawet gorszył, brak społecznej odpowiedzialności u katolików.

Wszystkie te poglądy głosił najpierw w miesięczniku jezuitów „Stimmen der Zeit", gdzie pisywał głównie na tematy społeczne (oprócz studiów teologicznych, ukończył także socjologię). Kiedy w roku 1941 „Stimmen der Zeit" zlikwidowano, pracował jako duszpasterz w parafii św. Grzegorza w Monachium. Był tam nie-

zwykle popularnym kaznodzieją i prelegentem. Starał się, w miarę jak było to wówczas możliwe, budzić krytycyzm i sumienie katolików niemieckich, uświadamiając im, że rasizm, bałwochwalczy kult fuehrera i ślepe posłuszeństwo nie są do pogodzenia z chrześcijaństwem. Ta jego postawa była oczywiście znana NSDAP, co odbiło się potem na jego procesie. Z tego okresu datuje się druga jego książka pt. *Człowiek i historia*. Pisał w niej między innymi: „Świat to znaczy także historia. Historia zaś to nie suma dat, wojen, nazwisk i traktatów pokojowych, o jakich uczymy się w szkole. Historia to rozwój. Rozwój, między innymi, ludzkiego poznania, który odbywa się w ciągłym splocie i przeciwstawieniach różnych kierunków wiedzy. A więc postęp, odkrywanie nowych znaczeń, możliwości, nowych potrzeb życiowych, nowych uprawnień. Lecz historia to nie tylko sam ewoluujący ogląd rzeczy. Poznanie ludzkie dokonuje się do reszty dopiero w czynie. Historia to więc również ludzkie decyzje, podejmowane w oparciu o posiadaną wiedzę. Dlatego nie wolno człowiekowi uchylać się od angażowania się w nowe sytuacje. (...)

Nie wolno mu jednak także dopuszczać do zagubienia się w historii. Musi być w niej kontrolującym duchem i rozstrzygającą wolnością. Kiedy bowiem historia znajduje się tylko w jego ludzkich rękach, będzie psuta i nadużywana. (...) Natomiast jako duch, człowiek uważa swe powiązania ze światem za potrzebne, lecz stanowiące zarazem więź z prawami nadprzyrodzonymi, które są mu nałożone, wobec których jest odpowiedzialny w swoich wolnych decyzjach, i które zabezpieczają jego los w wieczności".

Zaangażowanie we współczesność w celu realizowania na jej społeczno-politycznym terenie nadprzyrodzonych praw i „porządków", uważanych za dane od Boga, było więc główną inspiracją życiową ojca Delpa. W swej ocenie możliwości takiego przedsięwzięcia był długo optymistą. Uważał, że trzeba na to tylko większego zapału społecznego chrześcijan. Jego zdaniem, zło dlatego jedynie jest tak potężne w historii, „że tak mało owocne jest dobro, że tradycja przedstawia je w sposób sfałszowany, jako senność i nawyk, że płynące zeń poczucie przyzwoitości jest unieszkodliwiane przez identyfikowanie go z walecznością i bezmyślnością poczciwych Niemców, że jego zasadniczą afirmację życia lokalizuje się nie w życiu samym, lecz gdzieś obok".

Nic dziwnego, że kiedy wiosną 1942 r. ojciec Delp dowiedział się, że grupa Moltkego, pracująca nad projektami „lepszych Niemiec", poszukuje eksperta od spraw społecznych i szczególnie od kościelnych doktryn na ten temat, przystał z zapałem na tę współpracę i postawił do dyspozycji Kreisauer Kreis także swe liczne kontakty i nawet swe mieszkanie w Monachium.

O tym, jak dokładnie to zaangażowanie rozumiał, mamy niewiele danych bezpośrednich. Jest zrozumiałe, że linia obrony na procesie szła w kierunku zminimalizowania politycznych zamierzeń Koła, i że również w osobistych notatkach unikano wdawania się tu w szczegóły. Po wojnie zaczęły się rychło pojawiać w NRF zarzuty wobec „innych Niemców" z czasów Trzeciej Rzeszy, o brak patriotyzmu czy też zdradę. W biografiach zaczęto więc kłaść nacisk na ich narodową lojalność oraz na „legalność" ich postępowania. Dotyczy to również Kreisauer Kreis. Przy uwzględnieniu pewnej poprawki na ten specyficzny kontekst aktualny, przyjąć jednak można, że rola ojca Delpa w kole Moltkego i sposób, w jaki rozumiał charakter i cele tej grupy, zbliżały się do opisu o. Simmela SJ. Czytamy w nim:

„Z listu Moltkego do żony wiemy, za co skazani zostali członkowie Kreisauer Kreis z Kreisau (Krzyżowa). W swym pożegnaniu pisał on, że (...) omawiane były sprawy praktycznych wymogów chrześcijaństwa, nic więcej, i za to, tylko za to, zostaliśmy skazani. (...)

Odnieść to można także do ojca Delpa. Był on wprawdzie porywającym mówcą, ale nie można powiedzieć, żeby miał w owych czasach jakiś jasno zarysowany program społecznego i politycznego działania. Darmo szukalibyśmy w jego pismach konkretnych propozycji strukturalnych czy modeli tego, jak można by zorganizować społeczeństwo, państwo czy na przykład oświatę. Nie jest to przypadek, że ludzie z Kreisauer Kreis nie myśleli o przewrocie siłą. Co prawda, po aresztowaniu Moltkego, w styczniu 1944 r., niektórzy członkowie grupy przyłączyli się do ruchu zamachowców, lecz nie Alfred Delp, który 21 lipca była bardzo zaskoczony tym, co zaszło w Berlinie. Dlatego też niektórzy ludzie, patrząc z demokratycznej perspektywy Zachodu i Republiki Federalnej, uważają członków Kreisauer Kreis za dosyć oderwanych od świata idealistów, którym brakło zdecydowania w działaniu politycznym i którzy woleli wycofać się w sferę różnych rojeń o przyszłości, przy śląskich kominkach.

Naszym zdaniem, ocena taka jest fałszywa. Właśnie w tym Kole niemiecki ruch oporu znalazł swój najgłębszy wyraz. Właśnie w nim (proces dowiódł tego najwyraźniej) obnażona została istota totalitaryzmu, jego uzurpacje, jego drobnomieszczańska brutalność, jako zdecydowanie niezgodne z wiarą. Ludziom z Koła, i szczególnie Delpowi, szło przede wszystkim nie o poglądy polityczne (choć odrzucali hitlerowski system) i nie o polityczne formy i oblicze życia społecznego, kulturalnego i państwowego, tylko po prostu o sumienie. O jego prawo obstawania przy tym, co uznało za dobre, nawet gdyby to był błąd. Sędzia nazistowskiego trybunału, Freisler,

mówił na rozprawie: żądamy całego człowieka. Chyba trafił tu w samo sedno rzeczy".

Ojciec Delp został aresztowany 28 lipca 1944 r. W czasie śledztwa był wielokrotnie bity i katowany. Do ostatniej chwili wierzył, że Bóg ocali mu w jakiś sposób życie, szczególnie odkąd 8 grudnia 1944 r., w dniu zakończenia nowenny o oświecenie, odwiedził go niespodziewanie ojciec von Tattenbach ze specjalnym, wyjątkowym zezwoleniem na złożenie w jego obecności, w więzieniu, ślubów wieczystych. Po długich zwłokach i rozmaitych wewnętrznych trudnościach ks. Delp miał je w końcu składać 15 sierpnia 1944 r., lecz nie zdążył już: był to dzień jego pierwszych bodaj ciężkich tortur. W czasie składania ślubów, w więziennej rozmównicy, obok biurka dyżurującego strażnika, ks. Delp był tak wstrząśnięty, że z trudem tylko powtarzał podobno przepisowe formuły. Uważał wszak to zdarzenie za specjalny znak, a także obietnicę Bożą.

Uwolnienie, na które tak ufnie czekał, przyszło wprawdzie, lecz miało inny charakter niż oczekiwał, nie było zwolnieniem z więzienia w Tegel, nie było ocaleniem życia. Przedstawiony poniżej wybór tekstów ilustruje drogę duchową tragicznych miesięcy, w których jak pisał, „stoi się już tylko w obliczu siebie samego i rzeczy ostatecznych". 11 stycznia 1945 Trybunał Ludowy wydał wyrok skazujący. Ojciec Delp zginął na szubienicy w Ploetzensee dnia 2 lutego 1945 r. Obecnie stoi w tym miejscu kościół Królowej Męczenników. Nad ołtarzem jest jeszcze wciąż ta sama poczerniała belka, z czterema hakami.

Najbliższym nie udało się uzyskać nawet zwykłej w takich wypadkach urny z prochami zmarłego. W krypcie Regina Martyrum stoi jeden sarkofag pusty — symboliczna trumna tych wszystkich, którym nie był dany nawet grób, i których świadectwo jest przez to bardziej jeszcze niezwiązane miejscem, czasem czy pokoleniem — uniwersalne. Podobnie jak ostatnie zapisy ojca Delpa, o „godzinie istot stworzonych", która, w tej czy innej formie, nie jest oszczędzona nikomu i nigdzie.

WYBÓR TEKSTÓW

LISTY Z WIĘZIENIA

Początek września, 1944

...Pewnej nocy, było to gdzieś koło 15 sierpnia, byłem bliski rozpaczy. Odwieziono mnie do więzienia późnym wieczorem, byłem zbity do półprzytomności, SS-mani odstawili mnie do celi ze słowami: „no cóż, spać

się dzisiaj nie będzie, można się modlić, ale żaden pan bóg ani anioł nie zjawi się na pewno na ratunek. Za to my wyśpimy się doskonale i jutro rano będziemy pełni świeżych sił, by spuścić dobre lanie". Potem przyszedł alarm i to było jak zbawienie. Czekałem i czekałem na bombę, która zabije, albo umożliwi ucieczkę. Nie przyszła. Wtedy, z głębi tej nocy, zobaczyłem nagle wszystko. Wpadłem oto w ręce Boga. Bóg przyparł mnie do muru. I już muszę temu teraz sprostać tak czy inaczej. ale ciągle jeszcze wierzę mocno w dłoń, która nas bierze i prowadzi...

Początek października, 1944

Nie wiem, czy to list pożegnalny czy nie, nigdy się dziś tego nie wie. Jak się czuję? Niewiele można powiedzieć. Nie bójcie się. Będę się starał nie rozsypać, nawet jeśli dojdzie do szubienicy. Siła Boża jest z nami na wszystkich drogach. Ale czasem bywa już trochę ciężko. W niektórych godzinach, Jerzy * był już tylko skrwawionym skowytem. Tu tymczasem już wieczór. Piszemy niewiele, bo przeważnie mamy skute ręce w dzień i w nocy. Więc Jerzy starał się jednak ciągle włączyć ten skowyt w jedyne dwie rzeczywistości, dla których opłaca się w ogóle być: w modlitwę i w miłość. Wszystko inne to fałsz. Wierzcie mi, te tygodnie są jak gorzki i nieubłagany sąd nad całym przeszłym życiem. Ono nie przeszło zresztą. Stoi tu ciągle — wielkie pytanie domaga się ostatecznej odpowiedzi, ostatecznego piętna. Jeśli będzie mi danym jeszcze raz...

Tak, jeśli będzie mi danym jeszcze raz! Bóg przyparł mnie nagle do muru, tak zupełnie, tak bez wyjścia. Nie udało się wszystko, czego próbowałem. Zamykały się, jedne po drugich, wszystkie drzwi. Także takie, które miałem za ostatecznie już otwarte. Z zewnątrz nie przyszła żadna pomoc. Tak więc jestem złapany: zamknięty w ciasnej celi, związany. Są tylko dwa wyjścia: przez szubienicę w światło Boga lub przez cud w jakąś nową misję. W które wyjście wierzę?

30. XI. 1944

...Znowu ciężki dzień. Jestem od jakiegoś czasu całkiem osamotniony. Muszę uczyć się, co to znaczy wiara i zaufanie... Są też dobre godziny, pełni, pociechy. Ale na ogół postawieni jesteśmy jakby na linie, i musimy chodzić nad przepaścią, i jeszcze ciągle do nas strzelają, coraz to ktoś spada... Jakże ograniczone jest ludzkie serce w swojej własnej zdolności do wiary, do nadziei. Proście za mną i wierzcie i ufajcie, że Pan rychło przeprowadzi nas na drugi brzeg i postawi znowu na twardym gruncie. I już nigdy nie będziemy go uważali za tak pewny jak czasem przedtem.

---

* Autor pisze nieraz o sobie używając imienia Jerzy (Georg).

22. XI. 1944

Kochani, termin rozprawy nie wypadnie, jak się zdaje, przed 15 stycznia. Ale nie wiadomo na pewno. A teraz będziemy obchodzić Boże Narodzenie. Tak, mimo wszystko, czy też właśnie dlatego, że jest tak jak jest, to będą piękne święta. Dekoracje odpadły i człowiek, uczciwie, bez maski, stoi wprost w obliczu rzeczywistości ostatecznych. Grom, który wypalił w nas swój znak, spopielił idyllę. Tak jednak powinno być zawsze. Jeden z ojców Kościoła nazywa Boże Narodzenie „tajemnicą wielkiego krzyku" stworzenia, wstrząśniętego tym przyznaniem się Boga do człowieka. Że z powodu zwykłego zmieszczanienia nie byliśmy już do tego zdolni, Pan i Bóg znowu nam ukazał, co to znaczy właśnie wstrząs: świat wstrząśnięty, wysadzony z posad. To obalenie całej naszej pewności siebie, generalna dymisja całej naszej ważności, ta bezsilność, na cienkiej linie, wszystko to dobrze uczy zrozumieć Dziecko betlejemskie. Jak już dosyć pojmę, będę mógł zejść z liny.

Po Bożym Narodzeniu, 1944

Kochani, niech Bóg nagrodzi waszą wielką dobroć i miłość. Boże Narodzenie było piękne i spokojne. Udało się dosyć oderwać od tego wszystkiego. Msza o północy była najpiękniejszą pasterką, jaką przeżyłem.

Z medytacji więziennej p.t. „Ojcze Nasz".

Na tym szczycie absolutnym istnienia, od którego oto odszedłem, tyle obiegowych dotąd słów traci sens i wartość. Nie chcę ich słyszeć już więcej. To wszystko leży tak gdzieś daleko, w dole. Siedzę na swej urwistej skale i czekam aż przyjdzie ktoś i mnie zrzuci. Czas ma tu skrzydła anielskie: słychać, jak szumi cicho czy przystaje, wstrzymując oddech, z czci dla wymogów absolutnych tej wyżyny. To, co tam nisko dochodzi jak daleki, spieniony łomot strumienia, skutego za ciasnym korytem. Za wąskie było wszystko, za wąskie na prawdziwe miary i zadania. Zawsze była wszak we mnie ta myśl ukryta, to przeczucie, że to za ciasne, że to nie to. Wśród słów, które zachowały ważność jeszcze tutaj i objawiają swój sens na nowo, zostały prastare modlitwy i przede wszystkim ta, której nauczył nas nasz Pan.

O j c z e. To brzmi dziwnie w tej sytuacji, mówić — Ojcze. A przecie słowo to stało nade mną cały czas. Także w tym miejscu, znienawidzonym i nienawistnym, w którym ludzie grają komedię sprawiedliwości... Zasadniczym nurtem życia jest miłosierdzie i to, co nas w nim po ojcowsku prowadzi. Ach, te wszystkie konstrukcje pomocnicze, te chimery bezradnego, ludzkiego ducha: los, fatum, lud, który jest wieczny... Tutaj, w tym cierpko już czystym powietrzu, brzmi to jak nieartykułowany jeszcze jęk zwierzęcia człowiekopodobnego. To wszystko nie są jeszcze słowa ludzkie.

Bóg jest ojciec, praźródło, dłoń prowadząca, jako miłosierdzie — to są wewnętrzne moce, dzięki którym sprostać można sztormom, uderzeniom burzy... Wszystko inne ma wartość, ale tylko dlatego, że pomaga spotkać na nowo Boga-Ojca.

Nasz. Jednym z najstraszliwszych środków przemocy jest czynienie człowieka przemocą samotnym. Także teraz znowu, bo wiemy, że każdy prawie nosi ten sam wyrok i czeka na jego spełnienie. Nikt więc nie widzi już innych, nikt nie słucha ściszonych głosów towarzyszy tej ostatniej, pełnej mozołu drogi pod górę. Człowek doszedł do miejsca w którym staje w obliczu siebie samego i rzeczy ostatecznych. A przecie wciąż prawdziwe są stare słowa, że niedobrze jest człowiekowi być samotnym, są prawdziwe szczególnie w tej godzinie. Chciałoby się zawołać ku sąsiedniej skale, na której jest ten drugi... Cóż, jednak ludzkie słowa — tutaj — są już bezdźwięczne. Za wysoko, by niósł się głos. Ale Ojcze nasz, i oto przezwyciężona jest odległość. Z kryształową jasnością wstaje prawda, że droga do Boga, przez Boga, zawsze była najbliższą drogą do człowieka. (...)

Który jesteś w niebie... To za mało, kiedy tamta strona egzystencji pozostaje ideą czy ideałem. (...) Jeśli człowiek ma się otworzyć i być prawdziwszy, potrzebny mu jest dialog z ludźmi. Lecz bardziej jeszcze dialog z Absolutem. Dlatego idea lub ideał nie wystarczą. Osobowy jest Bogiem życia. Dopiero w dialogu z Nim, człowiek uczy się fundamentalnych życiowych wartości: adoracji, czci, miłości, zaufania.

Ów świat Boga osobowego to jest niebo. Niebo jest tym, czego człowiek doświadcza jako największego uszczęśliwienia i spełnienia życia. Nie jest to więc najpierw jakaś przestrzeń czy czas, czy „eon" etc. To przede wszystkim Bóg i doświadczenie spotkania z Nim. Ten, kto doświadcza Boga — jest w niebie. Doświadczenie Boga, kiedykolwiek i gdziekolwiek jest nam dane — rozsadza nasze granice i sposoby egzystencji. Wystarczy przypomnieć sobie przeżycia i wypowiedzi mistyków. Skruszenie całkiem naszych sposobów egzystencji, a więc śmierć, jest normalnie warunkiem wstępnym doświadczenia Boga. Tu już rzeczy zupełnie przenikają się nawzajem: to, co człowiek kocha i za czym tęskni: szczęście, niebo, to, co napełnia go lękiem i trwogą: śmierć, skruszenie całego sposobu egzystowania, to, co adoruje i z czcią sławi: Bóg, Jego pełnia — wszystko zbiera się w tym jednym punkcie. Kościół modli się o „amare caelestia" jak o wielką łaskę i dopełnienie.

Święć się Imię Twoje. Ta prośba uczy ludzi prosić o właściwy ideał, o sztandar nigdy nieosiągalny, święty, godny czci. Kiedy w centrum egzystencji nie stoi jakaś wartość nieosiągalna, jakieś dobro, którego nigdy się nie ma w rękach, człowiek i ludzkość lecą w przepaść bez ratunku. (...)

Imieniu Boga winna być składana wielka cześć, o jakiej mowa w tej

prośbie. W sławieniu Boga, w bojaźni Bożej, w szacunku urzeczywistniają się te wartości, które przedtem wymieniałem jako zasadnicze nurty życia. Dla tego urzeczywistnienia trzeba, by Jego Imię było Świętym Świętych, które wymaga zamilkłej ciszy, pokornego dystansu. Bóg, jako przedmiot najgłębszej czci człowieka, będzie zarazem jego życiem. „Nie będziesz miał Bogów cudzych przede mną". Nie ma być święte żadne inne imię. Ileż nam brak, by tak było. Ileż brak także samej religijności! Tylu wśród nas pobożnych, a tak mało autentycznej, pełnej czci Boga. Skromności religijnej, dostałego uciszenia.

Przyjdź Królestwo Twoje. Gdy człowiekowi nie udaje się już orientacja na autentyczny świat nadprzyrodzony, zaczyna chwytać się marzeń, lub czynić sobie różnych bożków: z rzeczy, z ludzi, z dokonań, z ziemskich porządków itp. Znam to. Sam marzyłem i tęskniłem, tworzyłem i kochalem, a to wszystko było właściwie jedną wielką pieśnią tęsknoty za ostatecznym już i trwałym. Ale bożki i marzenia niewiele pomagają. Człowiek wciąż na nowo doświadcza granicy, swego skazania na niedostateczność stworzenia. Przeżyłem i to. Wiem, jak nagle wszystko okazuje się daremne i tylko skorupy trzyma się w rękach, a wierzyło się, że to dzban. Jak się jest jednym krwawym skowytem i jękiem, a chciało się śpiewać pieśń bohatera. Człowiek sam nie daje rady. Sens modlitwy o Królestwo Boże to jest to: żeby nie musiał sam dawać rady, bo może wszak mieć udział w wyższej mocy i sile, w samym Bogu. Także tego doświadczyłem, wiem, jak w jednej chwili człowiek może być wyniesiony ponad samego siebie, i nic go już nie porusza, wszystkiemu zdolny jest sprostać, nawet gdy obraca się inaczej, niż oczekiwał. (...)

Bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi. ...Przez to przystanie na Bożą wolę i Boży ład, człowiekowi udaje się być człowiekiem i być wolnym. Bez niego — jest wiecznym niewolnikiem własnej trwogi i rzeczy, w które się wczepia. Trzeba zaniechać walki o siebie, zostawić siebie niejako gdzieś z tyłu, by się odnaleźć. Trzeba raz dokonać ostatecznie tego rozstania, by móc mówić w ogóle o własnym szczęściu. Bo że jest to szczęście — stan błogosławiony — dowodzi rozkosz, jaka rodzi się z takiego wydania: jest niebiańska. (...)

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. Chleb stanowi autentyczną troskę człowieka, która ostaje się przed obliczem Bożym. Jest rzeczą ludzką troszczyć się o chleb i o chleb prosić. Można z chleba robić idola, a bożka z brzucha. Tak, ale trzeba też raz być głodnym, tygodniami, trzeba wiedzieć jak to jest, gdy nieoczekiwany kawałek chleba przychodzi jak prawdziwa łaska z nieba, aby nauczyć się go szanować i rozumieć troskę o niego. Póki ludzie głodują i chleb codzienny zdaje im się czymś nieprawdopodobnym, daremnym byłoby głosić im Królestwo Boże czy też ziemskie. (...)

Nie prosimy jednak o pełne stodoły i bogato zaopatrzone spiżarnie, tylko o chleb „codzienny", na dzisiaj. Przebija przez te słowa prawda o zasadniczym niezabezpieczeniu i zagrożeniu ludzkiego życia. I to także, że niezawodne jest w nim tylko zaufanie, nie żadna pewność. (...) Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Wina, nie tylko w sensie osobistego w nią uwikłania, lecz też w sensie zaniedbań i nieodpowiedzialności, zanadto zanika w naszym zachodnim horyzoncie duchowym. Ale to właśnie mam na myśli, mówiąc o winie jako zjawisku naszego życia codziennego. Że jesteśmy winni, bo zawodzimy, bo nas nie ma tam, gdzie powinniśmy być. Że jesteśmy winni, bo w określonym czasie, w danej nam historycznej godzinie, przystajemy, aby się działo to, co się dzieje. Jest osobista odpowiedzialność przed Bogiem i jest odpowiedzialność zbiorowa. (...) Pokolenie nasze potrzebuje ludzi, którzy podejmują jego winę w obliczu Boga.

Nie wódź nas na pokuszenie. O to powinniśmy się modlić z całą powagą. Któż jest pewien jak przetrwa próbę, gdy przyjdzie? Choćby moja droga tu, na tę skałę: przez ileż godzin słabości i nędzy prowadziła. Godzin niemocy i zwątpienia, kiedy się już nic nie wie, co jest prawdą ani co dalej. Jakże bardzo rzeczy mogą zmieniać prawdziwą postać i ukazywać nam się nagle w całkiem innych układach. A nikomu nie będzie darowana jakaś godzina pokuszenia. Tylko w niej człowiek poznaje siebie i wyczuwa jakich decyzji się od niego oczekuje. (...)

Pokuszenie naciera od zewnątrz i od wewnątrz. Władza, przemoc, ból, przeżycie poniżenia, własne niesprostanie, milczenie Boga, zewnętrzna bezsilność — wszystko to wymagać może trudnych decyzji. Z wewnątrz dojść może do tego strach, ten czołgający się w nas sekretnie robak, podgryzający samą istotę człowieczeństwa. Mogą rozpętać się od wewnątrz moce demoniczne, wściekłość, zdziczenie, rozpacz, wola życia, która nie chce ustąpić ze swego. Wszystko to zrodzić może gorzkie godziny, po których świat nie jest już nigdy taki jak przedtem.

Pan nasz kazał prosić, by godziny takie były nam oszczędzane. Radzę wszystkim, by z powagą traktowali tę prośbę. Bo też cóż to był za koszmar! A co będzie dalej, jak długo przyjdzie mi siedzieć na tej krawędzi, czekać, czy będę musiał skakać w dół, czy nie? Nie wiem przecie...

To jest prawda, szczególnie już o człowieku w pokuszeniu: sam nie da rady. Niechże was Bóg strzeże i osłania i niech wam pomoże przetrwać.

Ale nas zbaw ode złego. Ta prośba dotyczy wciąż jeszcze pokuszenia. (...) Zło, o którego odwrócenie tu prosimy, to nie utrapienia życiowe, niedola, troska, nie trudności, wyrzeczenia, ból, krzywda, przemoc itd. tylko taki ucisk, który „wiedzie nas na pokuszenie", przemiesz-

cza punkt ciężkości, spycha na bok to, co centralne, wypacza perspektywy. Widać od razu, że tak zwane „dobre strony" życia mogą być takim „złem" równie dobrze jak sytuacje trudne i twarde. Prosimy o zbawienie od wszystkiego, co stanąć może między nami a Panem i Bogiem. A możemy tym też być my sami. (...)

Z DZIENNIKA BERLIŃSKICH PRZYJACIÓŁ

3. I. 1945: Teraz jest już ustalone, że proces ojca Delpa i innych zaczyna się 9 stycznia. Miał być w połowie grudnia, ale potem termin został przesunięty. Rozprawa potrwa pewnie 2—3 dni.

Z LISTU Z WIĘZIENIA

6. I. 1945: Kochani, teraz więc już tylko się modlić, modlić się i ufać. Nie wolno być wobec Boga skąpym i małym. Ani w dawaniu, ani w żądaniach i oczekiwaniach...

Wyczerpujące jest to piotrowe życie tutaj. Biedak wciąż i wciąż znowu spogląda pod nogi, na wodę, i tonie. Dzieje wewnętrzne naszych czasów to temat sam w sobie. Ileż ran, ale ile także cudów.

Z DZIENNIKA BERLIŃSKICH PRZYJACIÓŁ

11. I. 1945: Cóż za dzień straszliwy. Sześciu skazano na szubienicę. Ojciec Delp, Moltke, Nikolaus Gross i Franz Sperr, były dyplomata z Monachium; w następnej rozprawie dr Andreas Hermes, dr Steltzer. Trzy wyroki długoletniego więzienia: dr Franz Reisert, Fugger i duchowny ewangelicki Eugen Gerstenmaier, oddany sąsiad ojca Delpa w więzieniu. O rozprawach wiemy tylko, że były prowadzone w sposób wręcz oburzający. Wszyscy oskarżeni trzymali się dobrze, nawet bardzo dobrze, jak mówił jeden z adwokatów.

Z LISTÓW H. J. MOLTKEGO

LIST DO ŻONY Z DNIA 14. I. 1945

...Potem doszło do narad w Monachium. Okazały się jednak znacznie bardziej niewinne, niż stwierdzono w oskarżeniu. Sypały się za to obelgi na katolickich duchownych i jezuitów: za dozwalanie morderstwa tyranów, za kult maryjny, za antyniemieckość. (...)

W końcu przyszła kwintesencja mojej sprawy: któż więc był w tej grupie? Ach, więc jezuita, właśnie jezuita, to z nim omawia się sprawy oporu cywilnego? A prowincjała jezuitów też pan zna! I on także był raz w Kreisau! Więc to tak: prowincjał jezuitów, jeden z najwyższych dygnitarzy najniebezpieczniejszych wrogów Niemiec, odwiedza grafa Moltke u niego w domu! I pan się nie wstydzi? Żaden Niemiec nie dotknąłby przecież jezuity nawet szczypcami! Ludzie, którzy z po-

wodu swej postawy są wykluczeni nawet ze służby wojskowej! Gdybym wiedział, że w jakimś mieście jest prowincjał jezuitów, wystarczyłoby to prawie, żebym w ogóle tam nie bywał! A ten drugi duchowny, co ten miał tam do roboty? Ich rzecz to zajmować się tamtym światem, a nasz zostawić w spokoju. I biskupów także pan odwiedza! Czego pan szuka u biskupa, u jakiegokolwiek biskupa? Pod czyimi pan jest rozkazami? Pod rozkazami fuehrera i NSDAP! Pan tak samo jak każdy inny Niemiec, i kto, choćby w zamaskowanej formie, odbiera rozkazy od strażników tamtego świata, odbiera je od wroga, i tak też będzie traktowany!

...Najdramatyczniejsze w tej rozprawie było w gruncie rzeczy to: wszystkie konkretne zarzuty okazały się w końcu nie do utrzymania, i porzucono je. Nic z nich nie zostało. Nic prócz tego, czego Trzecia Rzesza boi się tak, że musi uśmiercić ze strachu pięć osób, potem to będzie siedem, a co tak oto wygląda: pewna osoba prywatna, mianowicie twój mąż, bez zamiaru przedsięwzięcia czegokolwiek konkretnego, (to bowiem stwierdzono), omawiał z dwoma duchownymi obu wyznań, z prowincjałem, i z paroma biskupami sprawy, które „leżą w wyłącznej kompetencji fuehrera". Nie omawiano jakichś spraw organizacyjnych, czy odbudowy Rzeszy — te zarzuty odpadły w czasie rozprawy — omawiano tylko praktyczno-etyczne wymogi chrześcijaństwa. Nic więcej. Tylko za to zostaliśmy skazani. W jednej ze swoich tyrad, Freisler powiedział do mnie: „Tylko w jednym jesteśmy tacy sami jak chrześcijaństwo: żądamy całego człowieka!"

LIST DO OJCA DELPA ZE STYCZNIA 1945

... Któż może wiedzieć czemu ma to wszystko służyć w planach Bożych. My możemy tylko jedno: zdać się z radością na Jego prowadzące nas ręce, także wtedy gdy musimy iść w ciemności i nie widzimy przed sobą żadnej nici...

Tak więc, jako właściwe obiekty tej rozprawy, pozostał Gerstenmaier, Ksiądz i ja. Ofensywa Freislera była przeciw Kościołowi katolickiemu i Kościołowi ewangelickiemu. Mnie, świeckiego protestanta, zwolnionego wszak z wszelkich zarzutów o jakąkolwiek przemoc czy interes, i atakowanego najostrzej za stosunki z katolikami, narodowy socjalista Freisler oskarżał po prostu o chrześcijaństwo jako takie. Właśnie ta sytuacja zmusiła go do tak skrajnych i jasnych wypowiedzi na temat nieprzezwyciężalnej niezgodności chrześcijaństwa z hitleryzmem, wypowiedzi, które nawet jeśli my zginiemy, zapadną w tę ziemię jak ziarno...

Przez cierpienie nasze, w takiej sprawie, wypełniliśmy więc już jakieś zadanie. Jeśli Pan chce nam dać jeszcze inne, zachowa nas dla niego. Jeśli chce powołać nas do siebie, to dni 9—11 stycznia nadały już

naszemu życiu sens, którego tak brak wielu, większości nawet ludzi umierających teraz wszędzie, zmuszonych do umierania. Za to można być tylko wdzięcznym, nawet jeśli droga prowadzi do Ploetzensee.

Z NOTATEK W WIĘZIENIU. PO WYROKU

Dziwaczne to życie teraz. Człowiek tak prędko przyzwyczaja się z powrotem do własnej egzystencji, że trzeba ciągle przemocą uświadamiać sobie na nowo wyrok śmierci. To jest właśnie cechą charakterystyczną takiego umierania: wola życia pozostaje niezłamana, każdy nerw żywy, póki wroga przemoc nie zdusi wszystkiego. Nie ma wcale zwykłych objawów, znaków ostrzegawczych. Tylko któregoś dnia nagle otworzą się drzwi, i znajomy strażnik powie: zapakować się, samochód za pół godziny. Jak to słyszeliśmy już i przeżyliśmy tyle razy.

Liczyliśmy się właściwie z tym, że od razu w czwartek wieczorem odwiozą nas prosto do Ploetzensee. To, jak mi się zdaje, pierwszy wypadek takiej zwłoki. (...)

Czułem w czasie tego wszystkiego właściwie obojętność. Przypominało to jakąś dysputę akademicką na złym poziomie, tyle że obrońcy też zmieniali się, a przewodniczący od razu z góry wiedział, kto ma rację. Współsędziowie, tak zwany „lud" Trybunału Ludowego, wyglądali tak jak zwykle: dwie pospolite, gorliwie służbiste twarze. Widać było, że czują się w swych niebieskich szatach bardzo uroczyście i mają się za bardzo ważnych, siedząc tak koło czerwonej togi Pana Przewodniczącego. Ograniczeni „dobrzy SA-mani", od wykonywania funkcji ludu: potakiwania.

Wszystko było, niczego nie pominięto: uroczyste wkroczenie na salę, duża liczba policjantów, każdy z nas miał koło siebie dwóch, z tyłu „publiczność", głównie gestapo i tym podobne osoby. Twarze strażników dobroduszne, do wszystkiego przyzwyczajone, takie jak zawsze. Publiczność to przeciętny typ „jednych" Niemiec. „Innych" Niemiec nie ma, albo są właśnie skazywane na śmierć. Brakowało właściwie tylko jakiejś uwertury na początku i finału, już co najmniej fanfar.

Rozprawę prowadzono zręcznie i przebiegle. Tak przebiegle, że nikt nie mógł wtrącić żadnego słowa, które odciążałoby innych, lub przemawiało na jego własną korzyść. Pytano tylko o to, i dopuszczano do głosu tylko to, co według już z góry przyjętej tezy przemawiało za wyrokiem skazującym.

Nasz proces był nastawiony na unicestwienie Moltkego i mnie. Cała reszta to były dekoracje i statyści. Jak zaczęła się moja rozprawa, wyczułem już od pierwszego pytania, ten zamiar. Wszystko było już uporządkowane, kwestie spisane na kartce. Jak odpowiedzi wypadały inaczej, to była scholastyka i jezuityzm. Jezuita zresztą z zasady jest

człowiekiem, który dopuszcza się zdrady każdym oddechem. Może sobie mówić, robić i udowadniać co chce, tak czy owak jest łajdakiem, któremu się w niczym, ale to w niczym nie wierzy. Sprawa Gerstenmaiera na przykład jest o wiele gorsza niż moja. Ale jako duchowny protestancki, o którym, jak mi sam powiedział, sądzi się, że niedługo może być przydatny, okazał się oto tylko „kiepskim teoretykiem", i przymyka się oczy na wszystko: Goerdeler, 20 lipca, Kreisauer Kreis, Moltke, nic się nie liczy. Nie chcę przez to powiedzieć nic przeciw Gerstenmaierowi, to porządny, głęboko wierzący człowiek, któremu serdecznie życzę, żeby żył, i który jeszcze zrobi dużo dobrego. Ale tak właśnie rozstawiono dekoracje, i to się nazywa „prawo". O ludzie niemiecki, w którego imieniu wydano na koniec ten wyrok...

Przedmiotem oskarżenia, naszą zbrodnią, była nasza herezja przeciw dogmatowi, że: NSDAP równa się Trzecia Rzesza, równa się Lud, i że te trzy rzeczy są nieodłączne, żyją i umierają razem. Trzeba będzie, żeby ktoś przypomniał kiedyś Freislerowi jakby to było dobrze, gdyby można było wprowadzić w życie powojenne plany Moltkego, i jego plany w wywiadzie, i ilu ludzi, których skazano, przydałoby się krajowi. (...) Jakimiż głupcami byliśmy przygotowując się rzeczowo na tę rozprawę. Przecież o nic rzeczowego tu w ogóle nikomu nie chodzi. (...)

Także przy ogłaszaniu wyroku, byłem tak wewnętrznie obojętny, jak przez oba dni rozprawy. Aż do teraz Pan mój i Bóg dopomaga mi tak wspaniale i serdecznie. Jeszcze nie jestem przerażony, jeszcze nie jestem złamany. Wiem, że wybije w końcu także ta godzina, godzina istot stworzonych. Czasem zagarnia mnie już fala smutku, kiedy myślę o wszystkim, co chciałem zrobić. Przecież dopiero teraz stałem się człowiekiem wolnym wewnętrznie i o tyle uczciwszym, prawdziwszym, bardziej rzeczywistym niż przedtem. Dopiero teraz widzę plastycznie wszystkie wymiary i perspektywy rzeczy. Ustępują zawężenia i skrzywienia... Tak. A jeszcze ci wszyscy ludzie, którzy zostają.

Nie, mówiąc całkiem uczciwie, nie wierzę jeszcze w szubienicę. Nie wiem sam, co to jest. Może wielka łaska i pomoc ojcowskiego Boga, który w ten sposób pozwala mi przetrwać pustynię? Podczas całej rozprawy, także gdy już widziałem, że „cud" nie nastąpi, byłem gdzieś daleko, gdzieś powyżej, to, co się działo i moje szanse nie poruszały mnie zupełnie. Czy to właśnie jest cudem? A jak nie, co to jest? Czuję się tym naprawdę trochę zakłopotany wobec Boga, muszę to sobie jakoś wyjaśnić.

Wszystkie te gorzkie miesiące dojrzewania i nieszczęścia cechuje ta rzecz szczególna: od pierwszej minuty, byłem wewnętrznie pewny, że wszystko będzie dobrze. Bóg wciąż na nowo umacniał mnie w tej pewności. W ostatnich dniach zacząłem więc już mieć wątpliwości i zastanawiałem się czy nie oszukuję sam siebie, czy to wszystko nie jest po prostu sublimacją zwykłej woli życia w wyobrażenia religijne, czy co

to jest w końcu. Ale te wszystkie wyraźne wydźwignięcia na samym dnie nieszczęścia? Ta pewność i jakaś wewnętrzna nieosiągalność przy wszystkich torturach? To jakieś „a jednak", które wciąż mi mówi: nie będziesz unicestwiony? I jeszcze przecie wszystkie te chwile pociechy w modlitwie, w ofierze Mszy, przed tabernakulum, wszystkie te znaki wybłagiwane i otrzymywane? Nie wiem czy teraz mam to wszystko przekreślić, czy mi wolno? Czy mam dalej mieć nadzieję? Czego chce Bóg? (...)

Była jeszcze druga cecha charakterystyczna tych tygodni, wszystko co tylko podejmowałem, by się ratować, obracało się na złe... Nawet argumenty, które przygotowywaliśmy na swą obronę zinterpretowano tak, że nas bardziej jeszcze obciążyły. Od zewnątrz cały ten bieg zdarzeń był jednym pasmem porażek, przegranych i bezsilności. A w międzyczasie znowu te szczególne obroty spraw: że zostaliśmy w Tegel, że jeszcze żyjemy, choć nastawiliśmy się już na tamten czwartek... Czego chce Pan?

Co mam teraz zrobić, żeby nie okazać się niewiernym? Mieć nadzieję, mimo beznadziejności sytuacji? Czy to będzie niewierność, jak jej się zrzeknę? Czy mam się całkiem poddać, pożegnać tych, co mam do pożegnania, i nastawić się wyłącznie na szubienicę? Czy to tchórzostwo albo bezwładność nie czynić tego jeszcze, wciąż ufać? Czy po prostu mam trwać w wolności wewnętrznej, w gotowości na wszystko cokolwiek przyjdzie? Nie umiem się jeszcze w tym rozeznać, modlę się ciągle o oświecenie i wskazówkę... Że też człowiek musi aż do końca procesować się jeszcze z własnym sercem! Ale niech by to choć było uczciwie, w Duchu Świętym...

W każdym razie, rozluźnić ten skurcz wewnętrzny, wydać się Panu posłusznie, bez reszty. To jest czas siewu, nie żniw. Bóg sieje, i kiedyś dopiero będzie zbierał plony. O jedno będę się starał: przynajmniej paść w ziemię dobrze, jak zdrowe, płodne ziarno. W ziemię, w Jego ręce. Jeśli On chce tej drogi, a wszystko widzialne za tym przemawia, to iść trzeba dobrowolnie, bez goryczy. Może innym danym będzie kiedyś żyć lepiej, szczęśliwiej dlatego, że my dziś musimy umrzeć.

Także przyjaciół proszę, by się nie smucili, lecz modlili się za mnie i pomagali, póki jeszcze trzeba. A potem niech wiedzą, że nie zostałem zabity, lecz oddałem się w ofierze. Nie myślałem nigdy, że moja droga może być taka. Wszystkie żagle chciały stawiać opór wiatrom, mój statek szykował się na dalekie podróże, z podniesionymi dumnie flagami... Ale może były to nie te flagi, zły kierunek, może statek chciał wozić sfałszowane ładunki, bezprawnie zdobyte łupy? Nie wiem. I nie będę szukał tanich pociech w pomniejszaniu życia i Ziemi. Powiem uczciwie i po prostu: chciałbym żyć, chciałbym jeszcze, i dopiero teraz, móc tworzyć, mówić o tym wszystkim, co odkryłem. Stało się inaczej. Oby Bóg dał mi siły na dorośnięcie do tego, co dopuścił.

Muszę jeszcze podziękować wielu ludziom za ich wierność i dobroć i miłość... Pozostańcie wierni, przyjaciele, wewnętrznemu rozkazowi, który nas złączył, i który wciąż na nowo wzywa każdego, kto go słyszy. Zachowajcie miłość do tego narodu, którego dusza, porzucona i zdradzona, stała się aż tak bezradna. Tak też w gruncie rzeczy osamotniona i bezsilna, mimo wszystkich tych maszerujących i deklamujących pewności. Jeśli przez jakiegoś człowieka narodziło się w świecie choć trochę więcej miłości i dobroci, choć trochę więcej światła i prawdy, to jego życie miało sens.

I o tych także nie chcę zapomnieć, których dłużnikiem muszę już zostać. Bardzo wiele mam win wobec wielu. Niechże przebaczą mi ci, których skrzywdziłem. Pokutowałem. Niech przebaczą mi ci także, wobec których byłem nieautentyczny, nieuczciwy. Pokutowałem i za to. I ci, którzy zaznali mego zarozumialstwa, pychy, braku miłości, niech mi darują, niech wiedzą, że przeszedłem pokutę. Niechże wiedzą: w godzinach lochu, w godzinach skutych rąk, ciała, ducha, kruszy się wiele, wypala się do cna to, co nic niewarte i niegodne.

Bądźcie więc zdrowi, wszyscy. Moją zbrodnią jest to, że wierzyłem w Niemcy, w Niemcy już po drugiej stronie możliwej klęski i nocy. Że nie wierzyłem w tamtą prostacką, pyszałkowatą „trójcę" pychy i przemocy. I że czyniłem to jako chrześcijanin katolicki i jako jezuita. To są wartości, za które zostałem zepchnięty na ten ostateczny margines, by czekać tu na swego mordercę.

Pozostało mi więc na koniec uczynić jeszcze to, co czyniłem już tylekroć, skutymi rękoma, i co czynić będę, coraz chętniej, coraz częściej dopóki mi tchu starczy: błogosławić. Błogosławić kraj i lud i tę drogą niemiecką Rzeszę, w jej niedoli i wewnętrznej męce; błogosławić Kościół, aby jego głębokie źródła mogły znów tryskać czyściej i jaśniej; błogosławić nasz zakon, by pozostał zawsze wierny sobie, poprzez wierność wszystkiemu, co jest prawością i co jest misją; błogosławić ludzi, którzy zawierzyli mi i zaufali, i tych, których krzywdziłem, i tych, co byli dla mnie dobrzy, za dobrzy nieraz.

Niech was Bóg strzeże... Ja zaś chcę czekać tu uczciwie na Jego zrządzenie i prowadzącą mnie wolę. Będę pokładał w niej ufność, aż dopóki nie przyjdą po mnie. I będę się starał, żeby także taka odpowiedź Boża nie zastała mnie małodusznym i tchórzliwym.

* * *

Na formularzu więziennym z dnia 30. I. 1945.

Modlić się wierzyć dziękuję Delp

* * *

Z DZIENNIKA BERLIŃSKICH PRZYJACIÓŁ

31. I. 1945: Ojciec Delp odprawił dzisiaj rano, jak zawsze, Mszę świętą w celi w Tegel. Czy ostatnią? Auto, na które czekał każdej godziny od 11 stycznia, przyjechało pod wieczór. Teraz jest w Ploetzensee, domu zgrozy i śmierci, jak mówi język ludu. Ponieważ oczekuje się przełamania frontu przez Rosjan, zarządzono akcję nadzwyczajną. Znaczy to, że kat nie może opuszczać Ploetzensee nawet w nocy.

2. II. 1945: Ojciec Delp umarł dzisiaj na szubienicy. Ksiądz Buchholz mówi, że jeszcze nigdy w życiu nie przygotowywał na śmierć człowieka o tak niezłomnej sile wewnętrznej i cierpliwości.

Dziś jest piątek, dzień Serca Jezusowego, zawsze bardzo własny dzień dla ojca Delpa. Także święto Matki Bożej. I dzień składania ślubów w jego zakonie.

Ksiądz Buchholz zadzwonił wcześnie po południu. Był wstrząśnięty. Zrozumieliśmy: „godzina istot stworzonych", na którą czekał ojciec Delp, nie przemogła go w końcu. Spełniło się, w większym stopniu niż ośmielaliśmy się ufać, to, o co kazał nam się modlić dla niego i z nim razem: „Bóg dał siły na dorośnięcie do tego, co dopuścił".

Ofiarą akcji nadzwyczajnej padli także dzisiaj Goerdeler i Popitz. Również oni szli na śmierć mężnie. Umarli za inne Niemcy. Dr Hermes i dr Steltzer jeszcze żyją. Czy Bóg ocali ich rzeczywiście dla Niemiec lepszych? „Może innym danym będzie kiedyś żyć lepiej, szczęśliwiej dlatego, że my dziś musimy umrzeć", pisał ojciec Delp.

tłumaczenie i wybór: **Anna Morawska**

BIBLIOGRAFIA

Alfred Delp SJ *Tragische Existenz,* Freiburg 1935, Verlag Herder

Alfred Delp SJ *Der Mensch und die Geschichte,* Kolmar 1941, Alsatia Verlag.

Zbiory pism, wydane po wojnie:

Pod redakcją Paul Bolkavac SJ *Christ und Gegenwart*: Tom I — *Zur Erde entschlossen*, Tom II — *Der maechtige Gott,* Tom III — *Im Angesicht des Todes.* Frankfurt am Main 1947—1949, Verlag Josef Knecht.

Pod redakcją Paul Bolkovac SJ *Zwischen Welt und Gott,* Frankfurt am Main 1966, Verlag Joseg Knecht. (Wybór z dwu pierwszych wyżej wymienionych tomów).

Pod redakcją Otto Ogiermann SJ *In Freiheit und in Fesseln. Ein Vermaechtnis,* Lipsk 1965, St. Benno Verlag.

Pod redakcją Otto Ogiermann SJ *In Gottes Kraft. Pater Delps Blutzeugnis,* Lipsk 1965, St. Benno Verlag.

Pod redakcją Marianne Hapig *Alfred Delp SJ Kaempfer-Better-Zeuge. Letzte Briefe, Beitraege von Freunden.* Berlin 1954, Morus Verlag.

ANNA MORAWSKA

KRYSTYNA WITUSKA
(12. V. 1920 – 26. VI. 1944)

Berlińskie więzienia: Alexanderplatz i Alt-Moabit, jak też zresztą inne więzienia w Trzeciej Rzeszy, były w czasie wojny pełne ludzi wszelkich narodowości. Skupiała się w nich rzeczywiście swoista międzynarodówka ruchu anty-hitlerowskiego, „międzynarodówka straceńców", jak pisała niedawno Wanda Kiedrzyńska [1], w przedmowie do opracowanego przez siebie zbioru listów dwudziestokilkuletniej Polki, Krystyny Wituskiej.

W chwili, gdy zamykany jest numer „Znaku" o „innych Niemczech", zbiór ten — prosty i wstrząsający dokument najtragiczniejszego ludzkiego braterstwa — znika właśnie, nazbyt niestety szybko, z półek księgarskich. Wielu czytelników, zapewne, nie zdoła go już zdobyć. Tym trudniej oprzeć się pokusie utrwalenia bodaj jego fragmentów jeszcze raz, i to właśnie obok tych innych, niemieckich świadectw. Dzieje i nawet poszczególne intencje członków „więziennej międzynarodówki" były bardzo rozmaite. Różnica mentalności Polaków i Niemców uderza najbardziej może właśnie w ich reakcjach na uwięzienie. A przecież testament ostateczny wszystkich tych ludzi, prawdy, które ostawały się do końca i które chcieli przekazać odchodząc, były w istocie bardzo podobne, i pozostały na zawsze chyba zobowiązaniem dla żyjących.

Krystyna Wituska (urodzona 12 maja 1920), została zaaresztowana w październiku 1942 r. w Warszawie, gdzie pracowała w komórce wywiadowczej AK. Po krótkim pobycie na Pawiaku, została przewieziona do więzienia policyjnego na Alexanderplatz w Berlinie. Potem sprawę jej skierowano do sądu wojskowego, a ją samą, razem z dwoma współpracowniczkami z AK (Marią Kacprzykówną i Wandą Kamińską), przeniesiono do podlegającego prokuraturze wojennej więzienia śledczego Alt-Moabit. 19 kwietnia 1943 r. sąd wojenny skazał Krystynę Wituską na śmierć za szpiegostwo i współdziałanie w zdradzie stanu. Jej towarzyszki, które utrzymywały, że działalności wywiadowczej nie prowadziły, a przechodziły tylko szkolenie, skazano na kilka lat obozu karnego. (Krystyna, nie wierząc w celowość takiej obrony, nie zaprzeczała

---

[3] *Na granicy życia i śmierci. Listy więzienne Krystyny Wituskiej.* Opracowała, wstępem i przypisami opatrzyła Wanda Kiedrzyńska. Warszawa 1968, Państwowy Instytut Wydawniczy.

stawianym jej zarzutom). W grudniu 1943 r. Krystyna Wituska została przewieziona do więzienia w Halle/Saale. 26 czerwca 1944 r., po odmówieniu przez Hitlera ułaskawienia, wykonany został wyrok śmierci.

W listach do rodziców, i to właśnie z okresu po wyroku, uderza nastrój niewiarygodnej wprost pogody czy nawet niefrasobliwości. Na pierwszy rzut oka zdawać się może, że Krystyna bądź nie wierzyła do końca w czekającą ją śmierć, bądź pragnąc pocieszyć choć trochę najbliższych „zgrywała się" w listach w sposób mistrzowski i konsekwentny. Nie było tak jednakże. Przy uważniejszym czytaniu, widać, że te dziecinne, wprost błahe czasem zdania kryją, a raczej wyrażają najswobodniej — najwyższą chyba osiągalną dla człowieka dojrzałość. Krystyna zdołała po prostu „zapomnieć o sobie" najdosłowniej, i to do tego stopnia, że nawet o śmierci myślała już niemal obojętnie, jak o przykrej lecz krótkiej operacji. Żyła naprawdę całą troską o innych: o matkę, która — w tych listach — wydaje się raczej jej dzieckiem, o dawnych przyjaciół i nowe towarzyszki z celi, o siedzącego jakiś czas w tych samych murach Zbyszka (Walca), który ją kochał, i któremu trzeba było oszczędzać wiadomości o własnym wyroku... Ów zupełny brak egocentryzmu pozwalał zarazem cieszyć się bez zastrzeżeń nie tylko cudzym ocaleniem, ale także każdym najmniejszym dobrem, jakie niosło codzienne życie: paczką z domu, dobrym żartem, kwiatem rumianku w więziennej szklance... Wielki i być może decydujący wpływ miała na Krystynę w więziennych latach młoda komunistka niemiecka — Rosemarie Terwiel, z którą spędziła czas jakiś we wspólnej celi na Alexanderplatz. Również więc owa „Mimi", którą kochała gorąco, aż do śmierci, i jej nieznany narzeczony — Helmut zajmowali jej myśli i serce stokroć bardziej niż własny wyrok. „Umieramy wolne, tak, wolne!", pisała Krystyna Wituska, nie wiedząc może nawet jak głęboką i jak rzadką wolność osiągnęła rzeczywiście.

Nie była ona jednak naturą tylko uczuciową, nieskłonną do refleksji i formułowania poglądów na świat i życie. W listach do rodziców, bez wątpienia, pozostawała bardziej dzieckiem niż w istocie była. Częściowo może z potrzeby serca, a częściowo — by ich nie martwić zbytnio. W liście do dr Wandy Walcowej (matki Zbyszka) jawi się jednak, oddana w niewyszukanych słowach, osobowość mężna, stoicka, o wyraźnie zarysowanej samoświadomości.

Wśród strażniczek więziennych, z którymi stykała się Krystyna, jedna — Helga Grimpe — odznaczała się wyjątkową dobrocią i uczynnością. Szczególnie serdecznie przywiązała się do młodziut-

kiej, niezłomnej Polki i po wojnie nawiązała kontakt z jej matką. Nasz wybór fragmentów zamyka wypowiedź tej Niemki, również niewątpliwie „innej".

Z LISTÓW KRYSTYNY WITUSKIEJ

Berlin, 19 stycznia 1943

Kochani Rodzice!

Dziękuję Wam serdecznie za Wasze listy i paczki. Otrzymałam znaczki pocztowe, jak również wszystkie ciepłe rzeczy, które mi przysłałaś, kochana Mamusiu. Obecnie już w ogóle nie marznę. Paczki od Ojca sprawiają mi zawsze ogromną przyjemność i są mi nadal bardzo pomocne. Czy jesteście zdrowi? Czy nie jesteś bardzo smutna, Mamusiu? Robię sobie teraz często wyrzuty, że przeze mnie jesteście tak nieszczęśliwi. Nie gniewaj się na mnie kochana Mamusiu i zapomnij, że nie zawsze byłam dla Ciebie tak dobra jak być powinnam. (...)

Wycięłyśmy sobie z tektury ładny krzyż i zawiesiłyśmy na oknie. Pięknie to wygląda, gdy słońce wschodzi albo w nocy, gdy iskrzą się gwiazdy. Niekiedy siadamy wieczorem i godzinami patrzymy przez okno na niebo. Opowiadamy sobie różne historyjki lub bajki i tak nam schodzi czas, aż wreszcie morzy nas sen i kładziemy się do łóżek. Myślę też stale o Zbyszku i jestem przekonana, że ma dobre widoki na przyszłość. Jeśli wiecie, gdzie on przebywa, wyślijcie mu takie same rzeczy jak mnie, na pewno mu są bardzo potrzebne.

Kochana Mamusiu, pozdrów proszę panią Wandę (dr Walcowa) ode mnie i powiedz jej, żeby nie traciła męstwa. Piszcie do mnie dużo, i często. Całuję Was serdecznie. Pozdrówcie proszę serdecznie naszych gospodarzy.

Wasza Tina.

Kochana Siostrzyczko!

Mam nadzieję, że jesteś wraz z całą twoją rodziną wesoła i zdrowa. Tak bym bardzo chciała zobaczyć twojego małego, na pewno jest już duży i silny. Czy mogłabyś mi może przysłać jego zdjęcie? Jestem tak szczęśliwa, gdy pomyślę, że wraz z mężem i dzieckiem żyjesz z dala od wielkiego świata, w ciszy i zadowoleniu.

Czasami zazdroszczę Ci, kochana Halinko, lecz przecież muszę dzielnie znosić mój smutny los.

Mam tylko jedno wielkie zmartwienie i chciałabym Cię bardzo prosić o pomoc. Nie opuszczaj, proszę, Matki, bo ona taka samotna, i bądź dla niej dobra. Czy nie mogłabyś zabrać jej do siebie, gdybym ja musiała dłużej tutaj zostać? Zaoszczędzisz mi wielu trosk; myśl, że ona

jest zupełnie sama, bardzo mnie boli. Dopiero teraz, gdy jestem z dala od niej, zrozumiałam, jak wiele mamy jej do zawdzięczenia i jak ją kocham. Jestem przekonana, że Ty dawno już to zrozumiałaś i robisz wszystko, by uczynić jej życie lżejszym.

Proszę, wychowuj swego syna w duchu pokoju, niech nigdy nie będzie żołnierzem, wojna jest okrutna i straszna.

Kochana Halinko i Janku, życzę Wam wszystkiego dobrego. Chciałabym bardzo Wasze dziecko wziąć na ręce i ucałować. Bądźcie zdrowi. Całuję Was serdecznie. Tina.

Berlin, 14 II 1943

Nade wszystko ukochana Mamusiu!

Kartę Twoją z 30 I otrzymałam. Paczki zapewne zwrócą Wam, gdyż od trzech dni jestem już w innym więzieniu. (W Alt-Moabit).

W ostatnich dniach bardzo tęsknię za Tobą, kochana Mamusiu, jestem tutaj sama w celi i ciężko mi się przyzwyczaić do samotności. (...) Przed moim oknem rosną dwa drzewa, widać też kawałek nieba. W kącie mojej celi mieszka mały pajączek — to jedyny mój towarzysz.

Kochana Mamusiu, list byłby nieskończenie długi, gdybym Ci chciała opisać wszystkie myśli, które przebiegają mi przez głowę w ciągu dnia. Wkrótce stanę się filozofem w tej samotności.

Wiesz co, kochana Mamusiu, czasem mam uczucie, jak gdyby nasze życie nie miało żadnego sensu; nie jestem już tak przywiązana do życia jak dawniej, mam tylko jedno, jedyne pragnienie — Ciebie pocieszyć, Ciebie szczęśliwszą widzieć niż obecnie. Mam wielką prośbę, kochana Mateczko, bądź zawsze mężna, trzymaj zawsze głowę do góry. (...)

*

Berlin, 28 marca 1943

Ukochani Rodzice!

(...) Nie odczuwam tutaj żadnego braku, ale przecież nawet w złotej klatce męczy się przywykły do swobody ptaszek. Siedzę i szyję. Przed mymi oczyma przesuwają się dobrze znane okolice, słyszę śpiew ptaków, czuję lekki powiew wiatru, ach, żebym to jeszcze kiedyś mogła tam być! Widzę z zadziwiającą ostrością dawno zapomniane twarze, słyszę ich głosy. Moje dzieciństwo i młodość przesuwają się przede mną. O przyszłości nigdy nie myślę. Ale nie chcę być smutna i chociaż nie mam ładnego głosu, śpiewam wszystkie piosenki, jakie znam. To pomaga. Modlę się stale, ale czasem czuję się tak, jakbym ręce wyciągała w próżnię. Obmyślam też na różne sposoby, ukochana całym sercem Mamusiu, jak mogłabym Ci pomóc; wiesz, gdy mi jest smutno, wtedy myślę, że nie sama jestem nieszczęśliwa, że jest wielu ludzi, którzy

mają jeszcze ciężej. Pomyśl o tych matkach, co straciły więcej niż jedno dziecko na wojnie i zamiast być tą, która się wiecznie martwi, spróbuj choć raz stać się tą, która pociesza. Zobaczysz, ile to daje radości! Otrzymałam 50 RM z Widzewa. Nie były mi bardzo potrzebne, ale skoro są, zaabonuję sobie gazetę, jeżeli otrzymam na to pozwolenie. Postępy w niemieckim języku zawdzięczam przede wszystkim mojej przyjaciółce z Alexa; to była mądra, wspaniała dziewczyna. (...)

Kochani Rodzice, raczej nie róbcie sobie co do mnie pięknych planów na przyszłość. Lepsza jest zawsze przyjemna niespodzianka niż gorzkie rozczarowanie. Przyślij mi jeszcze, Mamusiu, niebieską trykotową bluzkę, której nie trzeba prasować po praniu. Ściskam Was i najserdeczniej całuję.

Wasza Tina.

*

Alt Moabit, 25 kwietnia 1943

Ukochani Rodzice!

Zapewne powiadomił Was już parę dni temu nasz obrońca, iż zostałam skazana 19 kwietnia na śmierć za szpiegostwo i przygotowanie zdrady stanu. Nie straciłam odwagi, nie zmieniłam postawy. Przez długie, samotne miesiące w więzieniu oswoiłam się z myślą, że kiedyś będę musiała umrzeć. Boli mnie tylko ogromnie serce, gdy myślę o Waszym cierpieniu. (...)

Tak się cieszę, że pozostałe dwie dziewczynki otrzymały złagodzony wymiar kary. Kocham je obie jak rodzone siostry. Ludzie z zewnątrz wyobrażają sobie, że ktoś skazany na śmierć odchodzi od zmysłów ze strachu i rozpaczy. W rzeczywistości jednak jest zupełnie inaczej. Może dlatego, że to wydaje się nie do pojęcia. Nie mogłam spać jedynie pierwszej nocy i trochę popłakiwałam, ale tylko z Twojego, najlepsza i kochana Mamusiu, powodu. Nie myślałam też o samobójstwie, takiej winy nie chcę na siebie brać. (...) Nie mam lęku przed śmiercią, w każdym razie nie jest on większy niż przed jakąś nieprzyjemną operacją; to trwa przecież tak krótko! moment — i po wszystkim!

Bądź tylko mężna, moja najlepsza Mamusiu, trzymaj głowę zawsze do góry i wybacz mi, że Ci coś takiego mogłam uczynić. (...)

Martwię się też o Zbyszka, byłoby może lepiej nic mu na razie nie pisać o tym co się stało. Chłopak jest i tak wystarczająco smutny. Jestem przeświadczona, że szybko się pocieszy, byłam dla niego co najwyżej pięknym marzeniem. Przygotowałam go już na Alexie na najgorsze i przyrzekł mi, że nie zrobi żadnego głupstwa.

Otrzymałam od Was dużą paczkę i z zachwytu omal nie zapomniałam o karze śmierci; tylu dobrych rzeczy na raz od dawna już nie widziałam. (...)

Pieniądze nie są mi oczywiście potrzebne. Mamusiu, przyślij mi tylko granatową sukienkę i znów proszek do mycia głowy. Pozostanę zawsze próżna i nawet ostatniego dnia zakręcę sobie loki. Zabrano mi moją małą laleczkę, szkoda, gdyż chciałam Ci ją przysłać na pamiątkę. Nie można się tutaj bawić, trzeba tylko pracować i żałować za swoje grzechy. (...)

Całuję Was bardzo serdecznie i stale o Was myślę. Lekarstwa mi nie doręczono, takie rzeczy są zabronione.

Wasza Tina.

Kochana, droga Mamusiu, nie płacz tak bardzo!

Berlin, Alt Moabit, 9 maja 1943

Ukochani Rodzice!

Mam nadzieję, że cenzura nie będzie miała nic przeciw temu, abym te kilka ostatnich listów do domu po polsku pisała [2]. Chciałabym, ukochana moja Mamusiu, żebyś i Ty mnie zrozumiała. Dostałam już Wasze drogie i wzruszające listy. Naturalnie musiałam się przy tej okazji trochę popłakać, bo mi Was tak strasznie żal i ciągle sobie wyrzucam, że nie mieliście ze mnie pociechy, wieczne tylko zmartwienie. Odetchnęłam jednak z ulgą, że nie rozpaczacie i nie straciliście nadziei. (...)

Ja czuję się doskonale i jestem tak wesoła, że nieraz robię sobie wyrzuty, że Wy się tam martwicie i wyobrażacie sobie nie wiem co, a ja się tutaj tak doskonale bawię. Jesteśmy teraz we trzy i wszystkie mamy te same zmartwienia. Olga (Olga Jędrkiewicz) jest z Warszawy i ma tyle lat co i ja, a Monika (Monika Dymska) z Torunia — dwadzieścia pięć lat. Olga jest bardzo piękna, a obydwie są przemiłe. Nie wyobrażacie sobie, jak to przyjemnie po kilku miesiącach samotności znaleźć się znowu w młodym towarzystwie i nagadać się ile wlezie. Nie myślę prawie nigdy o tym, co mnie czeka, bo po prostu nie mamy czasu, cały dzień śpiewamy, żartujemy i robimy wrażenie rozbawionych pensjonarek. Czujemy się zresztą jak w szkole albo w pensjonacie, bo i tutaj bardzo dużo rzeczy jest zabronionych, i obawiamy się, żeby przypadkiem nie dostać bury. (...)

Kochana Mamusieńko, co do pozwolenia na widzenie z Tobą, to napisałam już w tej sprawie Wunschzettel do sądu wojennego. Zastanów się jednak dobrze, czy Ci to dziesięciominutowe widzenie się ze mną jeszcze bardziej nie rozrani serca? Czy nie wrócisz do Warszawy jeszcze bardziej zrozpaczona, bo teraz przecie przyzwyczaiłaś się już trochę do mojej nieobecności. (...)

---

[2] Poprzednie listy Krystyny były pisane po niemiecku. Dobrze władając tym językiem, chciała ona przyspieszyć w ten sposób ich cenzurę. Z niemieckiego tłumaczony jest także ostatni fragment z niniejszego wyboru — list Helgi Grimpe do matki Krystyny, pani Marii Wituskiej.

Ten króliczek, którego mi przysłałaś, Mamusiu, jest tak rozkoszny, że nie mogę się nim nacieszyć i noszę go stale w kieszeni od fartuszka. Dziękuję Ci także za ten wisiorek ze „szczęściami", rozparcelowałam go zaraz i podzieliłam między wszystkie moje przyjaciółki. (...)
Jestem teraz bardzo szczęśliwa, bo moja ukochana przyjaciółka (Rosemarie Terwiel) z poprzedniego więzienia jest także tutaj. Wprawdzie nie możemy być w jednej celi, tak jak dawniej, ale widujemy się codziennie na Freistundzie i możemy się do siebie uśmiechać. Jej także nigdy nie poznacie, kochani Rodzice, a szkoda, bo to nadzwyczajna dziewczyna. (...)
Głowa do góry, ukochana Mamusieńko, i bądź o mnie spokojny, jedyny Tatusiu, nie na próżno jestem Waszą córką, każdą dolę i niedolę potrafię znieść dzielnie.
Całuję Was tysiące razy i wszystkich tych, których kocham. Januszkowi — braciszkowi, dziękuję strasznie za dopisek. (brak podpisu).

*

Berlin, Alt Moabit, 13 czerwca 1943

Kochani Rodzice!
Przeżyłyśmy 11 czerwca największą radość od początku naszego pobytu w więzieniu. Oleńka została ułaskawiona: Fuehrer w drodze łaski zamienił jej karę śmierci na pięć lat zaostrzonego obozu (verschaerfter Straflager). Szalałyśmy z radości wszystkie trzy, bo do Oleńki najbardziej się przywiązałam. Gdybym jeszcze była spokojna co do mojej małej Mimi, byłabym dziś najszczęśliwszym człowiekiem w Moabicie. (...)
Kochani Rodzice, i ja chciałabym bardzo sprawić Wam tę wielką radość i napisać do Was pewnego dnia, że mi życie darowano. Ale muszę być gotowa na wszystko, w tym jest właśnie siła człowieka, jeżeli nawet najgorsze nie może go zaskoczyć. Słusznie powiedział nasz adwokat, że nadzieja jest środkiem oszałamiającym. (...)
Ucałowania dla wszystkich przyjaciół.

Wasza Tina.

Berlin, Moabit, 20 VI (19)43

Najdroższi Rodzice!
(...) Jestem najszczęśliwsza z nas trzech teraz, bo tylko ja jedna mam rodziców na wolności. Oleńka strasznie się martwi o swoją mamusię. Staramy się ją rozweselić, jak możemy. Dostałam także dwie paczki, od Mamusieńki z sukienką i od Tatusia. Tę paczkę od Tatusia odesłałam do mojej przyjaciółki na Alex, bo tam można dostawać żywność, więc nic nie pójdzie na marne. Za sukienkę i inne rzeczy bardzo dziękuję,

dzisiaj wystroiłam się w nią do kaplicy i wyglądałam bardzo wytwornie. Oleńka uszyła mi do niej śliczny kołnierzyk z mojej różowej halki. Nie wyobrażacie sobie, jakie my się tutaj zrobiłyśmy pomysłowe, przy odrobinie cierpliwości można z niczego tworzyć rozmaite cuda. (...) Wczoraj, po dostaniu listów z domu, śmiałyśmy się i cieszyły tak głośno, że oberwałyśmy burę. Więzienie przypomina pod wieloma względami szkołę, bardzo surową szkołę. (...)

Dziękuję Ci, Mamusiu, za wiadomości o Zbyszku, on jest strasznie zabawny z tymi swoimi planami na przyszłość, podczas gdy obydwoje siedzimy w więzieniu i nie wiadomo jeszcze, jak to się wszystko skończy. Nawet gdybyśmy obydwoje przeżyli, to kto wie, jak byśmy o tej sprawie zadecydowali, ludzie tak się gruntownie zmieniają w więzieniu. Wydaje mi się czasem, że dużo dojrzalsza jestem od Zbyszka, chociaż ja śmiać się potrafię i dokazywać czasem jak pensjonarka, a on jest zawsze poważny. Czuję się czasem w porównaniu z nim strasznie stara, chociaż mnie tutaj często pytają, czy jestem jeszcze małoletnia, a gdy byłyśmy w trójkę na rozprawie, to nas nazwano „Maedchenpensionat". (...)

Bardzo się cieszę, że mi przyślesz znów „Lux", nie masz pojęcia, jak tym się ślicznie myje włosy, tak samo dobrze jak szamponem. Wczoraj myłyśmy sobie wszystkie trzy i dzisiaj wyglądamy jak bóstwa. Doszłyśmy do wniosku z Olgą, że jak ktoś jest próżny, to nic go nie zmieni, nawet kara śmierci.

Myślę godzinami nad tym, co się mogło stać z Karolem i że tak długo nic o nim nie wiadomo, przecież to wcale nie tak trudno dowiedzieć się, czy ktoś jest na Pawiaku, czy go nie ma. Ciekawa jestem, co się dzieje z Brunonem, może walczy a może już gdzieś zginął na froncie. Jeżeli jeszcze kiedyś zgłosi się do Ciebie to mu powiedz, że o nim nie zapomniałam. Strasznie dziwne jest to życie! (...)

Całuję Was mocno.

Wasza Tina.

Berlin, 27 VI 1943

Ukochani Rodzice!

(...) Ostatni tydzień przyniósł nam bardzo bolesne przeżycie: Monika i jeszcze jedna z młodych Polek tutejszych odeszły od nas na zawsze. My z Oleńką jesteśmy jeszcze jakby ogłuszone i pojąć nie możemy, że ta Monika, która jeszcze trzy dni temu była tu z nami, śmiała się i żartowała, już nigdy nie wróci! Taka była dobra i miła, cały czas myślała tylko o tym, jak nam pomóc lub zrobić przyjemność i tak wierzyła, że wszystkie trzy będziemy żyły. Ciągle widzę jej czarne, wesołe oczy. Obydwie dziewczynki były nadzwyczaj dzielne aż do końca. Nigdy nie potrafię zapomnieć ostatniego wieczoru, jaki spędziłyśmy razem, nie jestem zupełnie zdolna opisać Wam tego nastroju, pomimo

przerażenia, jakie malowało się we wszystkich oczach, śmiać się jeszcze potrafiłyśmy i żartować. Umawiać się wesoło na spotkanie w Warszawie, gdy każda z nas wiedziała tak samo jak i one, że nie ma już nadziei. Dziś wiemy, że nasze dziewczynki były dzielne aż do końca.

Najdrożsi Rodzice, piszę Wam o tym, chociaż wiem, że rozranię Wam serce nowym niepokojem, ale wolę jednak żebyście byli przygotowani nawet na najgorszą wiadomość, chyba łatwiej Wam ją będzie wtedy znieść. Mój Boże! tak bym Wam chciała tego nieszczęścia zaoszczędzić, tak bym pragnęła być Wam jeszcze pociechą. W celi naszej, która dawniej najweselsza była na całej stacji, smutno teraz i cicho. Ani śpiewu, ani śmiechu. Monika była głównym filarem naszego trio, miała silny, głęboki głos. Ostatniego wieczoru śpiewała na nasze prośby ulubione Ave Maria Szuberta. (...)

Czy pamiętasz w swoich modlitwach o małej Mimi, Mamusiu? Dziękuję Ci bardzo za paczuszkę z szamponami, dostałam ją w całości.

Mam wielką prośbę do Ciebie, Tatusiu, przyślij mi pudełko papierosów i zapałki, wprawdzie tutaj palić nie wolno, ale w razie czego, jakbym jechała na miejsce stracenia, byłoby mi bardzo przyjemnie zapalić po raz ostatni. To będzie jakby pociecha, i wynagrodzenie za tamtą nieprzyjemność.

Ucałowania dla Was od mojej czarnej Olineczki. (brak podpisu)

*

Berlin, Alt Moabit, 11 lipiec 1943

Kochani Rodzice!

Przed chwilą odeszła ode mnie Oleńka na górę do celi transportowej, skąd dzisiaj w nocy odjedzie do Witten-Annen, do Westfalii. Zostałam się znów zupełnie sama w celi, tak mi dziwnie i smutno. (...) Wczoraj urządziłyśmy ostatni tradycyjny wieczór, ze śpiewem wszystkich piosenek, które śpiewałyśmy jeszcze dawniej z Moniką, ze stepowaniem i z odtańczeniem polki-galopki i było nam jeszcze bardzo wesoło, dopiero dzisiaj od rana zaczęłyśmy spoglądać smętnie jedna na drugą i nawet niedzielna zupa z bobu nie bardzo nam smakowała. Jedna myśl tylko mnie cieszy, że Oleńka pojedzie tam, gdzie mała Wandzia i jeżeli się spotkają, to nie będą się czuły tak osamotnione. (...)

Pisał do mnie Zbyszek wzruszający list, i on obawia się surowego wyroku. On przekonany jest, że już jestem po rozprawie, i prosi mnie na wszystko, żeby napisać mu prawdę. Sama nie wiem jeszcze, jak postąpić, obawiam się, żeby ta wiadomość nie odebrała mu równowagi potrzebnej mu tak bardzo na jego własnej rozprawie. (...) Mam jeszcze jedno zmartwienie z moją małą Mimi, która ma zakażenie krwi w ręku,

bardzo cierpi i po nocach z bólu spać nie może. Na Freistundzie patrzeć się muszę na jej podkrążone z niewyspania oczy, ale nic jej pomóc nie mogę, tylko całusa z daleka posłać mi wolno. (...)

Posyłam Wam wyjątki z wierszyka ułożonego na nas przez nieznaną autorkę.

Es leben drei Polen Kinder —
immer froelich und vergnuegt,
im Zelle Nr 18,
Berlin, Alt-Moabit.
Vom Schicksal zusammen getragen,
fern von Heimat und Elternhaus,
man hoerte sie niemals klagen,
sie hielten tapfer aus.
Sie dienten der polnischen Erde
u(nd) taten ihr Bestes geben.
Dann wurden sie alle gefangen,
nun forderte man ihr Leben!

Und Olga wurde begnaedigt,
da Jubel war grenzenlos!
sie dankten Gott auf den Knien,
denn seine Liebe ist gross.
Doch eine musste sterben,
die kleine Monika,
die ueberzeugt vor allem,
dass nah die Freiheit war.
Es ist so still geworden,
wo frueher viel Lachen erklang,
wo man die Polka stampfte
mit Jubel und Gesang.
Auch Olga wird bald scheiden,
dann wartet Krystyna allein!
Du lieber Gott, schenk ihr das Leben,
ewig woll't ich dir dankbar sein! [3]

[3] Żyje sobie trójka polskich dzieci, zawsze wesoła i zadowolona, w celi nr 18, Berlin, Alt-Moabit. Los je zetknął razem, z dala od Ojczyzny i rodzinnego domu, nigdy się nie słyszało, aby się uskarżały, mężnie się trzymają. Służyły polskiej ziemi i dawały jej co miały najlepszego. Wszystkie zostały aresztowane, teraz żąda się od nich życia! Olgę ułaskawiono, radość była bezgraniczna, dziękowały Bogu na kolanach, bo wielką okazał miłość. Ale jedna musiała umrzeć — mała Monika, ze wszystkich najmocniej przekonana, iż wolność już blisko. Tak cicho zrobiło się tam, gdzie kiedyś rozbrzmiewał śmiech, gdzie tańczono polkę z radością i pieśnią. Również Olga wkrótce odjedzie, wtedy Krystyna będzie czekała samotnie! Dobry Boże! daruj jej życie, a będę Ci wiecznie wdzięczna!"

Ten wierszyk niech będzie dla Was najpewniejszym dowodem, że nie tracimy humoru i pogody ducha pomimo ciężkiego losu!

Całuję Was najserdeczniej (...)

Wasza Tina.

Przyślij mi, Mamusiu, nowe pończochy, które zostały się w szafie jak wyjeżdżałam.

Berlin, Moabit, 22 VIII 1943

Kochana Pani Wando!

Kiedyś ciekawa była Pani, w jaki sposób pobyt w więzieniu wpłynął na moje usposobienie i charakter. Dziwną teraz mam ochotę właśnie do Pani napisać o tym wszystkim, co teraz myślę. Może dlatego, że wydaje mi się, że będzie mnie Pani najlepiej rozumiała i ustosunkuje się Pani do tego bezstronnie, nie tak jak Mamusia, zaślepiona wielką do mnie miłością. Chciałabym napisać szczerze. Teraz, gdy pozbyła się Pani troski o Nika, (o syna — Zbigniewa Walca), nie będę się bała, że jeszcze bardziej Panią zasmucę moim listem. Może to zupełnie niepotrzebne, ale chciałabym, aby ktoś wiedział o mnie coś więcej, chociaż to ostatecznie tak wszystko jedno! Trudno mi jest pisać, bo trudno i prawie niemożliwie jest ująć w słowa tyle sprzecznych uczuć i myśli. Za każdym razem, gdy wspominam Nika, czuję ogromną wdzięczność do losu, że on się uratował. Nie przypuszczam, żeby moja śmierć wpłynęła w jakikolwiek sposób na jego późniejsze życie, jest przecież taki młody. Wiem teraz z własnego doświadczenia, jak prędko człowiek przyzwyczaja się i przechodzi do porządku dziennego nad rzeczami, które z początku wydają się niemożliwe do przeżycia. Myśl o rozpaczy Mamusi jest o wiele boleśniejsza od pożegnania się z wszystkimi planami przyszłości, ale na to nie ma żadnego ratunku. Wiem, że nigdy nie zapomni, ale mam nadzieję, że nie załamie się, że znajdzie pocieszenie w religii, w miłości do Haliny i wnuczka. Będzie jej bardzo ciężko, kocha mnie przecież tak bezgranicznie.

Nie chciałabym niezasłużenie korzystać z chwały patriotki, ginącej za Ojczyznę. Moje postępowanie kierowane było, niestety, w pierwszym rzędzie chęcią przygód i ciekawością, a potem dopiero patriotyzmem. Pomimo to nie żałuję ani jednego kroku uczynionego w tej sprawie, nawet teraz. Ale nie stałam się tutaj nacjonalistką, wprost przeciwnie — daleko posunięty nacjonalizm uważam za pewnego rodzaju ograniczenie i zawsze najpierw czuję się człowiekiem, a potem dopiero Polką. I wolę sobie w dzień stracenia powiedzieć, że umieram za wolność i sprawiedliwość, niż że umieram za Polskę. Świadomość, że ginę za ideały ogólnoludzkie, będzie mi o wiele przyjemniejsza. Niech mnie Pani źle nie rozumie: to nie dlatego, że nie kocham swojej Ojczyzny, ale pomimo to zaniechałabym jej dążeń, jeżeli bym uważała, że szkodzą szczęściu

całej Europy czy ludzkości. Nie czuję się nieszczęśliwa świadomością, że muszę umierać, tę świadomość mają wszyscy ludzie, z tą różnicą, że nie znają jej godziny. Śmierć jest tak samo naturalna jak życie i tak samo po prostu trzeba do niej podchodzić.

Kto życie dobrze zrozumiał, ten i umrzeć potrafi. Najważniejsza rzecz — to postawę zachować do końca, nie dać się opanować w ostatniej chwili jakiemuś zwierzęcemu instynktowi życia, nie zlęknąć się tej sekundy fizycznego bólu. Ale na to pewno nas stać będzie, musi nam na to wystarczyć sił. Umieramy wolne, tak, wolne! Bo życie w więzieniu nauczyło nas wyzbyć się wszystkich małości, których niewolnikami są ludzie z zewnątrz. Duszy ludzkiej nikt nie jest w stanie zniewolić, jeżeli sam człowiek nie zamknie jej w czterech ścianach ciasnych pojęć i przesądów. W więzieniu stałam się, o zgrozo! bardzo niekatolicka. To jest objaw raczej dziwny. Ale ja nie cenię religijności wyrosłej na gruncie więziennym tylko dlatego, że nie ma innego ratunku. Ja sama uważałabym za pewnego rodzaju małostkowość prosić Boga o swoje życie, które przecie tak niewiele znaczy we wszechświecie. Z jakiej racji ja miałabym większe prawo do życia niż miliony tych, którzy zginęli podczas tej wojny? Tego, co będzie potem, nie potrafię i nie staram się sobie wyobrazić. Wierzę, że nie zginie to, co było w nas dobrego, szlachetnego, że zbliżymy się tym do jakiegoś wielkiego celu, do jakiejś doskonałości. Przyjemnie byłoby wierzyć, że po tamtej stronie odnajdzie się wszystkich tych, których się kochało, bo przecie czy możliwe, żeby ot tak, zginęło tego rodzaju potężne uczucie jak miłość? Ale żeby być zupełnie wolnym, to trzeba by było nie kochać pojedynczych ludzi, ale żyć i poświęcać się dla celów wielkich i ogólnoludzkich. Na to mogą się zdobyć tylko dusze naprawdę niezwykłe, nie ja w każdym razie. I ja byłam ograniczona w swojej miłości do Mimi, dlatego teraz tak niepotrzebnie cierpię. Mojej małej Mimi nie mogę zapomnieć, nie mogę przeboleć jej śmierci, chociaż już tyle innych widziałam!

Odczytałam teraz mój list i wszystko to, do czego doszłam po długich miesiącach rozmyślań, wydało mi się zbiorem frazesów. Trzeba było sobie przecież stworzyć jakąś filozofię na domowy użytek. Wszystko przecież powinno prowadzić do jednego celu, żeby się nie dać zgnębić, nie stracić humoru w najtragiczniejszych momentach i innych jeszcze rozweselać w razie możności. Jeżeli jeszcze chodzi o śmierć, to jak cudownie pocieszającą jest myśl, że razem z naszym zniknięciem z tego świata nic się nie skończy ani nie zmieni, słońce nie przestanie świecić ani kwiaty kwitnąć, po lecie przyjdzie jesień, wszystko będzie tak jak dawniej. Cóż znaczy jedno życie ludzkie? W dzisiejszych czasach to chyba najmniej wartościowa rzecz!

Kochana Pani Wando, niech mi Pani wierzy, że bez strachu oczekuję swego losu. Zdrowa także jestem zupełnie, a wizyta Ojca sprawiła mi

szaloną radość. Proszę niech Pani ucałuje ode mnie wszystkie kochane ciocie, pozdrowi p. Lucjana i chłopców, a prawie nie znanej mi Róży życzę prędkiego powrotu do zdrowia i do Warszawy. Całuję Panią najserdeczniej. Tina.

Berlin, Alt Moabit, 18 września 1943

Ukochani Rodzice!

Ten list dostaniecie po mojej śmierci. Przyśle go Wam osoba, której winne jesteśmy niezmierną wdzięczność (Helga Grimpe). Była nam tutaj i przyjaciółką i opiekunką. Narażając siebie, starała się ulżyć, jak mogła, naszej ciężkiej doli, dzieliła się z nami wszystkim, co miała, zupełnie bezinteresownie. Nazywałyśmy ją naszym „słonecznym promykiem", bo razem z nią do naszej celi wchodziła radość i uśmiech. Z jej córką zaprzyjaźniłyśmy się ogromnie. Ty ją, Tatusiu, raz widziałeś, pamiętasz?

Tak żałuję, że nie będę już w stanie wywdzięczyć się jej za wszystko, co dla nas zrobiła, za jej dobre, naprawdę złote serce. Mnie specjalnie lubiła i ja ją pokochałam, tak jak tylko można pokochać kogoś, kto podaje nam rękę w nieszczęściu i nie uważa tego, co robi, za wspaniałomyślność, ale za rzecz najnaturalniejszą. Nie zapomnijcie o niej, proszę!

Ukochani Rodzice, pisząc ten list, nie wiem jeszcze nic naturalnie o wyniku mojego podania o ułaskawienie, ale wierzcie mi, że na śmierć jestem zupełnie przygotowana i nie robię sobie żadnych niepotrzebnych nadziei. Te kilkanaście miesięcy rozstania pogłębiły bardzo moje do Was uczucie, więc żal mi będzie odchodzić i zostawiać Was w takim smutku. Jednak wierzcie, że potrafię iść na śmierć z podniesioną głową, bez strachu. To mój ostatni obowiązek względem Was i Kraju. Więzienie było mi dobrą, czasem ciężką szkołą życia, ale były w nim także radosne, słoneczne dni. Nigdy nie zapomnianym, cudownym wspomnieniem będzie dla mnie aż do końca przyjaźń z Mimi. Ona nauczyła mnie nigdy nie tracić humoru, śmiać się na złość „im" i umierać dzielnie. Giniemy w przeddzień zwycięstwa ze świadomością, że nie walczyliśmy na próżno przeciw niesprawiedliwości i przemocy.

Nie rozpaczajcie, kochani Rodzice, bądź dzielna, Mamusieńko. Pomyśl, że zawsze na Ciebie patrzę i że boli mnie każda Twoja łza. Uśmiecham się do Ciebie wtedy, gdy Ty się uśmiechasz.

Niech Bóg Was wynagrodzi za miłość i opiekę, jaką mnie otaczaliście! Żegnam Was, kochani Rodzice, i Ciebie, Halinko.

Wasza Tina.

*

LIST HELGI GRIMPE DO MARII WITUSKIEJ

Berlin, dnia 12 grudnia 1946

Szanowna Pani Wituska!

Nie będzie przesadą, jeżeli Panią zapewnię, że jestem szczęśliwa. Szczęśliwa z powodu pierwszych słów, jakie Pani do mnie skierowała. Zdjęła Pani ze mnie ogromny ciężar! Ileż to razy już próbowałam do Pani pisać! Wszystkie jednak listy spotkał ten sam los: poszły w ogień, zostały podarte, zniszczone w bolesnym przeświadczeniu, że w oczach Pani mogłyby się one wydać kłamstwem i obłudą wobec okropnego faktu, że przecież Niemcy pchnęli Krystynę w to męczeństwo i zaszczuli ją na śmierć. Jestem Niemką i z tego powodu czuję się pośrednio współ-odpowiedzialna za wszystkie uczynki i zbrodnie moich rodaków. Dlatego śmierć Krysi, jak i tylu innych, będzie dla mnie wiecznym i strasznym wyrzutem. Proszę mi nie dziękować! Za co? Cóż ja mogłam dla Tiny uczynić, albo raczej — co ja dla niej uczyniłam?

Pani córce mam do zawdzięczenia o wiele więcej niż ona mnie. Dzielna postawa jej i jej towarzyszek sprawiła, że cenić muszę cały naród, wszystkich Polaków.

Czuję się zobowiązana udać się do Halle, by może jeszcze dowiedzieć się czegoś bliższego o Tinie. Skoro tylko przepisy dotyczące granic strefowych i zezwoleń na podróż zostaną złagodzone, pojadę tam i naturalnie nie omieszkam Pani wyczerpująco o wszystkim poinformować.

Chciałabym Panią zapewnić, że uczynię wszystko, aby zaskarbić sobie Pani szacunek, a jeżeli możliwe, Pani życzliwość. Pokusiłabym się o dokonanie rzeczy wręcz niemożliwych, gdybym w ten sposób mogła w Pani wskrzesić wiarę w lepsze Niemcy.

W tym duchu pozdrawiam Panią, zawsze do Pani usług —

Helga Grimpe

Wybór — **Anna Morawska**

GUENTER SAERCHEN

PROBLEMY SĄSIEDZTWA*

Czyta się nieraz i słyszy o „zaangażowaniu", o odpowiedzialności chrześcijan za świat i o ich służbie światu. Pytamy jednak nierzadko sami siebie, dość zmieszani, czemu właściwie w naszych własnych szeregach panuje jak dotąd taki indyferentyzm, czemu tak mało wykazujemy odkrywczości?

Moją podejrzliwość budzą głównie ci, którzy w wielkim worku instytucjonalnym są w większości pod względem liczby i siły. Dzielę troskę tego młodego człowieka, który krytykował, zarówno w Kościele jak w społeczeństwie, ową tryskającą na pozór zdrowiem, niczym niezmąconą pewność siebie, z jaką ludzie odrabiają bezkrytycznie także kościelne powinności tak jakby to była szkoła albo sklepik. Dla grona tego typu każdy outsider, każdy kto robi coś innego czy coś więcej niż przewidziano w przepisach, to w najlepszym razie jakiś frajer, którego się wyśmiewa, nie próbując jednak nigdy, w najmniejszej mierze, zrozumieć czego chce i jaki sens może mieć jego działanie. Naczelnym ideologiem tej infantylnej większości jest, jak się zdaje, Wilhelm Busch, który twierdził: „dobro jest to zdaniem moim zostawianie zła w spokoju". Albo mądrość ludowa, która głosi, że „kto nic nie robi, ten nie zrobi też nic złego", lub też: „kto nie jest w drodze, ten nie zabłądzi".

Lecz w Ewangelii czytam przecież co innego. Czytam tam: „błogosławieni pokój czyniący". A więc „czyniący" jednak.

W otaczającym nas świecie (a nasze chrześcijańskie wspólnoty są wszak jego częścią) panuje prawo „wet za wet": uderzony ma zwracać cios, i panuje prawo samousprawiedliwienia: my jesteśmy zawsze dobrzy. Winni są tamci drudzy. Pytanie tych co patrzą z zewnątrz na chrześcijaństwo brzmi więc: czy obserwuje się w nim istotnie inne prawa? Czy chrześcijanom, angażującym się w świat, chodzi rzeczywiście o „czynienie pokoju"? Czy też tylko o jakieś sentymentalne „bycie dobrym", lub czynienie w końcu

---

* Tekst niniejszy stanowi wyjątki z referatu, wygłoszonego na dorocznym spotkaniu młodych uczestników akcji „Znaków Pokuty" w Niemieckiej Republice Demokratycznej. W spotkaniu brała udział młodzież katolicka i ewangelicka, w liczbie 230 osób. Autor jest katolikiem świeckim.

czegoś, lecz tylko wtedy, gdy już bezpieczeństwo i sukces są zapewnione? Jeśli skuteczność działania Kościoła można mierzyć jego wpływem na pokój, to właśnie tutaj rozstrzyga się kwestia bardzo ważna: czy również u nas, i mimo wszystko, potrafi on wpływać na procesy historyczne przez kształtowanie opinii i nowej świadomości politycznej i społecznej?

Chrześcijanin nie może już dziś przecież, jak zasobny drobnomieszczanin, pewien swego stanu posiadania i swej pobożności, zamykać się w czysto kościelnej dziedzinie, pozostawiając innym trud rozwiązywania problemów kraju i problemów światowych. Nie może tego czynić nawet wtedy, gdy w danej chwili nie jest mu dane formalnie żadne pole samodzielnego działania. Działanie to jedna rzecz, a gotowość i zdolność do działania to druga. Gdybyśmy zechcieli zająć się serio tą drugą tylko, mielibyśmy już pełne ręce roboty.

Cóż więc nas powstrzymuje? Czy nie jest to często strach, że możemy być wzięci za słowo? Strach, że trzeba zaangażować się bez gwarancji z góry, i z pewnością popełniać czasem błędy? Strach przed eksperymentem, który nie jest nigdy reglamentowany, zarejestrowany formalnie, podbudowany już osiągniętymi sukcesami, jest więc przeto cały ryzykiem? A zawsze przecież uciec można pod skrzydła instytucji, wszystko jedno jakiego imienia, i spokojnie zabarykadować się w tysiącach jej odgórnych zarządzeń, oraz małych zakazików, można uciec w formalizmy, wciąż, nieprawdaż doskonałe, skoro do wczoraj były w użyciu, można uchylić się jakoś od osobistej, własnej odpowiedzialności, myśląc tylko po liniach zakresów kompetencji, przy czym „ci w górze” są z reguły kompetentni we wszystkim bez wyjątku.

Tymczasem jednak w chrześcijaństwie, jak powiedziałem, chodzi o „czynienie” pokoju. Jakaż ma być nasza w tym konkretna rola? Zebranie nasze poświęcone jest stosunkom z Polską. Zastanówmy się więc nad tym bliżej.

Jedno musi tu być dla nas jasne już z góry. Pokój z Polską nie jest tylko kwestią organizacyjną czy polityczną. Nas, chrześcijan, sprawa stosunków między naszymi krajami stawia w obliczu pytania o specyficznie chrześcijański sens słowa pokój.

Pomimo wszystkich akcji pokojowych, jakie prowadzone były w ciągu minionych dwudziestu lat przez najrozmaitsze instancje Niemieckiej Republiki Demokratycznej, o tym jak wypada pobyt każdej poszczególnej jednostki w Polsce i jakie są wrażenia po powrocie, decyduje wciąż to, czy mamy w świadomości całokształt katastrofy ostatniej wojny, czy też tylko klęskę własnego kraju, skutki jakie z niej dla nas wynikły, i litość nad sobą z powodu tego

wszystkiego, ale bez gotowości zmiany postaw i rewizji mentalności. Jeśli zachodzi ten drugi wypadek, to — jak pisał słusznie Walter Warnach w *Labiryncie* (1960) — „przegraliśmy nie tylko przez nas samych zaczętą wojnę, ale przegraliśmy także klęskę, bo rozwiązania pozostawiamy tylko rządzącym, a sami zachowujemy się tak, jakby to nas nie dotyczyło".

Polska pisarka katolicka, Zofia Kossak, która w czasie niemieckiej okupacji Polski doświadczyła straszliwych cierpień, postawiła sobie przed laty pytanie: „Czy Niemiec jest moim wrogiem czy bliźnim"? Gdyby analogiczne pytanie postawić dzisiaj wam, mnie, to jak wypadłaby nasza odpowiedź?

Wiemy wszyscy dobrze, że wielu duchownych i starszych członków naszych zborów i parafii jest jeszcze bardzo daleko od odpowiedzi pozytywnej. Znamy najrozmaitsze negatywne reakcje turystów, wracających z Polski, a przede wszystkim z dawnych terenów niemieckich. Czy wreszcie nie powinniśmy się wstydzić wszyscy, starzy i młodzi, tego, że także sami w nazbyt gnuśny i nieprzekonywający sposób zabiegaliśmy o naprawienie tego, o nowe postawy, o redukowanie zakorzenionych już jakby w ciele i krwi uprzedzeń i nienawistnych uczuć? Wiadomo: zawsze jest łatwiej nie przemyśleć głębiej sprawy, tylko iść bezkrytycznie za odruchami, mniej więcej według kliszy: Polacy to ludzie z flaszką wódki w ręce, którzy są za leniwi, żeby porządnie pracować.

„Nie jakaś nieżyczliwość, lecz po prostu gorzka trzeźwość uczy, że od starszych pokoleń niewiele już tu możemy oczekiwać", pisał Mueller-Gangloff. Nie wolno nam jednak rozumieć tego w ten sposób, że z rozwiązywaniem problemów naszego sąsiedztwa trzeba czekać aż wymrze starsza, obciążona uprzedzeniami generacja i że dopiero wtedy pokolenia młode, bez kompleksów już i bez obciążeń, będą mogły zabrać się do roboty. Jest to zabójcze wprost nieporozumienie. Także młode pokolenie, którego większości leży na sercu pokojowe współżycie i współwzrastanie, i które uważa je za swoją misję, nie może wszakże żyć bez historii.

Nikt nie może lekceważyć bólu i cierpienia tych ludzi, którzy w roku 1945 musieli opuścić swą ojczyznę, nieraz ponosząc olbrzymie ofiary i straty, choć nie brali osobiście udziału w zbrodniach ludobójstwa. Któż jednak zabroni nam, młodszym, postawić dziś gorzki zarzut, że wprawdzie w obu Kościołach w NRD mówiło się po roku 1945 dużo o łasce nowego początku, w „punkcie zero", to jednak szary człowiek, który musiał porzucić strony ojczyste, był w gruncie rzeczy pozostawiony samemu sobie i jako jednostka osamotniony. Rzecznicy Kościoła, w ciągu tych dwudziestu lat, poświęcali więcej energii prawnym i kościelnym zawiłościom pojednania z Polską aniżeli prostym nakazom Ewangelii.

Prawo i sprawiedliwość to dwie różne rzeczy. Dla tych, którzy mają na oku „prawo do stron ojczystych", wyprowadzany z prawa międzynarodowego „porządek" polega od lat na tym, by czekać, aż zostanie zawarty traktat pokojowy. Ten tak zwany „praworządny" stan rzeczy wystarcza im najzupełniej. Jakiż straszny, jaki nieludzki jest taki „porządek"!

Gdybyśmy wszyscy, chrześcijanie, traktowali Ewangelię naprawdę jako posłannictwo zbawienia, leczenia innymi słowy, to serca tych, którzy musieli się tu osiedlić nie byłyby aż do dziś tak pełne goryczy i urazy do narodu polskiego, jak to nieraz jeszcze ma miejsce, choć bywa ukryte.

Także po uznaniu granicy Odra—Nysa na mocy układu w Zgorzelcu, z 6 czerwca 1950 r., dla Kościołów w NRF i w NRD sprawa tej granicy pozostała tabu. Owo tabu, dzisiaj po 18 już latach, jest nie tylko milczeniem całkiem niezrozumiałym dla naszego narodu i dla wszystkich ludzi zainteresowanych czy nie zainteresowanych tu bezpośrednio. W obecnej sytuacji Europy jest także milczeniem niebezpiecznym. Musimy wreszcie zerwać z tym niezabieraniem głosu, tak jakby nie można było o tym mówić tylko dlatego, że uznalibyśmy tym samym jako chrześcijanie, od wewnątrz, NRD (cóż za zbrodnia!) albo dlatego, że może nie dość dokładnie znamy różne konteksty prawne. Prawo prawem, a rolą chrześcijan jako takich jest parcie do tego, by następowało porozumienie.

Dlaczego nie budzimy się ze snu i w sprawie Odry—Nysy błądzimy jak lunatycy? Dlaczego jesteśmy wciąż przykuci do roztrząsań aspektów kościelno-politycznych i praw międzynarodowych i kościelnych? Szanuję te prawa, ale czemu właśnie z poczucia odpowiedzialności za tych, którzy ponieśli ofiarę utraty stron ojczystych, nie odważamy się postawić na rozwiązanie, które zwraca ku Bogu, w duchu Ewangelii?

Nie zapominam tu o fakcie, że już przed memorandum Bensberger Kreis, które było inicjatywą osób poważnych i wpływowych, ale przecie pojedynczych osób, miały także miejsce pozytywne oświadczenia i wypowiedzi ze strony kierownictwa Kościołów. Już w roku 1960, w dniu świętej Jadwigi, biskup Berlina, Kardynał Doepfner, przerwał milczenie, wygłaszając kazanie, do którego przywiązano niestety w kręgach kościelnych za mało wagi. Było ono na temat Polski i Niemiec, i kardynał powiedział między innymi: „Przyjęta w Chrystusie ofiara naszych przesiedleńców i uchodźców, którą wzięli na siebie w imieniu nas wszystkich, i którą wszyscy nieść chcemy z nimi, świadcząc im miłość i pomoc, była odpowiednikiem krzywdy, która została wyrządzona w imieniu narodu niemieckiego. (...) Po wszystkim, co miało miejsce w naszym imieniu, możemy osiągnąć pokój tylko za cenę wiel-

kich ofiar. (...) Nie może to być zadaniem biskupa konstruować plany polityczne. Z pewnością jednak pasterze Kościoła muszą głosić Chrystusowe posłannictwo pokoju, aby odmieniły się serca i aby wszelkie rozważania polityczne miały mocny fundament".

To pierwsze słowo na temat źle pokierowanej sprawy nie było wolne od jednostronności, tak że nawet w tym kazaniu były sformułowania, których można było uniknąć, lub które mogły być merytorycznie słuszniejsze. Był to jednak przynajmniej początek i to w czasie powszechnego jeszcze w Kościele uśpienia. Lecz ten początek rozwiał się bez śladu.

Ewangelickie memorandum z 1 października 1965 wywołało ożywione dyskusje w Kościele ewangelickim i poza nim, i wyzwoliło naprawdę falę pozytywnego kształtowania opinii. Także w Polsce memorandum to usłyszano bardzo dokładnie.

Muszę zadać sobie z kolei pytanie, co konkretnie uczyniono po naszej stronie, w ciągu minionych już trzech lat, aby słowa te nabrały realnego znaczenia, aby naprawdę stały się czynem? Co zrobiono, by podjąć przynajmniej psychologiczną stronę zadania pokojowego na większą już skalę, w parafiach, a nie tylko w małych kołach „outsiderów"? To są pytania wciąż palące, chociaż w minionych latach, we wszystkich diecezjach NRD, również w Goerlitz, zajmowały się tymi problemami różne koła studentów, młodzieży, dorosłych ludzi świeckich, a także duchownych i chociaż przemyślano je w tych środowiskach konsekwentnie i znaleziono, oraz próbowano realizować różne drogi działania. Nie mogę jednak pozbyć się wrażenia, że to wszystko to wciąż jeszcze tylko pionierskie zwiady, i że zasada „nie robienia dla pewności nic" nadal obciąża front główny i nie daje mu za nami podążać. Dlatego i my tutaj, i te wszystkie grupy pionierskie, to wciąż w naszych parafiach „kamień obrazy", a także natręctwo całkiem nie na czasie.

Nie jest to oczywiście powód, byśmy mieli się zniechęcać. Ale jakieś nowe bodźce ze strony kierownictw Kościołów byłyby dla nas wszystkich wielką pomocą.

Mueller-Gangloff pisał w swej książce *Mit der Teilung leben* (*Żyć z podziałem*): „Jednym z najbardziej wstrząsających spostrzeżeń historycznych dla kochającego swój naród Niemca jest to, jak w ciągu ostatniego stulecia nacjonalizmu najlepsze odruchy każdej kolejnej młodej generacji szły na szmelc. Nie ma chyba na świecie narodu, prócz może Żydów, w którego dziejach byłoby tyle chybionych zrywów". Nigdy nie dość przypominania w związku z tym słów Goethego: „Przegapienie, za każdym razem, chwili działania nazywacie czekaniem, aż sprawy dojrzeją". Te zdania są ostrzeżeniem dla nas wszystkich. Nie mogą jednak odebrać nam

odwagi. Po naszej stronie jest wszak nasza wiara i nadzieja, gdyż nasz Pan jest Panem pokoju. Po naszej stronie jest także prastare prawo socjologiczne, które mówi, że aktywne mniejszości osiągają zawsze więcej niż bierna większość.

Po naszej stronie jest wreszcie prosty realizm. Czy nam się to podoba, czy nie, tak już jest na świecie, że nikt nie wybiera sobie swych sąsiadów na mapie. Sąsiadem Niemców jest i będzie trzydziestomilionowy naród Polaków. W naszej konkretnej sytuacji jest on sąsiadem NRD. Nie potrzeba więc żadnej specjalnej „polskiej romantyki", aby wyciągnąć stąd wniosek, że nic z tego co mówimy, robimy lub piszemy, nie jest wolne od jakiegoś odniesienia do stosunków z Polską. Przestudiowanie przewodnika turystycznego, lub wycieczka do Polski tylko z bagażem jakiejś ogólnikowej życzliwości dla „państw wschodnich" i z „postawą europejską" w zanadrzu — to zwyczajne chowanie głowy w piasek, to obserwowanie drzew bez dostrzegania lasu.

Nikt nie oczekuje od nas nieustannego grzebania się w najciemniejszych okresach naszej historii. Nie znaczy to jednak, że możemy przed nimi uciec. Odnosi się to także do wszelkich naszych prywatnych wyjazdów do sąsiadujących z nami krajów. Myślę, że mam obowiązek to tu powiedzieć: wielu Polaków skłonnych jest już dzisiaj zrozumieć, że starszym pokoleniom Niemców, którzy musieli opuścić strony ojczyste, ich wspomnienia mogą bardzo utrudniać nowe, pozytywne postawy wobec narodu polskiego. Ale nie ma ani jednego Polaka, który okazywałby zrozumienie dla zamazywania czy spychania w cień faktycznych historycznych przyczyn i kontekstów tego, co zaszło, na rzecz litowania się Niemców nad sobą. Albo powiem jeszcze wyraźniej: żaden Polak nie może mieć zrozumienia dla tego na przykład, że w kwestii granicy Odra—Nysa przyczyny bywają odrywane od skutków i że w kościelnej pracy jest wciąż tak trudno powiedzieć to i zinterpretować w sposób jasny.

Mocne postanowienie i wola współpracy nad budowaniem pokojowej przyszłości, w oparciu o postawy nowe, są nieodłączne od wyznania winy i od wstydu z powodu przeszłości. Nie jest to sprawa, którą można by załatwić w kilka lat, drogą samych tylko traktatów państwowych. Trzeba na nią czasu i trzeba ludzi, którzy zechcą wypełnić traktaty żywą treścią. Profesor Stanisław Stomma, z Warszawy, powiedział kiedyś: „Chodzi tutaj o pokój. Problem pokoju ma jednak dwa aspekty: polityczny i psychologiczny. Aspekt polityczny jest głównie rzeczą rządzących. Nie oznacza to, że chrześcijanin ma tu być całkiem bierny, lecz oznacza, że najwłaściwsze dlań możliwości leżą w dziedzinie psychologii. Tutaj odpowiedzialni są wszyscy, i każdy, bez wyjątku, staje wobec

pytania... Zadanie przezwyciężenia straszliwej przeszłości postawione jest jednak obu stronom: i niemieckiej i polskiej. Jest to pole, na którym mogą wiele zdziałać różne koła społeczne i kościelne" (Dr Stanisław Stomma, 24. 3. 1966, Berlin).

W związku z tym muszę, przynajmniej krótko, zatrzymać się przy zarzucie, który słyszy się ciągle w naszych szeregach: „Przecież także Polacy powinni w końcu wszystko zapomnieć i przebaczyć, powinni wierzyć w nasze pragnienie nowych postaw i ułatwić nam w ten sposób nowy początek, nowe kształtowanie teraźniejszości i przyszłości".

Zwięzłą odpowiedź na to daje profesor Werner Markert: „Naród niemiecki, w swej całości, z trudem tylko może sobie wyobrazić to, co było czynione w Polsce w jego imieniu, gdyż przekracza to po prostu wyobraźnię, szczególnie z perspektywy świata cywilizowanego".

Spróbujcie proszę, w tej mierze chociaż w jakiej się da, uświadomić sobie kilka cyfr, które tu przytoczę, a także ludzką treść zdarzeń, jakie się za nimi kryją i wyciskają wciąż niezwykle głębokie piętno na mentalności i na całym życiu Polaków. Potem zaś oceniajcie sami, czy to, co wyrządzono polskiemu narodowi tylko w latach 1939—1945, da się tak łatwo zapomnieć, i zastanówcie się, jak długa i jak wytrwała musi być teraz nasza droga chrześcijańskiego świadectwa pojednania i służby pokoju. Tych cyfr i tych zdarzeń nie wolno nigdy zapomnieć także naszym młodym pokoleniom.

W latach 1939—1945 uległo eksterminacji 22% ludności Polski. Dokonano tego planowo, czego dowodzą zachowane i dostępne niemieckie prawa, dekrety i rozporządzenia z owego czasu. Akcja eksterminacyjna skierowana była szczególnie przeciw polskiej inteligencji. Uprzytomnijcie to sobie teraz proszę, przekładając w wyobraźni te dane na miejscowość, w której sami mieszkacie: w Polsce, na każdy tysiąc mieszkańców, zgładzono 220 osób, to znaczy co piątego Polaka. (Dla porównania: w Jugosławii — 108 osób na tysiąc, w Grecji — 70 osób, w Czechosłowacji — 15 osób, w Anglii zginęło 8 osób na tysiąc mieszkańców). W liczbie strat polskich, wyszczególnić trzeba: 7500 lekarzy (w całej NRD było w roku 1962 — 15 618 lekarzy), 4000 nauczycieli, 700 profesorów i 2700 księży. Dla porównania: w NRD było w roku 1962 — 1365 księży).

W grę wchodziła tu więc sama egzystencja biologiczna całego narodu polskiego. Dowodzi tego nie tylko fakt, że zgładzono jedną piątą polskich obywateli, ale także opracowany przez ówczesny rząd niemiecki i częściowo zrealizowany „plan wschodni", który przewidywał całkowitą likwidację biologiczną Polaków.

Przejdźmy teraz do dóbr materialnych. W czasie okupacji hitlerowskiej Polska straciła 38% majątku narodowego. (Dla porównania: Francja straciła 1,5%, Anglia 0,8%). Wśród strat polskich wyszczególnić trzeba: 33% urządzeń przemysłowych, 35% mienia w rolnictwie, 50% środków transportu (w tym 85% środków transportu kolejowego), 62% urządzeń pocztowo-telekomunikacyjnych, 60% budynków szkolnych.

Zubożenie kraju spowodowane było nie tyle działaniami wojennymi, co w znacznie większej mierze rabunkową i niszczycielską gospodarką hitlerowskich okupantów. Nie należy też pomijać gospodarki rabunkowej siłą roboczą, czego skutkiem był brak rąk do pracy w pierwszym okresie odbudowy Polski.

Tak przedstawiają się najistotniejsze elementy tła, na którym musimy zawsze rozpatrywać wszystko, co działo się w Polsce po roku 1945. Jest dla mnie rzeczą wprost niepojętą, że te cyfry i dane są wciąż nieznane tak wielu ludziom w naszych parafiach, mimo że są dostępne łatwo, w obfitej literaturze. Nie pojmuję też, jak to się dzieje, że ciągle jeszcze, po każdym moim odczycie na te tematy, dyskutanci żądają udowodnienia autentyczności wszystkich tych faktów.

Nie łudźmy się: bardzo często ta „niewiedza" jest dobrowolna i świadoma. Tym większe jednak i tym ważniejsze jest nasze zadanie. Sądzę, że gdyby już przed piętnastu czy dwudziestu laty wszystkie te cyfry i fakty były uwzględniane w naszej pracy parafialnej, i odpowiednio zestawione z nauką o winie, pokucie, ofierze i o łasce, o których mówi Ewangelia, to łatwiej byłoby zrozumieć i przezwyciężyć przeszłość zarówno chrześcijanom, którzy musieli porzucić strony ojczyste, jak i całym naszym wspólnotom, ich starszym i młodym pokoleniom.

Jakże często jednak słyszymy zarzut: jesteście za młodzi, aby wyrokować o tym wszystkim. Czy rzeczywiście młode niemieckie pokolenie ma się wstydzić przed niektórymi naszymi rodakami tego, co ośmiela się twierdzić? Że mianowicie w ciągu minionych dwudziestu lat zdziałano wprawdzie dużo, lecz dużo także pozostaje do dostrzeżenia i do zmienienia także przez nas, przez chrześcijan i Kościoły? Nasza śmiałość polega po prostu na tym, że mimo nowych i lepszych już stosunków między obu naszymi krajami, wstydzimy się dalej zbrodni, których nie popełniliśmy osobiście, i wstydzimy się opieszałości, w której już mamy pewien udział. Wolność zaś naszą widzimy w tym, że cieszymy się jawnie i uczciwie olbrzymimi sukcesami narodu polskiego w dziele odbudowy, wzrastaniem w Polsce przyrostu naturalnego, rozwojem zniszczonej w 70% gospodarki na polskich Ziemiach Zachodnich. Za swą wolność uważamy to, że tak właśnie owe obszary nazywamy: „Polskie

Ziemie Zachodnie", i to nie dlatego, że wymaga tego od nas układ w Zgorzelcu z roku 1950, lecz dlatego, że dyktuje nam to nasza postawa wewnętrzna, duch pojednania, i pragnienia pokoju między naszymi narodami.

Odpowiedzialność za przeszłość nie powinna naturalnie przysłaniać obrazu teraźniejszości i odpowiedzialności za przyszłość. Jedno jest od drugiego nieodłączne. Samo istnienie granicy Odra—Nysa, po całych stuleciach zatargów, ucisków i eksterminacji, nie może zrodzić od razu „złotego wieku" sąsiedztwa obu naszych krajów. Aby układy, akcje i usługi różnego rodzaju stały się naprawdę skuteczne, trzeba potężnego wkładu energii ludzkiej, energii współżycia. W historii znaleźć można wiele przykładów tego, jak przez jakiś układ czy posunięcie tworzy się coś nowego, zmienia się jakiś formalny status quo, lecz energie, o których mówię, nie zostają wyzwolone. Powstaje wtedy coś sztucznego, coś co trwa w atmosferze pozbawionej powietrza.

Na początku mówiłem o potrzebie służby światu, społecznego zaangażowania. Czy nie byłoby to właśnie zaangażowaniem, o jakie chodzi, gdybyśmy zabrali się energiczniej niż dotąd do sprawy sąsiedztwa z Polską, i to na terenie naszych parafii? Czy nie byłaby to autentyczna służba pokoju?

Jeszcze nie jest za późno. Każdy z nas ma zresztą także wpływ w jakichś kręgach własnych przyjaciół, w rodzinie, w zakładzie pracy czy wśród kolegów na studiach. Może więc korygować „tradycyjne" u nas postawy i negatywne oceny Polaków.

Czyż nie powinien nas nieustannie przerażać fakt, że tak niedawno przecie cały naród dał się podjudzić najprymitywniejszym kłamstwom, zdecydowanie oszczerczej propagandzie? A przecież błoto tego powszechnego omamienia lepi się do nas wciąż jeszcze tu i ówdzie, tamten wpływ wciąż żyje...

Wiele było przyczyn tego, że hitleryzmowi udało się systematycznie wszczepić Niemcom tyle przesądów i uprzedzeń do słowiańskiej rasy. Jestem jednak pewien, że nasz naród nie uległby temu aż tak bardzo, gdyby większa była nasza powszechna wiedza o Polsce. Czy nie powinniśmy, dziś przynajmniej, bardziej się starać o wypełnienie tych luk naszego wykształcenia? Mamy dość źródeł. Są dostępne. Ale w Polsce każdy wie, kim był Goethe i jakie napisał dzieła, kto zaś u nas wie, kim był Mickiewicz, i słyszał o *Panu Tadeuszu*?

Musimy być przygotowani na to, że nasze zadania będą musiały polegać, w największej mierze, na wielorakich i bezpretensjonalnych działaniach jednostek. Byłoby jednak postawą bardzo niechrześcijańską zniechęcać się z tego powodu. Powinniśmy częściej

niż dotąd wracać do słów Chrystusa o „małej trzódce" i zdać się na nie, tak byśmy zdolni byli iść bez trwogi naszą drogą, bez zbroi (która nieraz jest po prostu wielką organizacją albo wspólnotą), lecz tylko z naszą procą, tylko z Ewangelią. Możemy też znaleźć w historii niejedną pocieszającą dla nas naukę o różnych rozwiązaniach masowych, o wielkich ruchach, o tłumnych nawróceniach.

Nie trzeba zresztą przemilczać tego, co robimy i co zrobić możemy. Gdy w zeszłym roku dwieście dziewcząt i chłopców z NRD pracowało bez hałasu i w skupieniu na terenach byłych obozów zagłady i obozów koncentracyjnych w Polsce, był to tylko drobny, nikły znak. Lecz zarazem znak ten był symbolem pojednania, a za nim stała obiecująco już duża liczba jednostek w NRD, które ów czyn popierały u nas w kraju i miały w nim duchowy udział.

Nie wolno też zakładać, że owa służba naszych dziewcząt i chłopców wszelkich zawodów sama w sobie zadania nasze wyczerpuje. Jej sens i znaczenie leży w uzdolnieniu uczestników do kontynuowania pracy nad pojednaniem także we własnym kraju. To bowiem, czy zmieni się rzeczywiście nasz stosunek do Polski, czy zostaną na dobre odrzucone uprzedzenia i błędne sądy, rozstrzygnie się, jak już podkreślałem, tutaj, między nami: w naszych miastach i wsiach, w naszych zakładach pracy, w naszych parafiach, w kołach naszego duchowieństwa. I tego rozstrzygnięcia, w którym przecie chodzi zawsze o pojedyncze decyzje jednostek, nie wolno nam zbywać ani załatwiać lewą ręką.

Tak więc moje osobiste zadanie w Suehnezeichen, w „Znakach Pokuty", widzę w tym, aby z roku na rok coraz szerzej i coraz energiczniej wzywać wspólnoty katolickie i ewangelickie do rewizji postaw, do nowych przemyśleń, do innego niż dotąd kształtowania opinii, i przede wszystkim do świadectwa czynu każdej jednostki we własnym środowisku. „Znaki Pokuty" muszą w jakiejś mierze skłaniać do refleksji grupy społeczne i kościelne, z których pochodzą uczestnicy naszych obozów, muszą wywierać wpływ na osobiste życie. W tym więc sensie są już siłą skuteczną, są ważną formą zaangażowania.

Naród polski, a poprzez niego także świat, pyta nas jednak również, jakie wskazówki czy inspiracje na przyszłość proponujemy jako chrześcijanie. Nikt nie może uchylać się od takiego pytania, ani też wykręcać się od niego, mówiąc o istniejących już przecie układach między Polską a NRD, tak jakby tym samym w sensie ludzkim było już wszystko w porządku. Owo ludzkie zadanie nie da się ani „odroczyć", ani załatwić w parę lat. Niech nas jednak Bóg broni także od „niemieckiej dokładności", która rada by zawsze widzieć jasno szczegółowe osiągnięcia rozłożone planowo

na określony czas. Wychodząc z takiej w gruncie rzeczy „niewiary", ludzie tego kraju zdołali wprawdzie „planowo i w określonym czasie" zrujnować pół świata, a także ujarzmić lub częściowo unicestwić całe rasy i narody. My jednakże, działając z wiary, nadziei i miłości, możemy realizować swe zadania tylko bardzo pokornie, tylko w nieustającym nigdy czynie, którego możliwości będą nam ukazywały sytuacje. Rok po roku będziemy je znajdywać, głosić i wypróbowywać. Wiemy, że trzeba nam będzie nie tylko czasu, lecz także odwagi i wytrwałości i wiemy również, że na tej drodze nie będą nam dane żadne gwarancje, żadna pewność, a przeciwnie, grożą na niej niebezpieczeństwa. Wierzymy jednak, że także w samej słabości naszego działania, w samym „głupstwie" naszych zabiegów o głębszy pokój polsko-niemiecki rozbłysnąć może Boża siła i mądrość Boża. Czyż Krzyż nie jest samym centrum Ewangelii?

Od roku 1945 minęło dwadzieścia kilka lat. Mniej więcej połowa czasu, który w historii nazywa się okresem jednego pokolenia. Dla mojego pokolenia tedy — półmetek. Najwyższy czas!

Guenter Saerchen

tłum. Anna Morawska

MICHAŁ MAZUR

KARL JASPERS — FILOZOF PRAWDZIWOŚCI

23. 2. 1883 - 26. 2. 1969

PAMIĘCI CZESŁAWA GRABOWSKIEGO
*† 2. 4. 1969 **

Kilka dni po ukończeniu 86-tego roku życia zmarł 26 lutego w Bazylei Karl Jaspers uważany przez wielu za największego filozofa naszych czasów. Wielkich poetów i powieściopisarzy, wielkich filozofów trzeba czytać. Najlepsze nawet podręczniki historii filozofii czy monografie nie mogą zastąpić lektury samych filozofów. Żaden rozsądny człowiek nie uważa, że monografia poety czy podręcznik literatury zastąpią mu lekturę wielkich dzieł sztuki, natomiast wielu ludzi żywi pogląd, że można poznać twórczość wielkiego filozofa „tańszym kosztem", czytając z podręcznika historii czy monografię o nim. Jest to fatalne złudzenie, mylące filozofię ze zbiorem „poglądów" danego autora na sprawy ważne. Zupełnie inaczej ma się rzecz z nauką: w niej jest „postęp" i np. w matematyce można często poznać szybciej i głębiej teorię wielkiego matematyka z podręcznika autora nawet mało twórczego. W nauce jest postęp, „badacz stoi na ramionach swego poprzednika" jak mawiał Jaspers. W filozofii nie ma postępu i dlatego lektura dawnych filozofów może dać dzisiejszemu człowiekowi nieskończenie wiele. Lecz podobnie jak każda epoka ma swoją sztukę, tak każda epoka ma swą filozofię i teologię, która pomaga współczesnemu znaleźć swą identyczność. Dlatego musi być problematyczna niechęć do współczesnej sztuki, filozofii, teologii. Zajmowanie się i miłość jedynie do twórczości minionych epok nosi często charakter ucieczki-eskapizmu.

Dlatego niniejszy artykuł minąłby się zupełnie ze swym celem,

* Często rozmawiałem z Czesławem o Jaspersie. Czytał on maszynopisy wszystkich moich artykułów i tłumaczeń dla „Znaku". Był niestety już zbyt słaby, by przeczytać niniejszy. Pisząc partie dotyczące choroby Jaspersa miałem na myśli Czesława i ludzi chorych nieuleczalnie... M. M.

gdyby miał być traktowany jako „streszczenie" czy „bryk" poglądów wielkiego filozofa. Chciałbym zachęcić do samodzielnej lektury a przede wszystkim zapoznać z tym bardzo dziwnym żywotem. Szczęśliwie się składa, że Jaspers wydał szereg autobiograficznych artykułów, tak że możemy czerpać z pierwszej ręki.

DROGA DO FILOZOFII

Lato 1891. Zachód słońca nad Morzem Północnym koło Norderney. Duży mężczyzna prowadzi ośmio-dziewięcioletniego chłopca za rękę: jest głęboki odpływ, schodzą szeroką plażą ku morzu. 85-letni starzec przenosząc się w tamtą chwilę mówi w zadumie: „...szliśmy długo ku wodzie po czystym wilgotnym piasku. Leżały meduzy, rozgwiazdy, znaki tajemnicy głębin morza. Byłem jak zaczarowany, ale nie zastanawiałem się nad tym. Doświadczyłem wtedy nieskończoności w sposób nierefleksyjny. Odtąd jest dla mnie morze jakby oczywistym tłem życia w ogóle. Morze jest widomą obecnością nieskończoności. Nieskończone fale... Wszystko jest stale w ruchu, nigdzie czegoś trwałego, a jednak całość podlega wyczuwalnemu, nieskończonemu porządkowi. Patrzeć na morze było dla mnie czymś najwspanialszym w przyrodzie. Mieszkanie, bezpieczne spowicie (*Geborgensein*) jest dla nas konieczne i dobroczynne. Ale nie wystarcza nam. Istnieje to coś innego. Morze jest jego ucieleśnioną obecnością. Uwalnia, gdy wychodzimy poza tę bezpieczną sferę, niesie nas tam, gdzie wprawdzie kończy się stały grunt, a gdzie jednak nie toniemy w bezdenności. Ufnie oddajemy się nieskończonej tajemnicy, nieprzewidzianemu, które jest chaosem i porządkiem zarazem. W obcowaniu z morzem żyje od samego początku nastrój filozofowania. Tak nieświadomie przeżywałem to już w dzieciństwie. Morze jest „podobieństwem" wolności i transcendencji. Filozofowanie jest porwane żądaniem, by znieść to, że nigdzie nie ma stałego lądu, ale właśnie dzięki temu przemawia grunt rzeczy (*Grund der Dinge*). Morze stawia to żądanie. Nie ma tam żadnego spętania. Jest w tym niesamowita niezwykłość i jedyność morza".

Karl spędzał już wiele razy przedtem wakacje dzieciństwa nad Morzem Północnym, ale właśnie tamta chwila o zachodzie słońca wywarła na nim niezatarte wrażenie. Nigdy później plaża nie wydawała się tak szeroka, piasek tak czysty. Wszystkie późniejsze zetknięcia z morzem związane były z cichym rozczarowaniem...

Jakieś dziewięć lat później. Na dziedzińcu gimnazjum oldenburskiego „starsi panowie" z klasy maturalnej spędzają pauzy w trzech grupach, które mają wyznaczone miejsca na boiskach, grupy te nie kontaktują się. W wyraźnym dystansie od kolegów

spaceruje samotny, rosły młodzieniec. Te grupy to zrzeszenia: „Obscura", „Prima" i „Saxonia" powstałe z rozporządzenia znienawidzonego (przez Karla) dyrektora gimnazjum; miały one charakter kastowy: „Obscura" np. była najbardziej nobliwa, należeli do niej synowie finansjery i wyższych urzędników. Samotny młodzian to Karl Jaspers, który przeciwstawił się wprowadzającemu pruski dryl dyrektorowi: „Nie przystąpię do żadnego zrzeszenia, kryterium udziału są różnice społeczne, z którymi nie chcę mieć nic wspólnego". Dyrektor był oburzony brakiem subordynacji, nienawidził młodego, który odpłacał mu pogardą połączoną z nienawiścią. Wspominając te czasy wielki filozof mówi: „Chyba nigdy nie gardziłem nikim tak jak tym człowiekiem, chociaż ciągle jeszcze jestem mu wdzięczny za sposób nauczania greki, bowiem był to człowiek o dużej wiedzy i obdarzony dydaktycznym talentem".

Chodziło tu o różnicę między dyscypliną szkolną a drylem wojskowym. Ojciec Karla był człowiekiem o wielkim autorytecie osobistym, opanowanym, który nigdy nie nakazywał niczego dzieciom (Karl miał młodszego brata i siostrę), nie podając rozumowych powodów. Kontrast między duchem domu a gimnazjum musiał być olbrzymi. W trakcie wielu spięć, jakie miał Jaspers ze swym dyrektorem (groziło mu raz usunięcie ze szkoły), Karl był zawsze osamotniony przez kolegów: uważano go za upartego burzyciela spokoju...

Rok 1924. Jaspers jest już od dwóch lat profesorem filozofii na uniwersytecie w Heidelbergu. Pewien docent statystyki (Gumbel) — socjaldemokrata — na zebraniu około tysiąca kombatantów I wojny światowej publicznie powiedział: „Ci biedni ludzie, którzy w czasie wojny polegli — nie powiem, że na polu niesławy, ale w straszliwy sposób postradali życie". Wypowiedź ta nie wzbudziła oburzenia wśród uczestników zebrania, ale była — o dziwo — kamieniem obrazy dla wielu „narodowo" nastawionych profesorów. Wydział filozoficzny wybrał komisję, która miała rozpatrzyć, czy sprawa nadaje się na komisję dyscyplinarną. Komisja składała się z trzech członków: prawnika, historyka i Jaspersa. Po przeprowadzeniu rozmów z uczestnikami zgromadzenia doszła do zgodnego przekonania, że kombantanci nie czuli się obrażeni przez wypowiedź owego kolegi i że nie istnieje żaden powód, by odbierać statystykowi *venia legendi* (prawo nauczania); „Gumbel nie uchybił w niczym duchowi uniwersytetu, ma prawo wypowiadania swego poglądu". Ekspertyza komisji spotkała się ze sprzeciwem olbrzymiej większości profesorów uniwersytetu i pod naciskiem tej opinii dwaj koledzy Jaspersa zatelefonowali do niego pytając, czy zgodzi się, że oni anulują swe podpisy pod ekspertyzą. Jaspers:

„Oczywiście, ale moja ekspertyza pozostanie, tzn. nasza wspólna ekspertyza jest teraz m o j ą ekspertyzą, a Panowie sporządzą inną". Tak się i stało. Na radzie wydziału godzinami dyskutowano nad tą sprawą z tym rezultatem, że cały wydział głosował przeciw ekspertyzie Jaspersa. Jaspers samotny został przy swoim zdaniu... Wspominając tę historię powiada Jaspers: „Już jako uczeń nauczyłem się stać samotnie. Nie jestem odważny, nie jestem bohaterem, nigdy nie narażałem swego życia... Ale czegoś innego nauczyłem się bardzo wcześnie: prestiż i autorytet nie imponują mi. Nie przejmuję się tym, co inni o mnie pomyślą. To, co uważam za słuszne, mówię i działam wedle tego, o ile widzę w tym moje zadanie. W przypadku Gumbela wielu ludzi mówiło mi p ó ź n i e j, że miałem rację. Ale to było już za późno i takie zdanie jest wtedy pozbawione wartości". Jaspers nie był wygodnym kolegą: nie ulegał duchowi korporacji...

W roku 1937 władze hitlerowskie usunęły Jaspersa z uniwersytetu. Zabroniono mu publikować i przemawiać: znane były poglądy wielkiego filozofa, autorytet, którym cieszył się wśród studentów i za granicą. Na dobitkę jego żona była Żydówką. Karl Jaspers zostaje przymusowo emerytowany. Przyjmuje to spokojnie. Pracuje intensywnie nad olbrzymim dziełem *O prawdzie* (*Von der Wahrheit*) jednocześnie poszerzając swą wiedzę z zakresu filozofii hinduskiej i chińskiej. Przychodzą lata wojny, deportacji do obozów zagłady. Jak świadczy dziennik z lat 1940—42 Jaspersowie poważnie rozważają samobójstwo. W r. 1941 przychodzi z Bazylei propozycja objęcia wykładów filozofii na tamtejszym uniwersytecie. Władze hitlerowskie nie zgadzają się na wyjazd Jaspersów. Życzliwym ludziom udaje się odsuwać termin wywózki żony Jaspersa do Teresina (Theresienstadt), a więc śmierci nierozerwalnego małżeństwa. Przychodzi nielegalną drogą wiadomość, że Gertruda ma być wywieziona 14 kwietnia 1945 r. Na szczęście 1 kwietnia Amerykanie zajmują Heidelberg. Dziwne to musiało być uczucie: być wyzwolonym z rąk rodaków przez „wrogów". Jaspers wspomina: „Trudno opisać, jak czuliśmy się teraz w Heidelbergu. Było jak w baśni. W ciągu nocy zostaliśmy nagle przeniesieni w inny świat. Byliśmy uwolnieni... Na mieście pojawiły się rozporządzenia (alianckie, M. M.), w których brzmiał uczciwy zachodni ton... ogarnęła mnie wielka nadzieja".

Już po trzech dniach (4. 4. 1945 r.) powstaje z inicjatywy Jaspersa 13-osobowa komisja złożona z profesorów uniwersyteckich, która ma przygotować nowe założenia uniwersytetu. Jaspers jako jeden z profesorów (nielicznych trzeba niestety powiedzieć), mających całkowicie nienaganną przeszłość polityczną, cieszy się olbrzymim szacunkiem wśród władz okupacyjnych USA: młodych

„oficerów uniwersyteckich" (*Universitätsoffiziere*). W pierwszych latach panuje głód, zdrowie nie pozwala Jaspersowi objąć funkcji rektora lub dziekana na nowo zorganizowanym uniwersytecie. Lecz jest mimo to główną postacią nowo zorganizowanego uniwersytetu. (Heidelberg był jedynym miastem niemieckim powyżej 100 tysięcy mieszkańców, nie zniszczonym w czasie działań wojennych; podobno generał kierujący operacjami na tym odcinku oszczędził piękne miasto uniwersyteckie z sentymentu: sam studiował w Heidelbergu przed wojną).

W r. 1946 drukuje Jaspers piękną (niedużą), mądrą książkę *Schuldfrage* (*Problem winy*) rozważającą wszechstronnie problem winy niemieckiej w przededniu Procesów Norymberskich. Jaspers pisze w 20 lat później: „Amerykański komendant wojskowy na uniwersytecie wyraził mi głęboką wdzięczność mówiąc, że praca ta jest napisana nie tylko dla Niemców, lecz także dla sumienia aliantów. U nas książka ta, której poczytność była mała, wzbudziła niechęć (także wśród mych kolegów z Heidelbergu) i wiele urągania".

Jaspers pisze z goryczą: „Wydaje się, że nastrój i charakter ludzi nie zmienił się w ogóle. Ludzie chcieli żyć, ale nie chcieli zastanawiać się, zmienić się... Wszyscy hitlerowcy zwalali winę na Hitlera: 'nadużywano naszego zaufania' — mówili. Rzadko pojawiała się godność, natomiast tu i tam utajona wściekłość i złość. Z biegiem lat pod tym względem stawało się jeszcze gorzej".

Niżej podpisany ma nadzieję, że może spojrzenie wielkiego filozofa jest zbyt surowe. W każdym razie trudno się dziwić, że gdy w r. 1948 uniwersytet w Bazylei ponowił zaproszenie na roczne wykłady (wiadomo było, że w praktyce oznacza to ofiarowanie Jaspersowi katedry filozofii), Jaspers po kilku tygodniach wahania przyjął tę propozycję, nie budząc tym życzliwości swych kolegów. Sprawy te opisuje dokładnie, spokojnie lecz bezlitośnie w obszernym artykule *Z Heidelberga do Bazylei,* który ukazał się w 1967 r. w „Spiegel" (przedruk ukazał się w r. 1968 w tomie: *Schicksal und Wille* (*Los i wola*) zawierającym szereg autobiograficznych pism).

Jaspers przeniósł się do Bazylei (1948) jako stary człowiek: miał ukończone 65 lat. Można by oczekiwać, że wielki, stary filozof odwróci się od spraw niemieckich, tak przecież beznadziejnie poplątanych, którymi zajmowanie się narażałoby go na wiele przykrości. Ale stało się inaczej. Jaspers pisze, że jego zainteresowania rozwijały się jak następuje: nauki przyrodnicze, medycyna, psychologia, filozofia a w końcu polityka i teologia. Właśnie ostatnie 20 lat życia — lata bazylejskie — to obszerna działalność „polityczna" — problem bomby atomowej, któremu poświęcił Jaspers szereg publikacji oraz dzieło *Atombombe und die Zukunft der*

Menschheit (Bomba atomowa i przyszłość ludzkości). Niżej podpisany przyznaje, że to jedyne dzieło Jaspersa, które budzi w nim mieszane uczucia: pisane w czasach zimnowojennych obok wspaniałych myśli zawiera dość naiwne gloryfikowanie „wolnego świata". (W tym okresie Jaspers używał niestety tego dziwnego terminu, na szczęście później go zarzucił). Główną problematykę polityczną tego okresu stanowi dla Jaspersa problem niemiecki: sprawa podziału Niemiec, któremu poświęcił szereg świetnych artykułów w „Die Zeit" i które ukazały się w rozszerzonej formie w książce pt. *Freiheit und Wiedervereinigung*, 1960 (*Wolność i zjednoczenie*). Zajmował się problemem prasy: „Czy jesteśmy dobrze informowani?" Zabierał głos w sprawie słynnej afery „Spiegla". Jego analiza tendencji polityki zachodnioniemieckiej *Wohin treibt die Bundesrepublik* 1966 (*Dokąd unoszone są Niemcy Federalne*) stała się bestsellerem.

W książce tej charakteryzuje ten rozwój jako przemianę „od demokracji ku oligarchii partyjnej" i widząc to „wydrążenie" demokracji ostrzega przed zarysowującą się wyraźnie tendencją „od oligarchii partyjnej ku dyktaturze". Ostrzega przed ustawodawstwem wyjątkowym. Ale Jaspers nie bawi się w przepowiadacza: zawsze miał bardzo negatywny stosunek do wszelakich „proroków". Po dogłębnych rozważaniach, jak mogło dojść do obecnej sytuacji, proponuje bardzo konkretne, przemyślane rozwiązania, które mogłyby odwrócić bieg rzeczy. Ta książka Jaspersa przyjęta została entuzjastycznie przez postępowe koła (studenci...), lecz spotkała się z bardzo chłodnym, a nawet często wrogim przyjęciem ze strony „establishment". Przypominam sobie moje rozmowy w NRF na ten temat. Wielu nawet sympatycznych i zdawałoby się bardzo rozsądnych ludzi argumentowało w ten sposób: „Jaspers jest bardzo starym człowiekiem, widzi czarno i wydaje mu się, że historia może się powtórzyć". Głosom ostrej krytyki wielki starzec nie pozostał dłużny; już w r. 1967 ukazuje się jego książka pt. *Odpowiedź,* która daje imponujące świadectwo, jak ten 84-letni człowiek dokładnie śledził czołową prasę i jak spokojnie i silnie obala zarzuty krytyki.

W roku 1965 wydaje obszerną broszurę poświęconą debacie nad przedawnieniem zbrodni hitlerowskich *Die Bundestagdebatten über die Verjährung von Morden des NS-Staates.* W książce tej nie waha się Jaspers wypowiedzieć surowych sądów o wielu czołowych politykach niemieckich. Fascynująca i bardzo pouczająca to lektura.

Swe ostatnie wspomnienia (1967) wielki filozof kończy smętnymi, ufam, że nazbyt smutnymi zdaniami... „W roku 1945 żyłem wielką nadzieją, że Niemcy utworzą (z pomocą aliantów) nowe pań-

stwo. Nadzieja ta była tak wielka, że niemal graniczyła z pewnością. Potem następowało rozczarowanie za rozczarowaniem, aż dziś mówimy znów: ci wspaniali Niemcy, kilkaset tysięcy, może kilka milionów, zostaną znów zmieceni, zalani przez masę bezmyślnych, samolubnych, oportunistów, podłych, wykształconych. To już nastąpiło. Żyjemy w świadomości: Ci inni Niemcy są, my ich słyszymy, ale oni nie mają władzy... Ja, który się do nich zaliczam, muszę to samo powiedzieć o nich co i o sobie: to, że my nie dochodzimy do władzy, zależy od naszego ducha, ten duch jest bowiem duchem kontemplacyjnym, analizującym, wypowiadającym sądy, duchem postawy, nie jest jednak duchem, który narażałby swe życie..." Tak tylko wolno mówić Niemcowi, człowiekowi, który kocha swój naród. Jaspers, mimo przyjęcia (wraz z żoną) w niespełna rok przed śmiercią obywatelstwa szwajcarskiego, czuł się Niemcem. Rozumiał on słowo „deutsch" w bardzo specjalny sposób, jak świadczy o tym piękny artykuł pisany w r. 1962 *Was ist deutsch*?

ŻYCIE Z CHOROBĄ

Karl był chory od urodzenia, chory na nieuleczalną chorobę. Już jako osesek rzęził. Dopiero w r. 1901 — Karl miał wtedy 18 lat — dr Fraenkel postawił właściwą diagnozę: bronchiektases [1] połączona z niewydolnością serca. W tamtych czasach można było żyć z tą chorobą najwyżej do 30 roku. Po maturze dyrektor gimnazjum powiedział z satysfakcją: „Jaspers, z ciebie nic nie wyrośnie, niedługo przecież umrzesz". Jak wiemy, stało się inaczej: Jaspers przeżył swego dyrektora o wiele lat... Zawdzięczał to wielkiemu lekarzowi, swej żonie i własnej dyscyplinie wewnętrznej.

Przebieg choroby Jaspersa znamy bardzo dokładnie: po przymusowym odejściu z uniwersytetu (1938) wielki filozof spisał swą historię choroby (*Krankheitsgeschichte*). Pisząc ją kierował się różnymi motywami: sam będąc lekarzem wiedział, jak cenne są takie wypowiedzi dla medycyny. Choroba, jak pisze, była jego losem. Współżycie z tą chorobą, nie popadanie w hipochondrię i zgorzkniałość, niezwykła twórczość Jaspersa w tych tak ciężkich okolicznościach, muszą budzić głęboki podziw i wdzięczność. Jaspers z pewnością nie był wygodnym pacjentem. Będąc lekarzem, psychologiem i filozofem rozmyślał wiele o byciu chorym, relacji lekarz-pacjent, o medycynie w naszej epoce. Obdarzył nas olbrzymim standardowym dziełem *Allgemeine Psychopatologie* (*Psychopatologia ogólna* — napisana w 1919 r. doczekała się wielu wydań i jest jeszcze używana przez studentów medycyny i psychiatrów).

1 Termin polski: rozstrzenie oskrzeli.

Napisał szereg artykułów i przemówień wygłaszanych na kongresach lekarskich. Jak wiele instytucji także i medycyna przeżywa wielki kryzys. Stanowisko Jaspersa wobec tych problemów jest raczej konserwatywne, lecz jak wszystko, co pisał, pobudza bardzo do myślenia. Jaspers charakteryzuje typową postawę chorego jak następuje: „Przeważnie chory nie podchodzi rozumnie do swej choroby. Idzie do lekarza, bo chce być koniecznie pod opieką. Oczekuje, że konsultacja powinna zakończyć się przepisaniem recepty i terapii... Pragnie być ustawicznie leczonym. Lęk tych, którzy chcą być z czegoś tam wyleczonymi, absorbowanie lekarza wymaganiami, które nie mogą być spełnione, wymusza rozwijanie metod leczenia, które nie działają racjonalnie. ... Pewien słynny farmakolog wyraził to dosadnie: 'Mamy tuzin skutecznych leków, reszta to produkt lęku chorych i żądzy zysku przemysłu farmaceutycznego'. Chory nie chce wiedzieć, chce być posłuszny. Autorytet lekarza jest mu upragnionym punktem stałym, który dyspensuje go od własnego namysłu i odpowiedzialności. 'Mój lekarz nakazał' jest najwygodniejszym uwolnieniem. Gdy sprawa staje się poważna, gdy życie jest zagrożone lub gdy wedle ludzkich przewidywań życia nie da się już uratować, wtedy chory nie chce o tym wcale wiedzieć. Gdy twierdzi coś przeciwnego, to pragnie faktycznie tylko uspokojenia a nie prawdy". Myślący pacjent musi wychodzić lekarzowi naprzeciw, powiada Jaspers... Postępowanie lekarzy podlega nieuniknienie w dużej mierze schematom epoki i ulega modzie: „Czyni się coś, *ut aliquid fiat* (by coś się działo); mówi się, by uspokoić, odwrócić uwagę, upomnieć. Dlatego rozsądny pacjent powinien walczyć przeciw zbędnym zaleceniom, tak długo, aż mądry lekarz mu uwierzy, że chce być tylko obserwowany, by w tych momentach, gdzie racjonalne, skuteczne leczenie jest rzeczywiście możliwe, otrzymać je..." Ileż doświadczeń miał Jaspers z lekarzami!... „Chronicznie chory może doświadczyć, że lekarz staje się wrogi, gdy odczuje opór przeciw swym schematom, gdy ma uczciwie wyjawić i uzasadnić to, co faktycznie przepisuje bezmyślnie. Chory musi sobie powiedzieć, o ile chce uniknąć tej wrogości, a jednak takiego lekarza zatrzymać: Muszę mojego lekarza 'uleczyć' nie tylko on mnie...". Tak, Jaspers był uciążliwym pacjentem! Lecz Jaspersowi dane było spotkać prawdziwego LEKARZA.

Czytając tę partię autobiograficznych fragmentów trudno oprzeć się wrażeniu: tu mamy do czynienia z głębokim powiązaniem losowym:

Na początku studiów (1901) Jaspers udał się „przypadkiem" — jak pisze — z wizytą, do dalekiego powinowatego, młodego jeszcze

wtedy lekarza, Fraenkla, w miejscowości uzdrowiskowej Badenweihler pod Freiburgiem (in Breisgau). Jaspers nie myślał o konsultacji, ale ponieważ po krótkiej wędrówce przybył całkiem wyczerpany do Fraenklów „zwróciło się lekarskie sumienie tego mądrego człowieka spontanicznie ku mnie: 'Czy wolno mi Pana zbadać? Pan mi się nie podoba' ". Stało się to i Fraenkel rozpoznał chroniczną chorobę. Fraenkel pozostał lekarzem Jaspersa do swej śmierci w 1938 r. „Był on prawdziwym lekarzem dlatego, że nie opierał się mej woli wiedzy, że podejmował ze mną każdą dyskusję i nie leczył mnie jedynie 'przyrodniczo', lecz całe życie w jego specyficzności ogarniał spojrzeniem i uznawał je. Czy miał rację czy nie, zawsze wyprowadzał mnie na tę drogę, która była dla mnie dobroczynnie zbawienna. NAUCZYŁ MNIE BYĆ ZDROWYM, GDY JEST SIĘ CHORYM. Dodawał mi ufności i otuchy, bym mimo wszystko szedł drogą możliwej w tych warunkach sprawności. Fraenkel zyskał później światowy rozgłos jako odkrywca terapii strofantynowej. Został w 1914 r. profesorem w Heidelbergu i dzięki jego mądrej polityce Jaspers uzyskał w 1922 r. profesurę zwyczajną z filozofii w Heidelbergu (niespotykane wtedy wydarzenie w Niemczech: Jaspers był „tylko" doktorem medycyny i docentem psychologii).

Trudno chyba piękniej pisać o swym lekarzu:

„W Fraenklu znalazłem nie tylko lekarza zbawczego dla mego życia. Jego istnienie stało się dla mnie podstawowym doświadczeniem LEKARZA W OGÓLE w jego najwyższej idei. Wydaje mi się, że posiadał on niesłychaną zdolność utożsamiania się ze swymi pacjentami. Składając siebie (niemal) w ofierze, żył swą duszą w drugim tak, jakby nim był, jednak z nadwyżką jasnego, realistycznego intelektu, który patrzył dalej niż chory, któremu chciał pomóc. ...Jego mądrość niesiona była przez jakąś genialną naiwność. Jego zdolność przemieniania się (w pacjenta) miała swe źródło w rozrzutnej dobroci serca".

Lecz ani wielki lekarz, ani higieniczny tryb życia nie umożliwiłyby osiągnięcia przez wielkiego filozofa wieku biblijnego, gdyby nie spotkał na swej drodze człowieka zupełnie wyjątkowego, jakim była

GERTRUDA

Jaspers często pisze, że zawdzięcza swą filozofię trzem ludziom: najbliższemu przyjacielowi Ernstowi MAYEROWI, jego siostrze Gertrudzie — późniejszej swej żonie — i wielkiemu uczonemu i filozofowi Maxowi WEBEROWI — twórcy współczesnej socjologii.

P r z y j a ź ń. Wielka przyjaźń jest zrządzeniem niebios, czymś bardzo rzadkim i niezwykłym. Młody Jaspers mimo prawdziwie harmonijnej atmosfery domu rodzicielskiego, bliskiego kontaktu z matką i mądrym liberalnym ojcem, mimo serdecznej miłości do siostry i brata czuł się, jak pisze, samotny. Tęsknił do czegoś czy może za kimś: „za ludźmi, których istota przykazałaby mi spełnienie tego, co człowiekowi możliwe, którzy byliby gwarancją, że u podstawy rzeczy leży coś, dla czego warto żyć i dzięki czemu samo życie może stać się wspaniałą rzeczywistością. Szukałem tego człowieka, z którym uda mi się bezwzględna przyjaźń; człowieka, którego będę kochał tak, jakbyśmy należeli do siebie od wieków; człowieka, w którym zobaczyłbym w porywającym przerażeniu przełamujący wszelkie szranki los spełnionego *Scheiterns* (brak polskiego odpowiednika na to słowo, które wyraża niepowodzenie, rozbicie się statku o skały...).

Właśnie los pozwolił spotkać Karlowi tych trzech...

Przyjaciel to: „Ernst Mayer — Żyd, który studiował jak ja medycynę. Kiedyś, gdyśmy pracowali przy jednym stole w prosektorium, zaczął rozmowę...". Przyjaciele filozofowali wspólnie i nawet później, gdy Ernst otworzył praktykę prywatną w Berlinie (Jaspersowie zostali w Heidelbergu), widywali się często, pisywali obszerne listy, a potem w latach 1923—31 dyskutowali wszystkie szczegóły rodzącego się głównego dzieła Karla — *Philosophie*.

W r. 1938 po „Nocy Kryształowej" (palenie synagog i plądrowanie przez SA sklepów żydowskich w całych Niemczech) udaje się Ernstowi zbiec do Holandii i tam przetrwać okupację ukrywając się u dzielnej holenderskiej rodziny. Zmarł w r. 1952.

W r. 1907 Ernst opowiedział swej młodszej siostrze Gertrudzie o swym nowym przyjacielu. Poważna dziewczyna przygotowywała się do matury (eksternistycznej), z myślą o studiowaniu później filozofii i nie chciała się rozpraszać. Zgodziła się poznać Karla dopiero pod koniec semestru. Jaspers w 60 lat później tak wspomina moment poznania się: „W czasie odwiedzin jak gdyby trafiła mnie błyskawica. Już w pierwszym momencie, gdy Gertruda wstając od dużego biurka, odwrócona jeszcze do nas tyłem, powolnym ruchem zamknęła książkę, wstała i zwróciła się ku nam. Było to jak gdyby w tym momencie spotkało się dwoje ludzi, którzy od niepamiętnych czasów byli ze sobą związani". Młodzi pobrali się w 1910 r. Teść Karla pokonał swe początkowe opory pobożnego Żyda wobec małżeństwa swej ukochanej córki z chrześcijaninem i do śmierci ojca Gertrudy obaj panowie związani byli głęboką wzajemną ufnością i miłością. Także rodzice Karla wzięli w swe serce Ger-

trudę: „Wszystko się zmieniło gdy Gertruda przyszła do nas" — mawiał Karl Jaspers-senior. W odpowiedzi na ankietę „Z jakich sił żyjemy" [tejże ankiecie zawdzięczamy piękny artykuł W. E. Fraenkla, por. „Znak" 151 (1967)] pisał wielki filozof w r. 1962: „...najbardziej własne źródło siły niosło mnie od r. 1907. Dopiero dzięki jednej jedynej miłości do towarzyszki losu i z tego cudu, że jestem kochany, mogłem sprostać życiu... Moje życie odtąd było jakby czekaniem na nią... Patrząc wstecz wydaje mi się łatwo żyć dzięki takiej miłości". Jaspers twierdzi, że dzięki Gertrudzie jego filozofowanie nabrało powagi i odpowiedzialności. Stwierdza, że wszystkie jego dzieła były ich wspólnymi tworami..

Teraz Gertruda została sama: 80-letnia staruszka, której życie było jedną służbą życiu i dziełu wielkiego filozofa — dzieci nie mieli...

FILOZOFIA EGZYSTENCJI

Jak pisaliśmy na wstępie, nie jest wskazana (a i tak zdana na niepowodzenie, bo prowadząca do nieporozumień) próba referowania „poglądów filozoficznych" Jaspersa. Tu jedynie chcielibyśmy umiejscowić główne przecież „zajęcie" filozofa w jego życiu oraz wspomnieć o jego stosunku do współczesnej mu filozofii.

Jaspers uważał, że epoka po r. 1920 (śmierć Maxa Webera) nie wydała wielkich filozofów; trzeba przyznać, że sam nie uważał się za wielkiego filozofa. Nie ukrywał, że w czasie studiów wykłady filozofii nudziły go i że to, co podawano jako filozofię na uniwersytetach, jest nudne. W r. 1931 miał Jaspers cykl wykładów pt. *Wstęp do filozofii,* które ukazały się w tymże roku jako jubileuszowy (1000) tomik serii „Sammlung Göschen" pt. *Geistige Situation der Zeit* (*Duchowa sytuacja naszych czasów*). Po 32 latach wspomina te wykłady wybitny historyk Golo Mann (syn Tomasza) takimi słowami:

„Po pierwszym wykładzie szliśmy (studenci — M. M.) do domu, podnieceni, rzekłbym zalęknieni jak nigdy żadnym wykładem akademickiego nauczyciela...". To dziełko jest arcydziełem, które nic nie straciło ze swej aktualności po 38 latach. Powstało ono jako „uboczny produkt" wielkiego, najbardziej przez filozofa lubianego dzieła: 3-tomowej *Filozofii* (1932). Już w nim widać zupełnie inną postawę Jaspersa wobec otaczającego go świata, wobec historii, wobec polityki niż jego wybitnego kolegi Heideggera. Zaskakująca jest tu bystrość, wszechstronność spojrzenia, mądrość i zaangażowanie autora. I można zrozumieć zalęknienie młodziutkiego Golo Manna: Jaspers widział niebezpieczne tendencje swych czasów. Przyznaje przecież, że nie przewidywał wybuchu zbiorowej psy-

chozy (1933—1945), lecz nam, którzy czytamy teraz tę książkę, wydaje się, że była prorocza. Musiała wywrzeć olbrzymie wrażenie na młodych otwartych ludziach. Wielu z nich wyemigrowało (jak G. Mann), wielu poginęło po obozach, wielu przeżywało zapewne jedynie estetyczne zadowolenie, jakie daje „konsumpcja" dzieła sztuki... Lecz ludzie, którzy trzymają w rękach cugle historii nie czytują niestety takich książek. Właśnie ta książeczka sprawiła, że w r. 1937 odebrano Jaspersowi prawo wykładania i publikowania. Dziwimy się może, że nastąpiło to tak późno (4 lata po *Machtergreifung*). Książka ta musiała być niemiła dla bardzo wielu ludzi reprezentujących *establishment* — zobaczmy dla przykładu, jak Jaspers charakteryzuje sytuację ówczesnej filozofii.

„...tradycyjna filozofia stała się od drugiej połowy XIX stulecia *Betrieben* szkół uniwersyteckich, które coraz rzadziej były wspólnotą filozoficznych ludzi... Filozofia oddzielona od swych źródeł i korzeni (*Ursprung*), nie czując odpowiedzialności za prawdziwe życie, które powinna umożliwiać, stała się doktryną — zjawiskiem wtórnym. Starała się usprawiedliwić przed naukami (czując swą niższość), próbując podawać się za czystą naukę jako teoria poznania... Stawała się coraz bardziej żonglowaniem 'twierdzeniami', (*Lehrstücken*), problemami, poglądami, systemami. Na zewnątrz filologiczna, wewnętrznie racjonalistyczna bez powiązania z egzystencją poszczególnego filozofa, kontynuowała filozofia szanowną tradycję różnych szkół, które pomimo polemicznej atmosfery swego piśmiennictwa były w gruncie rzeczy wszystkie tym samym (nosząc różne miana: idealizmu, pozytywizmu, neokantyzmu, krytycyzmu, fenomenologii, teorii przedmiotu)".

Jaspers nie może darować swym kolegom po fachu, że „przeważnie nie znali Kierkegaarda, a Nietzschego nie uważali za filozofa. Klasyfikowali go z uznaniem jako poetę i w ten sposób unieszkodliwiali go dla siebie, a rozprawiali o nim i załatwiali go jako nienaukowego, jako modę, jako dyletanta".

Uważa, że filozofia nie spełniła swego wielkiego zadania, bo „człowiek, który nie potrafił już żyć z wiary kościelnej, mógłby w niej upewnić się o swej istotnej woli": dziś powiedzielibyśmy: filozofia mogłaby mu pomóc znaleźć swą identyczność (co to „znaczy", spróbujemy przybliżyć za chwilę). Trudno przypuszczać, że Jaspers był lubiany przez zawodowych filozofów! Już w tych kilku zdaniach widać, że Jaspers uważał za fatalne: nieporozumienie poczytywania się filozofii za naukę, brak życia filozoficznego wyrażający się w estetyzującym stosunku do rzeczywistości.

EGZYSTENCJA. Nauki zajmujące się człowiekiem: psychologia, socjologia, antropologia traktują człowieka jako przedmiot. Przy

pomocy swych metod poznają coś z człowieka, pozwalają zrozumieć pewne aspekty tej rzeczywistości, którą nazywamy człowiekiem. Ale człowiek, aczkolwiek uwarunkowany w pewien sposób, nie da się ująć całkowicie w siatkę pojęć i metod rozwijanych przez te nauki: jest czymś więcej. Człowiek potrzebuje do działania w świecie, w każdej sytuacji, we wszystkich zawodach wiedzy fachowej, rzeczowej. Ale sama fachowość nigdzie nie wystarcza, bowiem nabiera sensu dopiero dzięki temu, kto ją posiada: najlepsze aparaty i instrumenty, najwspanialsze urządzenia, najdoskonalsza technika mogą być używane także do zgubnych celów. Najmądrzejsze ustawy nie pomogą wiele, gdy ludzie, którzy je realizują, są nieuczciwi lub źli. Wszystko może zostać przeinaczone i zniweczone, gdy ludzie nie napełnią tego wszystkiego właściwą treścią. Krótko mówiąc bytu i współżycia ludzi nie da się poprawić jedynie przez udoskonalanie techniki i poszerzanie wiedzy fachowej (aczkolwiek są one czynnikami podstawowej wagi). Decydujące jest to coś w człowieku: jego wewnętrzna postawa, jego stosunek do otoczenia, treść tego, co go zadowala, to, co Jaspers nazywa egzystencją lub — by podkreślić nieprzedmiotowy, niegotowy, potencjalny charakter tego wymiaru — „możliwą egzystencją". I właśnie filozofia egzystencji jest tym „myśleniem", które chciałoby rozjaśnić tę egzystencję, jak gdyby ją w człowieku obudzić, pomóc mu ją zaktualizować, tzn. pomóc mu stać się sobą, znaleźć swą identyczność, używając terminologii psychologii głębi — niech Jaspers przebaczy mi ten wielki nietakt — dokonać indywiduacji.

SYTUACJE GRANICZNE. By dojść do egzystencji, potrzebne są niestety doświadczenia i wstrząsy, dzięki którym człowiek zostanie wyrzucony z wyobcowania w świecie i społeczeństwie i „ciśnięty ku sobie", a przez to zdobędzie jednocześnie poczucie solidarności.

Dzieje się to w sytuacjach, o których nie mówi się w „towarzystwie"; sytuacjach, o których człowiek najchętniej zapomina i których groźne istnienie jest zagłuszane skwapliwie: są nimi ŚMIERĆ, CIERPIENIE, WALKA, PRZYPADEK i WINA, którą musimy się nieuchronnie obarczać. Te sytuacje nazywa Jaspers sytuacjami granicznymi — termin, który ukuł już w r. 1919, a który przyjął się bardzo szybko i powszechnie. Nazywają się one „granicznymi", bo nie mogę ich istotnie zmienić. Uświadamianie ich sobie jest obok zdziwienia i wątpliwości najgłębszym źródłem filozofii. Właśnie one, a może najbardziej śmierć jest tym kryterium, tym sprawdzianem egzystencjalnego życia i działania, bowiem — jak często mówi Jaspers — jedynie to, co ostaje się w obliczu śmierci, zostało naprawdę egzystencjalnie uczynione,

p o m y ś l a n e. Mówiąc inaczej „tam jestem nieśmiertelny, gdzie kocham prawdziwie", wtedy jestem nieśmiertelny, gdy żyję egzystencjalnie, żyję prawdziwie.

Bollnow charakteryzuje egzystencję pięknie tymi słowy: „Egzystencja jest to najbardziej intymne jądro istoty człowieka, które jeszcze wtedy pozostaje, a właściwie dopiero wtedy zostaje doświadczone, gdy wszystko to, co człowiek w t y m świecie może posiąść... straci i okaże się to złudne...". Widzimy, że sfera egzystencji „należy" w równej mierze do filozofii co i do teologii, i nie mogłaby powstać z dala od obszaru przenikniętego chrześcijańską teologią.

„UMGREIFENDES". Niedługo po opublikowaniu swej *Filozofii* dochodzi Jaspers do podstawowego dla swej filozofii pojęcia, które nazywa OBEJMUJĄCE (*das Umgreifende*). Ponieważ podstawowych pojęć filozofii nie można definiować (bo byłoby to redukcją do czegoś mniej podstawowego), można je jedynie przybliżać, charakteryzować, rozjaśniać, przyswajać — spróbujmy więc podać jedynie „kierunek", w którym możemy napotkać to OBEJMUJĄCE. W zwykłym intelektualnym poznaniu dystansujemy się od tego, co poznajemy. To podstawowe zjawisko ludzkiej świadomości nazywa się rozbiciem na podmiot i przedmiot. Dziś panuje już ogólne przekonanie, że w pierwotnej świadomości ludzkości nie było jeszcze tej wyraźnej relacji przedmiot-podmiot. Jeszcze u ludów pierwotnych i dzieci nie ma tego tak wyraźnego rozgraniczenia, a nawet „rozbicia". Dzięki temu rozbiciu „przedmiot-podmiot" mogła powstać nauka i technika. Ale nauka nie jest poznaniem bytu: „byt jako całość" nie jest ani podmiotem, ani przedmiotem, jest czymś, co obejmuje przedmiot i podmiot: „wszystko, co staje mi się przedmiotem, przychodzi do mnie, wyłania się z 'obejmującego' ", podobnie ja jako podmiot wyłaniam się z OBEJMUJĄCEGO. Obejmujące nie jest nigdy przedmiotem, pozostaje zawsze tłem, horyzontem, który ciągle się przesuwa.

Das Umgreifende jawi się 1° j a k o b y t w s o b i e (*Sein an sich*), który nas ogarnia lub 2° jako b y t, k t ó r y m j e s t e ś m y.

Byt, który nas ogarnia, nazywa się światem i TRANSCENDENCJĄ. Później Jaspers używa często zamiast „transcendencji" klasycznego terminu BÓG. Omówmy po krótce „człowieka", tzn. obejmujące, którym jesteśmy; jego wymiarami są:

a — byt empiryczny (*Dasein*),
b — intelekt lub świadomość w ogóle (*Bewusstsein überhaupt*),
c — duch,
d — egzystencja.

Ponieważ o egzystencji mówiliśmy już, a pojęcia bytu empirycznego oraz intelektu nastręczają mniej trudności, napomkniemy pokrótce, jak rozumie Jaspers „ducha": „Jako duch napełniony jestem ideami, poprzez które chwytam wychodzącą mi naprzeciw ideę. To, co intelekt rozcina, dzieli, staje się dzięki duchowi czymś spójnym, jakimś duchowym ruchem. Tam, gdzie zanikają idee, tam rozpada się świat w nieskończoność rozproszonych przedmiotów".

WIARĘ charakteryzuje Jaspers jako życie płynące z „obejmującego" jako kierowanie i spełnianie przez obejmujące. Tę wiarę Jaspers chętnie nazywa filozoficzną wiarą dla odróżnienia od niezbyt mu miłej wiary kościelnej lub wiary pochodzącej z objawienia (*Offenbarungsglaube*).

Problematyce tej poświęcone jest ostatnie (1962) obszerne dzieło filozofa, które stawia go wśród czołowych teologów współczesnych. *Der philosophische Glaube angesichts der Offenbarung* (*Wiara filozoficzna w obliczu objawienia*). Musimy w tym miejscu przerwać, podkreślając raz jeszcze, że „tezy" wiary filozoficznej: BÓG JEST, ISTNIEJE ABSOLUTNY IMPERATYW nie mają być rozumiane w sensie obiektywnej, dogmatycznej „wiary", lecz jedynie w sensie apelującego, egzystencjalnego ruchu, „między egzystencją a transcendencją".

Nie można zbliżyć się do filozofii Jaspersa nie rozumiejąc jego stosunku do nauki: Jaspers był wybitnym uczonym, nim został filozofem. Wiele nieporozumień wyjaśni się, gdy przyjąć jego genialną charakterystykę współczesnej nauki.

NAUKA I FILOZOFIA

Pogląd Jaspersa na naukę jest niewygodny dla filozofów i dlatego tę sprawę pomijają milczeniem. Jednak dla Jaspersa i jego filozofii „teoria" współczesnej nauki jest zupełnie zasadnicza: świadczy o tym fakt, że we wszystkich swych podstawowych dziełach i w szeregu artykułów i wykładów konsekwentnie rozwija swą koncepcję nauki i jej relacji do filozofii. Swą zakończoną formę uzyskała ta koncepcja nauki w dziełku *Die Idee der Universität* wydanym zaraz po wojnie (1946). Książka ta wyrosła z wykładów, które miał Jaspers jako duchowy kierownik odbudowy uniwersytetu w Heidelbergu. Jaspers uważał, że niezdawanie sobie sprawy z tego, czym jest współczesna nauka, mieszanie jej z filozofią i co gorsza z pseudonauką, doprowadziło do korupcji uniwersytetu niemieckiego. Zapoznanie się z tą koncepcją nauki pozwala zrozumieć nieprzepartą niechęć wielkiego filozofa do szeregu zjawisk i tendencji z pogranicza nauki.

CECHY NAUKI

Nauka jest:

1° — metodycznym poznaniem,

2° — jej treść jest zmuszająco pewna (*zwingend gewiss*),

3° — posiada ogólną ważność.

Scharakteryzujmy pokrótce te trzy rysy współczesnej nauki uwypuklając konsekwencje ich braku.

1° — Nie ma nauki bez świadomości metody: wraz z wiedzą wiem o drodze, która prowadzi mnie do tego wyniku. Wraz z drogą znam pozycję oraz granice danego rodzaju wiedzy. Przeciwieństwem jest niemetodyczne mniemanie i nieproblematyczne przyjmowanie „na wiarę". Treść tej „wiedzy na wiarę" może być nawet wynikiem badań naukowych, lecz tryb, sposób tej wiedzy nie będąc metodycznym, jest nienaukowy i prowadzi do tzw. „zabobonu naukowego". Ponieważ nasza cywilizacja możliwa jest jedynie dzięki technice, technika jedynie dzięki nauce, panuje prawie nieograniczona wiara w naukę: „dla nauki wszystko będzie możliwe". Ponieważ treści naukowe dostępne są jedynie poprzez znajomość metody, sam podziw dla jej rezultatów nie jest partycypacją w nauce i jej sensie, więc ta „wiara" w „naukę w ogóle" jest zabobonem. „Potęga tego zabobonu opanowuje prawie wszystkich, nawet uczonych. Wydaje się, że u poszczególnego człowieka została ta pseudowiara już pokonana, a za chwilę pojawia się znowu; otwiera przepaść między człowiekiem, który jej uległ, a krytycznym rozumieniem prawdziwej naukowości".

2° — Wiedza naukowa jest zmuszająco pewna: to, co rozumiem naukowo, jest już dostępne dla samego intelektu. Prawdziwość tego rodzaju wiedzy nie wymaga zaangażowania całej osoby: nie jest to wiedza egzystencjalna.

By podkreślić różnicę tych dwóch rodzajów wiedzy, Jaspers lubi ilustrować ją zachowaniem się Galileusza (naukowca) i Giordana Bruna (filozofa): wiedza o prawach mechaniki nie stałaby się bardziej prawdziwa, gdyby Galileusz pozwolił się za nie spalić na stosie. Przekonanie Bruna doznałoby istotnego zubożenia, gdyby odwołał...

3° — Naukowe zrozumienie jest ogólnoważne: przez każdego może być doświadczone jako zmuszające. Dlatego rozprzestrzenia się prawda naukowa faktycznie wszędzie tam, gdzie myśli się w sposób naukowy. Jednomyślność w zrozumieniu naukowym jest charakterystyczna dla jej ogólnoważności. Przeciwieństwem tego jest nieogólność filozoficznych przekonań. Ta charakterystyka pozwala naukę wyraźnie oddzielić od filozofii i pokazuje

GRANICE NAUKI

Naukowe poznanie jest poznaniem „rzeczy" a nie jest poznaniem bytu: poznanie naukowe skierowane jest na szczególne przedmioty, a nie byt sam (*Sein selbst*). Nauka powoduje więc filozoficznie wiedzę o tym, że nie wiemy, czym jest byt sam. Nauka nie może stawiać celu życia. Nie ustanawia ostatecznych wartości i jako taka nie może być przewodnikiem w życiu. Dzięki swej klarowności wskazuje na inne źródła naszego życia. Chciałbym tu od razu powiedzieć, że ta przekonywująca teza Jaspersa nie jest obalona przez fakt, że dla wielu naukowców uprawianie nauki jest treścią i sensem ich życia. Do tego powrócimy za chwilę.

Nauka nie potrafi dać odpowiedzi na pytanie: jaki jest jej prawdziwy sens? To, że istnieje nauka, polega na popędach, które nie są już naukowe... Te granice nauki powodowały zawsze głębokie rozczarowanie nauką u ludzi szukających w niej namiastki religii czy filozofii, ludzi ulegających zabobonowi naukowemu: oczekuje się stale od nauki tego, czego dać nie może. I tak po pewnym czasie ślepej pseudowiary naukowej staje się nauka przedmiotem nienawiści i pogardy.

NAUKA A FILOZOFIA

Możemy teraz pokrótce scharakteryzować, jak wg Jaspersa ma się nauka do filozofii. Filozofia nie jest jakąś nauką obok innych. Obie mają różne źródła, metodę, zmysł prawdy, ale obie są nierozerwalnie związane:

a — Nauka broni się przed pomieszaniem z filozofią, zwraca się przeciw spekulacji jako zaburzeniu przez próżne wysiłki i rozwija „typową wrogość w stosunku do filozofii".

Ale nauka potrafi zobaczyć swe granice. To, że nie chwyta całej prawdy i jej wszystkich wymiarów, zostawia filozofii wolne pole na jej własnym terenie. Nauka patrzy na palce filozofom, czy nie wypowiadają nieuzasadnionych tez i nie przeprowadzają pseudodowodów: jest to błogosławieństwem zarówno dla samej nauki jak i filozofii. Ale nauka potrzebuje „kierownictwa" filozofii: oczywiście nie w tej formie, by stosować filozofię w nauce, lecz każdy człowiek, a więc i naukowiec, jest także filozofem: filozof działa w nim w napędach bezgranicznej woli wiedzy, w ideach, które pozwalają jasno widzieć. Nie pozwala, by nauka stała się faktografią.

b — Filozofia z kolei uznaje w nauce swe założenia. Nie pozwala sobie ignorować poznawalnej rzeczywistości. Kto filozofuje,

prze ku naukom i chce być biegły w naukowych metodach. Filozofia uznaje jako konieczny warunek godność człowieka w zachowaniu naukowego sposobu myślenia.

Jaspers widział UPADEK FILOZOFII NA UNIWERSYTETACH i uważał, że jest on spowodowany przez izolację filozofii i niewłaściwą „karierę" nauczycieli filozofii. Jak wiemy, Jaspers był wybitnym psychiatrą i gdyby nie stan zdrowia przejąłby kierownictwo jednej z najlepszych wówczas na świecie kliniki psychiatrycznej. Uważał, że konwencjonalna droga dojścia do filozofii: po gimnazjum studium filozofii, doktorat z filozofii, habilitacja z filozofii i powołanie na katedrę, nie powinna być normą (raczej wyjątkiem). Powoduje ona, że filozofia usycha. „Filozofia zamiast docierać do kwiatu filozofowania wychodząc z życia, rzeczywistości, z nauk... zajmuje się często minionymi filozofiami i pięknymi książkami o wszelkich możliwych sprawach. Uczy się filozofii, uczy się wirtuozowskich intelektualnych poruszeń, ale nie filozofuje się ze świętą powagą, której chodzi o prawdę, z której i z którą chcielibyśmy żyć".

Problemom studium filozofii poświęcił Jaspers szereg wykładów i książek. Jego wykłady radiowe *Wstęp do filozofii* (1953) oraz *Szkółka filozoficznego myślenia* (1963) ukazały się w formie „kieszonkowej" i stanowią arcydzieła jasności, głębi, przystępności literatury filozoficznej. Nic dziwnego, że były tłumaczone na szereg języków i uzyskały nakłady kilkuset tysięcy egzemplarzy.

Jednym z przeinaczeń nauki jest to, co Jaspers nazywa TOTALNĄ WIEDZĄ. Każdy z nas to zna, czy to z własnego przeżycia czy z rozmowy z ludźmi, którzy poznali okruchy współczesnej socjologii czy psychologii: wydaje im się, że poznali „mechanizm" zwany duszą człowieka, znają wszelkie reakcje, potrafią wytłumaczyć wszelkie zachowanie się znajomych operując kilkoma wytrychami-schematami. Jest to przejawem niebezpiecznego zjawiska, które Jaspers nazwał ironicznie w i e d z ą t o t a l n ą. Sam Jaspers był docentem psychologii, przyjaźnił się z twórcą współczesnej socjologii Maxem Weberem. Był więc jak najdalszy od negowania wspaniałych osiągnięć tych nauk. Scharakteryzujmy postawę „posiadacza totalnej wiedzy" o człowieku: wola władzy zyskuje prymat przed wolą prawdy. Ta „wiedza" wynosi człowieka jakby ponad ludzi. „Tacy ludzie przybierają czasami dziwnie zarozumiałą, pełną pychy postawę, jak gdyby posiedli głęboką, demaskującą, suwerenną wiedzę. Patrzą z góry na „uprzedzenia" ludzi, czują się duchowymi władcami świata, tym śmieszniejsi, gdy są duchowymi karłami... Taki sposób myślenia jest niebezpieczny dla samego człowieka... Gdy ulegniemy wiedzy totalnej,

zostajemy sobie wydarci...". Tak, Jaspers potrafił być bezlitosny, gdy zwalczał coś, co było jego zdaniem deprawujące i zgubne.

KOMUNIKACJA

Jaspers był zawsze świadom, że wszystko, co najlepsze, zawdzięcza bliskim ludziom: rodzicom, przyjaciołom i przede wszystkim Gertrudzie — swej niezwykłej żonie. Ulubioną sentencją Jaspersa było powiedzenie Nietzschego: „Prawda rozpoczyna się we dwójkę". W odróżnieniu od innego wielkiego współczesnego filozofa, Heideggera, człowieka bardzo samotnego, Jaspers uważał za główne źródło współczesnej filozofii KOMUNIKACJĘ i to czyni jego filozofię tak ludzką i bliską. Scharakteryzujmy w kilku zdaniach, jak widzi on rolę komunikacji.

Do niedawna jeszcze ludzie byli powiązani w oczywiste związki i instytucje: rodu, cechu, gminy... Nawet samotny człowiek był niesiony przez wspólnotę. Dziś rozpad wszystkich instytucji odczuwa się może najboleśniej w tym, że coraz więcej ludzi (nawet „najbliższych") nie rozumie się, spotykają się i rozchodzą, obojętni na siebie. Żadna wierność i wspólnota nie jest już nieproblematyczna, oczywista, polegliwa. Ale człowiek świadomie czy nieświadomie cierpi nad tym brakiem komunikacji. Dlaczego? Gdybym mógł dojść do egzystencjalnej prawdy samotnie, w izolacji, gdybym mógł się upewnić co do prawdy w absolutnej samotności, to nieporównywalne zadowolenie, którego doświadczam w prawdziwej komunikacji, nie czyniłoby nas tak filozoficznie zaskoczonymi (*betroffen*). Ale staję się sobą dopiero w drugim, „sam jestem niczym". Komunikacja nie tylko intelektu z intelektem, ducha z duchem, lecz komunikacja egzystencji z egzystencją ma wszelkie nieosobiste treści i znaczenia jedynie jako medium. Pewność prawdziwego istnienia jest jedynie w tej komunikacji, w której „wolność" jest w kochającej walce z drugą wolnością i w tej walce jeden oddaje drugiemu wszelką „broń". Dopiero w komunikacji realizuje się wszelka prawda, w niej dopiero staję się sobą, „nie żyję tylko lecz spełniam życie". „Bóg pokazuje się jedynie pośrednio i nigdy bez miłości człowieka do człowieka". Zmuszająca pewność jest jedynie partykularna i względna...

Dlatego uszczęśliwia nas każda komunikacja i przygnębia każde jej urwanie, niezależnie czy nastąpiło ono z mej winy czy nie: staję się nagle uboższy, mniej sobą, jeszcze jedna szansa została zaprzepaszczona...

Ta centralna myśl Jaspersa wydaje się nam głęboko chrześcijańska: „gdzie dwóch lub trzech zbierze się w imię moje, jestem

pośród nich". A jednak Jaspers nie uważał się za chrześcijańskiego myśliciela i często ostro polemizował z teologią chrześcijańską. Dlaczego?...

ŻYCIE FILOZOFICZNE

Filozofowie nie cieszą się w naszych czasach szczególnym szacunkiem. Naukowcy uważają ich za „znających się na wszystkim", tzn. za ludzi, którzy zabierają głos tam, gdzie nie są kompetentni. Szary człowiek żywi nieufność do filozofa: podświadomie oczekuje od niego, może jeszcze bardziej od teologa, że powinien być mędrcem, tzn. człowiekiem, który nie tylko umie mądrze mówić i pisać, lecz który umie żyć, tzn. u którego nie ma konfliktu między życiem a poglądami, mówiąc bardziej bezlitośnie: który powinien realizować życiem to, czego naucza. Lecz te oczekiwania nie są realizowane przez filozofów, z którymi się stykamy: są to ludzie, którzy w „sytuacjach granicznych" tak samo zawodzą jak i my. Stąd niechęć do nich a nawet często pogarda: tak reaguje zwykle zawiedziona miłość.

Karl Jaspers zdawał sobie sprawę, że nie może filozofować nie starając się realizować swych dojść filozoficznych. Jak sam pisze: „Gertruda czuwała, bym nie uciekał w świat nieobowiązujących spekulacji". Jak świadczy jego życie, choć „nie był bohaterem", choć nie narażał swego życia, to jednak nie unikał niewygodnych sytuacji, był człowiekiem o olbrzymiej odwadze cywilnej: nie wahał się być potępionym przez klan (profesorski) czy wypowiadać w radiu, telewizji, prasie, publikacjach, poglądów wielce nieprzyjemnych dla narodu niemieckiego (z którym się utożsamiał).

Dziś coraz więcej ludzi nie może znaleźć miejsca w Kościołach — ludzi, którzy pragną jedynie prawdziwie żyć i kształtować swe życie. Dlatego właśnie doświadczenie i poglądy na życie filozoficzne tego „ niekościelnego protestanta" mogą być bardzo cenne dla wielu współczesnych.

Konieczne dla nauki są:

CODZIENNE MOMENTY GŁĘBOKIEJ ZADUMY (ROZMYŚLANIA).

To, czego religie dokonują w kulcie i modlitwie, „ma swój filozoficzny analogon w wyraźnym zagłębieniu się, wejściu w siebie ku samemu istnieniu (*Sein selbst*). Musi dziać się to w tych chwilach, w których nie jesteśmy zajęci w świecie dla celów „świata" i w których nie pozostajemy puści, lecz właśnie dotykamy

tego, co istotne, czy to na początku dnia czy na jego końcu. Cóż jest treścią takiego rozmyślania.

1° REFLEKSJA: uprzytamniam sobie, co czyniłem, myślałem, czułem w ciągu dnia. Badam, co było fałszywe, gdzie byłem nieprawdziwy wobec siebie, gdzie uczyniłem unik, gdzie byłem nieuczciwy, nieautentyczny... Osądzam siebie w stosunku do konkretnych uczynków i zachowania się a nie w odniesieniu do całości, którą jestem. Znajduję wytyczne, wedle których chcę się kierować. Ustalam może słowa, które chcę rzec do siebie w chwilach gniewu, rozpaczy, w nudzie i innym zagubieniu siebie, jak gdyby zaklęcie (np. „zachować miarę, myśleć o innych, czekać, Bóg jest"). Uczę się od tradycji, która wiedzie od Pitagorejczyków, poprzez stoików i chrześcijan aż do Kierkegaarda i Nietzschego...

2° TRANSCENDUJĄCE ROZMYŚLANIE. Po nici przewodniej filozoficznych toków myślowych upewniam się co do prawdziwego istnienia: bóstwa. Odczytuję szyfry istnienia przy pomocy poezji i sztuk plastycznych. Staram się je zrozumieć przez filozoficzne ich uprzytomnienie. Staram się upewnić co do... tego, co wieczne w czasie, staram się dotknąć źródła mej wolności a poprzez nią Bytu samego, staram się zagłębić do gruntu jakby współwiedzy ze stworzeniem.

3° ROZMYŚLANIE (ZASTANAWIANIE SIĘ) NAD TYM, CO TERAZ CZYNIĆ NALEŻY. Uprzytomnienie sobie minionego życia we wspólnocie jest tłem, na którym aktualne zadanie staje się jasne aż do drobnych szczegółów tego dnia...

By ta trojaka refleksja stała się płodna, muszę otworzyć się nieograniczonej KOMUNIKACJI, wtedy może uprzytomnić mi się to, czego nigdy nie mogę wymusić: jasność mej miłości, ukryte i ciągle niejednoznaczne żądanie bóstwa... objawianie się bytu. I wtedy może pojawi się spokój w ustawicznym niepokoju naszego życia, UFNOŚĆ w grunt rzeczy pomimo straszliwego nieszczęścia, nieomylność decyzji w falowaniu namiętności, wierność, na której można polegać w zwodnych chwilowościach tego świata.

Gdy doznam w rozmyślaniu „obejmującego", z którego żyję i lepiej mogę żyć, to ta medytacja promieniuje jako podstawowy nastrój, który niesie mnie przez cały dzień w zgiełku różnych aktywności. Bowiem to jest sensem tych chwil, w których jak gdybym powracał do siebie, że zdobywa się tę zasadniczą postawę, która jest obecna za wszystkimi nastrojami i poruszeniami dnia i nie pozwala mi zatonąć przy wykolejeniach, pomieszaniach, afektach. Bowiem dzięki niej jest w tym, co się teraz dzieje, jednocześnie wspomnienie (przeszłość) i przyszłość, coś, co mu nadaje sensowny związek i trwałość.

Owocem takich medytacji zapewne — są takie doświadczenia: „Podstawowym naszym doświadczeniem jest to, że niczego nie istotnego nie możemy wymusić... Jesteśmy sobie podarowani”. I teraz następują zdania, które mógłby napisać mistyk chrześcijański! „Jesteśmy sobie podarowani (tzn. moja prawdziwa istota nie jest mą własnością, otrzymuję ją — lub nie! — w podarku od transcendencji, M. M.), mówimy to symbolicznie, lecz ten symbol zawiera paradoks: Jesteśmy sobie podarowani, ale zależy to od nas, czy będziemy sobie darowani. Nie przychodzi to samo przez się jako coś obcego, innego. Samo tylko czekanie jest bezpłodne. To, co nas spotyka, jest przygotowane przez nas samych. Co się nam przytrafia jako zdarzenie, przypadek, szansa, staje się dopiero realne (i nasze, M. M.) dzięki temu, w jaki sposób to przyswajamy”. Gdy czytamy te zdania, przychodzi na myśl przemądra sentencja buddyjska: „Każda sytuacja jest najlepszą okazją” — zależy od nas, co z niej zrobimy.

Jednak Jaspers nie byłby sobą, gdyby nie pokazał, że to życie filozoficzne ustawicznie może popaść w przeinaczenie siebie, że te filozoficzne sentencje mogą być używane jako świeca dymna i usprawiedliwianie się:

Spokój może stać się biernością
Ufność — złudną wiarą w harmonię wszystkich rzeczy
Umiejętność umierania — ucieczką od świata
Rozum — obojętnością na wszystko.

GRANICE

Każdy wielki człowiek: myśliciel, artysta, lekarz nie jest jednakowo otwarty na innych myślicieli czy pewne strony rzeczywistości. Jaspers — jak na wielkiego filozofa był zadziwiająco otwarty na wielkich filozofów przeszłości — jak o tym świadczy dzieło *Grosse Philosophen* — natomiast wielu współczesnych chyba nie doceniał.

Tutaj chciałbym wymienić jedynie „słabe strony” Jaspersa, które wydają się nam zrozumiałe, gdy znamy jego życie:

1. Obojętny a nawet negatywny stosunek do Kościołów i zinstytucjonalizowanej religii w ogóle. Przy całej swej mądrości Jaspers nie miał zmysłu dla sakramentów i kapłaństwa.

2. Antypatia do psychoanalizy i tzw. „psychologii głębi”, wyraźna niechęć do psychoterapii i medycyny psychosomatycznej. Uznając duże osiągnięcia specjalistyczne Freuda uważał Jaspers psychoanalizę za jeden z przejawów „antyrozumu” (*Widervernunft*) w naszych czasach. Zarówno postawa psychoterapeuty jak jego pacjenta budziła w Jaspersie wyraźny sprzeciw. Niżej pod-

pisanemu wydaje się, że wielki filozof i znakomity psychiatra był często niesprawiedliwy. Ale każdy, kto interesuje się psychoterapią, powinien przeczytać partię *Allgemeine Psychopatologie* poświęcone psychoanalizie: w tej dziedzinie Jespers miał wiele do powiedzenia.

3. Stosunek do chrześcijaństwa. Jaspers był człowiekiem głęboko wierzącym. „Biblijna religia" jest jego zdaniem jednym z dwu filarów, na których spoczywa filozofia europejska. Uprawiał zawsze teologię — najpierw nieświadomie, a w drugiej połowie życia świadomie, po uwadze jednego ze słuchaczy, który dziękując mu za wykłady z filozofii (słuchacz ten był księdzem) rzekł: „u nas te problemy traktuje się na dogmatyce". Wynik tych medytacji znalazł swój wyraz w ostatnim dużym dziele Jaspersa *Der philosophische Glaube angesichts der Offenbarung. (Wiara filozoficzna w obliczu Objawienia)*. Zarówno to dzieło jak i wiele wypowiedzi filozofa świadczą o nieprzezwyciężalnych dla niego trudnościach przyjęcia objawienia Chrystusowego. Mimo olbrzymiego szacunku dla Jezusa z Nazaretu (świadczy o tym piękny rozdział o Jezusie w *Wielkich filozofach*), Jaspers uważał, że „wiara" chrześcijańska wymaga *sacrificium intellectus* niemożliwego do pogodzenia z „wiarą filozoficzną". Mimo lektury i dyskusji z wielkim teologiem protestanckim R. Bultmannem, Jaspers nie mógł pokonać swych oporów. W dyskusji z Bultmannem jest napastliwy i smutno rzec: nie szuka komunikacji. Współczesna odnowa teologii nie obeszła wielkiego filozofa. Czyżby niewesołe doświadczenia dzieciństwa i młodości z przedstawicielami instytucjonalnego chrześcijaństwa zamknęły mu dostęp...?

Wielkość myśliciela jest okupiona zwykle niezdolnością wczucia się, zrozumienia współczesnych filozofów. Nam ludziom przeciętnym, wydaje się np. dziwne, że Martin Buber atakował filozofię Jaspersa, która przecież ma tyle wspólnego z jego własną (jak wspomina najbliższy uczeń Bubera, poglądy mistrza na temat „życia po śmierci" pokrywały się z koncepcjami Jaspersa!), że Jaspers atakował „egzystencjalną interpretację" Bultmanna, która przecież jest tak bliska jego własnej [2]. Takich przykładów można by podawać krocie. Ale może naszym zadaniem jest pojednać wielkich współczesnych: podziwiając ich, czerpiąc siły i odbierając impulsy z ich wielkich dzieł, nie wygrywając jednego przeciw drugiemu, ale też nie popadając w szarzyznę synkretyzmu, który jest przecież cechą obojętności?

---

2 Por. moje artykuły o Buberze i Bultmannie w „Znaku" 153 (3, 1967) i 167 (5, 1968).

OD NAS ZALEŻY

W ostatnich trzech latach pożegnaliśmy tylu wybitnych filozofów i teologów (Albert Schweitzer, Martin Buber, Emil Brunner, Friedrich Gogarten, Romano Guardini, Paul Tillich, Karl Barth a teraz Karl Jaspers), że może ogarnąć nas smutek i zwątpienie: cóż stanie się z filozofią i teologią, cóż stanie się z nami, gdy nie stanie tych dwóch czy trzech, którzy nam jeszcze zostali? Cieszmy się jednak tym bogactwem, które nam zostawili ci wielcy, starajmy się przyswoić ich mądrość i nasycać ją konkretnym życiem. Właśnie dzieło Karla Jaspersa nie pozwala nam mieć konsumpcyjnego, estetyzującego stosunku do filozofii. Swą mowę na 500-lecie uniwersytetu w Bazylei (1960 r.), noszącą tytuł *Prawda i nauka*, zakończył wielki filozof tymi słowy: „Wydaje się, jak gdybyśmy dziś dotarli do furty losu. Jeszcze stoi ona otworem... Albo zostanie ostatecznie zatrzaśnięta przez zagładę, zgubę ludzkości, lub przejdziemy przez nią w ten sposób, że wejdziemy na drogę do wolności poprzez prawdę w ciągłej wewnętrznej przemianie (*metanoia*) poszczególnych ludzi. Zwątpienie w tę możliwość może przytłoczyć. Naszemu intelektowi wydaje się, że ta furta zaczyna się już zamykać... Jednak jak długo jeszcze nie jest za późno, wolno nam żywić nadzieję dzięki naszemu działaniu, niepozornemu a jednak niezastąpionemu działaniu każdego poszczególnego człowieka. Bowiem zależy to od nas.

Ale nie tylko od nas. Gdy myślimy i żyjemy, planujemy i działamy z rozumnej wiary (*Vernunftglauben*), wtedy, ale tylko wtedy, może naszej metanoi przyjść z pomocą transcendencja; choć nie wiemy, w jaki sposób, choć nie możemy na to liczyć ani nawet sobie tego wyobrazić — chyba tylko we wzniosłych symbolach, szyfrach".

Michał Mazur

Z WSPÓŁCZESNEJ POEZJI NIEMIECKIEJ

JOHANNES BOBROWSKI

MICKIEWICZ

Przed lasem dębowym
jestem, zamek milczący
i świecę stawiała matka
pod obraz w bramie wileńskiej.
Na rzece leciały żagle,
w dymie
ciągnął jastrząb przez błękit,
i wieczór czerwony nastąpił po nim.

I była pora dla miast
i ulic, urwistych skał
po Krym, i kurz wyrastał
w drodze nad morze. Wóz
przebył step Akermanu —

Do szczęścia przyrastam
mówiąc: jest całkiem łatwe
jak myśl mój głos unosi
gdy deszcze spijam z głową opartą
na murze Paryża
i chłonę niebo jak usta.
Widzę, jak unosi powietrze,
jastrzębia nad lasem dębowym,
rzeka zachodzi łukiem
w równiny daleko
pod pułap jaskółek
daleko, wysączyć ze świtu
rozpiętego nad siołami
i lasem: dzień
błyszczący od gniewu i oręża —

Przyjdę
śpiewkami zmęczony,
gadaniną, nad uchem
z lotem tylko jednej etiudy.
Stanę na zboczach, będę nasłuchiwał
wołania i szukał głosu
drżącymi ustami, aby powiedzieć:
jest całkiem łatwe.

MOWA

Drzewo większe niż noc
z oddechem jezior
z szeptem ponad
ciszą
Kamienie
pod stopą
żyły błyszczące długo
w prochu
na zawsze
Mowa
zaszczuta w gonitwie
zmęczonych ust
w drodze bez końca
do domu sąsiada

GDY OPUŚCIMY

Gdy opuścimy miejsca, gdzie
padają odpowiedzi, gdy
załamią się ściany i wąwozy,
a z drzew uciekną cienie, gdy
trawa pod stopami zaniechana
i podeszwy z kości wkroczą w wiatr —
Płonący krzak cierniowy, słyszę
jego głos, gdzie
nie było pytania. —
wody płyną,
a nie mam pragnienia.

PEWNEGO CAŁKIEM NIEPEWNEGO DNIA

1
Pewnego dnia, który dłużej trwa
niż jeden dzień.
W roku kilkakrotnie krótszym
niż jakikolwiek z minionych.
Wtedy o rannej porze

2
Zanim
zbudzą się koguty urzędowe
zwiastujące atmosferę, jeszcze przed ich
pierwszym, drugim, trzecim pianiem.
Gdy
służalcy jeszcze nie wiedzą komu
a zwolennicy kogo
gdy uczestnicy jeszcze nie przeczuwają
czego właściwie
czego.

3
Zanim to przeklęte niebo spadnie:
w szesnaście milionów odłamków
na każdy milimetr kwadratowy.

4
Zanim bebechy zwyciężą ludzi
lub ludzie bebechy
ze wszystkich stron obalać
jedynie zbawienną:
sprzeczność.

5
Przedtem jeszcze
włożę to miasto moje
za jednym zamachem
na głowę.

6
Moje dwie kołyski wezmę obie trumny
bagaż
w którym świat zbyt długo już się wlecze
od dawien dawna zmęczony

Wezmę do obu garści jak dwie walizki
i pójdę precz.

7

Pewnego razu
gdy wszystko nie będzie już dla mnie
dostatecznie barwne
gdy napadnie mnie litość
jak policja: chamska i bezlitosna.

W takim dniu
odejdę więc
z tym i owym.

WYPRAWA URZĘDNIKÓW

Wyruszyli nad rzekę
nieznaną, potężną i niewymierną
jak głosiły precyzyjne plotki

Dotarli
do cienkiej strużki
błyszczącej jak krew
powędrowali więc do jej źródeł
i przystanęli na końcu drogi

przed własnymi górami akt
z których spływała bezszelestnie
owa ciemna czerwień

tłum. Z. Wawrzyniak

JOHANNES BOBROWSKI (1917—1965) urodzony w Tylży studiował historię sztuki w Królewcu. W r. 1939 wcielono go do armii. Po wojnie został lektorem wydawnictwa Union-Verlag w Berlinie. Autor opowiadań i powieści (m. in. ukazał się w Polsce *Młyn Lewina*) oraz trzech tomów wierszy: *Sarmacki czas* (*Sarmatische Zeit*, 1961); *Kraj cieniów, rzeki* (*Schattenland, Ströme, 1962*) i *Znaki pogody* (*Wetterzeichen*, 1966).

GÜNTER KUNERT urodzony w 1929 r. w Berlinie, mieszka w Berlinie wschodnim, publikuje w obu państwach niemieckich. Po wojnie studiował w Wyższej Szkole Sztuk Stosowanych w Berlinie-Weißensee (rysuje i maluje). Jako młody pisarz ceniony był przez Brechta. Wydał m. in. następujące tomy wierszy: Przypomnienie pewnej planety (*Erinnerung an einen Planeten*, 1963), Nieproszony gość (*Der ungebetene Gast*, 1965). Zapowiedź pogody (*Verkündigung des Wetters*, 1966), tom prozy poetyckiej: Sny za dnia (*Tagträume* 1964) oraz powieść: W imieniu kapeluszy (*Im Namen der Hüte*, 1967).

ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE

MOWA TO WIĘCEJ NIŻ KREW

Te słowa posłużyły za motto niezwykłej i wstrząsającej książki niemieckiego językoznawcy Victora Klemperera. Nosi ona tajemniczy tytuł *LTI*. LTI to skrót łacińskiego określenia „lingua Tertii Imperii". Chodzi oczywiście o język Trzeciej Rzeszy.

Klemperer traktuje uprawianie swej specjalności naukowej jako powołanie życiowe, jest filologiem nie tylko z wykształcenia, lecz i z przekonania, filologiem to znaczy miłośnikiem słów, ale i miłośnikiem rozumu. Jako romanista zajmował się głównie okresem francuskiego Oświecenia i sam w pewnym sensie stał się właśnie człowiekiem Oświecenia, racjonalistą, może nieco sceptycznym, ale nie pozbawionym entuzjazmu dla dzieł kultury i wspaniałości człowieka. W spokojną egzystencję profesorską (był wykładowcą w Dreznie) wdzierają się wypadki polityczne lat trzydziestych. Efektem zderzenia między postawą i nawykami uczonego a realiami, z którymi przyszło mu się porać, jest przedstawiana tu książka. Stanowi ona zbiór krótkich, kilkustronicowych esejów i notatek. Analizy tworów językowych hitleryzmu i jego praktyk przeplatają się ze wspomnieniami o ludziach i wydarzeniach, widzianych ze specyficznej perspektywy autora. Dominującym nurtem jest refleksja nad kulturą i mentalnością niemiecką. Wiele takich rozmyślań powstało w warunkach emigracji, zewnętrznej i wewnętrznej, za mniej lub bardziej bezpiecznym biurkiem. Los profesora Klemperera był nieporównanie bardziej tragiczny, ryzyko związane z kontynuowaniem krytycznego myślenia — i myślenia w ogóle — w jego wypadku znaczniejsze, właściwie ostateczne. Począwszy od 1933 roku jako Żyd tracił stopniowo prawa obywatelskie i ludzkie. Jako żyjący w małżeństwie mieszanym nie został jednak wywieziony i zlikwidowany. Rozwiązanie kwestii tego typu — nielicznych zresztą — rodzin partia hitlerowska odkładała na później. Klemperer szczegółowo opisuje warunki, w jakich prowadził swoje dzieło filologa-kronikarza: trudności ze zdobywaniem lektury (Żydom nie wolno było mieć ani pożyczać nieżydowskich książek i pism), ciemne godziny przedświtu, które przeznaczał na pisanie przed wyjściem do pracy, do fabryki, gdzie go czekał dziesięciogodzinny

dzień roboczy, ustawiczne zagrożenie, chowanie papierów wśród starych gazet na podpałkę, rewizje, przesłuchania. A także pomoc nielicznych przyjaciół — nielicznych, bo, jak mówi cytowany przez Klemperera stary wiersz francuski, „wiatr unosi przyjaciół a pod mymi wrotami wichura". Nakaz deportacji reszty mieszkańców drezdeńskich Judenhausów wydano dopiero 13 lutego 1945. Wieczorem tego dnia Drezno przeszło bombardowanie, które niemal zmiotło je z powierzchni ziemi. Ci z Żydów, którzy ocaleli pod gruzami, mogli skorzystać z szansy, jaką stanowił chaos i wmieszać się w tłum bezdomnych i pozbawionych dokumentów ofiar katastrofy. Klempererowie wynieśli z pożaru notatki, z których powstała książka o mowie Trzeciej Rzeszy. Do końca wojny ukrywali się na wsi. Po wyzwoleniu Bawarii przez armię amerykańską Klemperer, powrócił do Drezna na swą katedrę i już do końca życia mieszkał i działał w NRD. Pierwszą pracą, jaką podjął, było zredagowanie tej właśnie książki. Zyskała ona szeroki międzynarodowy rozgłos i miała wiele wydań w Niemieckiej Republice Demokratycznej (niniejszy wybór fragmentów opiera się na ostatnim wydaniu masowym z 1968 roku, które zresztą jest już wyczerpane). Autor zmarł w 1960 roku jako osiemdziesięcioletni starzec.

Dzieło Klemperera ma wielkie znaczenie przede wszystkim jako dokument współodpowiedzialności szerokich kręgów społeczeństwa niemieckiego za dokonywane przez hitlerowców zbrodnie. Ukazuje zwłaszcza początkową bierność wobec zgubnych i przestępczych kroków podejmowanych rzekomo w imieniu całego narodu niemieckiego. Potem horyzont autora zacieśnia się, jest przecież odcięty od życia publicznego, wie tylko, jak żyje się i co dzieje się w małym świecie, który go otacza, w fabryce, w mieszkaniowym kołchozie, jakim był dom przeznaczony dla Żydów. Jedyną okazją do większych spotkań są pogrzeby. Starając się poprzez to wszystko widzieć i rozumieć sytuację ogólną, Klemperer na ogół unika uproszczeń. Nie idealizuje na przykład wszystkich ofiar systemu. Także pod adresem Żydów padają w jego książce gorzkie słowa. Już wtedy ten humanista głęboko lęka się zarażenia nienawiścią, wie, że może ono w przyszłości przynieść tragiczne owoce. Najbardziej przerażającym aspektem hitleryzmu jest właśnie ten posiew nienawiści i fanatyzmu, który może przetrwać dłużej niż rządy brunatnej partii i wzejść tam, gdzie się go nikt nie spodziewa i nie ma prawa spodziewać, wśród samych skrzywdzonych, nie widzących niestety innej drogi afirmacji swej godności jak nienawiść.

Sympatie polityczne jeszcze z czasów młodości zbliżyły Klemperera do KPD. W najcięższych chwilach umiał cieszyć się faktem, że koledzy robotnicy przyjmują go za swego, mimo inteligenckiej nieporadności i mimo przynależności rasowej, którą w oczach ogółu tak zohydzono.

Dla uświadomionych politycznie komunistów slogany antyżydowskie były bez znaczenia. Drugi pozytywny element przeżyć wojennych, o którym Klemperer wspomina, to wrażenia ze wsi łużyckiej — tam po raz pierwszy, już pod sam koniec wojny autor zetknął się ze środowiskiem, gdzie panowała ogólna i bardzo rzeczowa solidarność skierowana przeciw hitlerowcom i ich władzy. Niezwykle trudno referować tę książkę i niełatwo też było wybrać fragmenty które mają ją zaprezentować. Trudności wiążą się z faktem, że jej wartość poznawcza leży nie tyle w tezach i jakichś ogólniejszych refleksjach, co w sile, z jaką ewokuje klimat okresu zwanego u nas czasami pogardy. Z tysięcy drobnych obserwacji i notatek wyłania się obraz zatrutego złą mową społeczeństwa. Wplecione w rozważania fragmenty dziennika stanowią niezbędne i niezastąpione tło.

POCZĄTKI

21 marca 1933. Dziś dokonał się w Poczdamie „akt państwowy". Jak teraz będę mógł pracować?... Właściwie już wiem, co mnie czeka. W Lipsku powołano już komisję, która ma przeprowadzić „nacjonalizację" Uniwersytetu. Na tablicy ogłoszeń naszej uczelni wisi hasło (a znajdzie się ono niedługo we wszystkich niemieckich szkołach): „Kiedy Żyd pisze po niemiecku, to kłamie"... W kwietniu miał się odbyć u nas w Dreźnie kongres psychologów. We „Freiheitskampf" płomienny artykuł: „Na co zeszła nauka Wilhelma Wundta?... Co za zażydzenie... Oczyścić!" Kongres został odwołany — „aby uniknąć przykrości grożących niektórym uczestnikom".

27 marca. Pojawiają się nowe słowa, dawne określenia nabierają nowych specjalnych znaczeń, powstają nowe zwroty, które szybko zamieniają się w stereotypy. W uroczystej mowie SA nazywa się już „brązową armią" — a uroczysty styl obowiązuje bez przerwy... Żydzi zagraniczni, zwłaszcza francuscy, angielscy i amerykańscy zwani są za każdym razem „zagranicznym żydostwem" („międzynarodowe żydostwo" natomiast zniknęło ze słownika).

10 kwietnia. Jest się „gatunkowo obcym" przy 25 procentach krwi niearyjskiej. „W wypadkach wątpliwych rozstrzyga Komisja Ekspertów dla Badań Rasowych". *Limpieza de la sangre*, jak w Hiszpanii XVII wieku. Ale wtedy szło o wiarę, dziś to zoologia plus interes...

25 sierpnia. Na co się zdadzą przejawy zmęczenia (hitleryzmem)? Wszyscy się boją. Moje studium *Francja w oczach Niemców* miało się z początku ukazać w „Neuphilologische Monatsschrift", piśmie redago-

wanym przez Rektora, tzn. prof. Hübnera, rozsądnego i do głębi zacnego uczonego. Przed kilku tygodniami napisał do mnie, czy nie zechciałbym zaczekać z publikacją tej pracy. W wydawnictwie istnieją „komórki zakładowe" (wspaniałe określenie: łączy to, co mechaniczne, z elementem organicznym, ach, ten nowy język!) — chciałoby się utrzymać dobre fachowe czasopismo, ale przywódcy polityczni nie mają zrozumienia dla ściśle fachowych wartości... Zwróciłem się więc do wydawnictwa Diesterweg, dla którego moje czysto źródłowe i rzeczowe studium powinno być jak znalazł. Brutalna odmowa, a jako powód podano, iż moje studium jest „wsteczne" i „nie bierze pod uwagę narodowego punktu widzenia".

29 października. ... *Konzentrationslager*. Słyszałem to słowo jako chłopiec. Miało wtedy dla mnie wydźwięk egzotyczno-kolonialny i zgoła nie niemiecki. W czasie wojny burskiej wiele mówiono o Compounds czyli obozach koncentracyjnych, w których Anglicy trzymali uwięzionych Burów. Potem całkowicie przestano używać tego słowa. Teraz wychynęło ono na nowo, oznaczając tym razem niemiecką instytucję, stworzoną w czasie pokoju na terenie europejskim, skierowaną przeciw Niemcom, powołaną na stałe, a nie jako tymczasowe narzędzie walki z wrogiem. Myślę, że w przyszłości, gdziekolwiek zabrzmi to słowo, będzie się myśleć o Niemczech hitlerowskich i tylko o nich.

Czy to brak serca, ciasne szkolarstwo sprawia, że wciąż zajmuję się właśnie filologią naszej nędzy i upadku? Szczerze zbadawszy swe sumienie odpowiadam — Nie. To jest moja samoobrona.

LTI

Było wtedy w użyciu BDM i HJ i DAF i niezliczona masa podobnych skrótowych określeń.

Najpierw jako zabawna parodia, później jako wsparcie dla pamięci — jak węzełek na chustce — a wkrótce, i przez wszystkie dalsze nieszczęsne lata, jako narzędzie niezbędnej obrony, jako wezwanie SOS skierowane do siebie samego, symbol LTI wciąż powraca na kartkach mego dziennika.

To signum tchnie uczonością — Trzecia Rzesza od czasu do czasu lubiła dźwięczne cudzoziemskie określenia — „Żyrant" brzmi bardziej znacząco niż „poręczyciel", a „dyfamacja" robi większe wrażenie niż „oszczerstwo".

LTI, lingua Tertii Imperii, język Trzeciej Rzeszy...

Często przypomina mi się stara berlińska anegdota, chyba z mego pięknie ilustrowanego Glassbrennera, humorysty rewolucji marcowej (Ale gdzie jest moja biblioteka, w której mógłbym to sprawdzić? Czy

jest sens pytać o to panów z Gestapo?): „Tatku, pytał chłopczyk w cyrku, co robi ten człowiek z drążkiem na linie? — Głupiś, synku, to jest drążek do akrobacji, on się go mocno trzyma. — Oj tatku, a co będzie, jak on ten drążek upuści? Ty głuptasie, on się go przecież mocno trzyma!..." Dziennik był dla mnie w tamtych latach taką właśnie akrobatyczną sztangą, bez której sto razy byłbym już uległ definitywnej kraksie.

W godzinach upadku ducha, gdy ogarniał mnie bez reszty wstręt i poczucie beznadziejności, wśród niekończącej się monotonii mechanicznej pracy w fabryce, przy łożach choroby i śmierci, nad grobami, w chwilach, gdy dotykały mnie najcięższe zniewagi, w ostatecznej opresji, gdy serce fizycznie odmawiało dalszego wysiłku, powtarzałem sobie nakaz: — obserwuj, studiuj, wpatruj się w to, co się dzieje, jutro już będzie to inaczej wyglądać, będziesz to inaczej odbierać. Trzymaj się, trzymaj się, jak długo się da. Ten nakaz wyjścia ponad sytuację, zachowania wolności wewnętrznej zawierał się dla mnie w mojej zawsze skutecznej, sekretnej formule: LTI, LTI!

Całość mego dziennika z tamtych czasów mogłaby nosić ten tytuł. Można pojmować go metaforycznie. Tak jak można mówić o obliczu pewnych czasów czy krajów, tak też wszystko, co jest wyrazem danej epoki, można nazwać jej mową... Trzecia Rzesza przemawia w sposób przerażająco jednolity przez wszystkie formy życia, które stworzyła, i całą swą spuściznę: przez niepohamowane chełpienie się przepychem budowli i przez ich gruzy, przez typ żołnierza i typ członka SA i SS, którego idealny kształt nieodmiennie prezentowały wciąż jednakowe plakaty, przez swe autostrady i groby masowe. To wszystko jest mową Trzeciej Rzeszy i o tym rzecz będzie na kartach tej książki. Ale kiedy przez dziesiątki lat uprawiało się pewien zawód i to z satysfakcją, jest się przezeń ukształtowanym do szpiku kości i dlatego mowa Trzeciej Rzeszy w ustalonym filologicznym, literalnym sensie była moim najściślejszym przedmiotem zainteresowania. To ta sprawa była moją akrobatyczną sztangą podczas dziesięciogodzinnego dnia pracy w fabryce, wobec okropności rewizji domowych, poniewierki, aresztowań...



Często cytuje się powiedzenie Talleyranda, że mowa jest po to, by ukrywać myśli dyplomatów (czy innych szczwanych i interesujących ludzi). Lecz na ogół rzecz ma się odwrotnie. Język wynosi na światło dnia to, co chciałoby się ukryć przed innymi, czy przed sobą, język ujawnia wszystko, co nieświadomie nosimy w sobie. To jest właśnie

sens innego znanego zdania. *Le style c'est l'homme*; czyjeś wypowiedzi mogą być zakłamane, lecz w stylu odsłania się jego prawdziwa istota i postawa.

Wiele się dzisiaj mówi o wykorzenianiu faszystowskiego sposobu myślenia i wiele się w tym kierunku robi. Sądzimy przestępców wojennych, członkowie i drobni funkcjonariusze partyjni — „kleine Pgs" (mowa czwartej Rzeszy!) tracą urzędy; nacjonalistyczne książki wycofuje się z obiegu; przemianowuje się Hitlerplatze i Göringstrassen. Ścina się hitlerowskie dęby. Ale mowa Trzeciej Rzeszy w wielu swych charakterystycznych formach wydaje się mieć szansę przeżycia. Tak wżarły się one w język, że chyba na stałe będą do niego należeć. Czy to pedanteria, że się temu sprzeciwiam, czy odzywa się we mnie belfer, którego kawał kryje się w każdym filologu? Odpowiem na to innym pytaniem.

Co było najpotężniejszym środkiem propagandowym hitlerowskiego szaleństwa? Czy były to poszczególne mowy Hitlera i Goebbelsa, ich wypowiedzi z tej czy innej okazji, przeciw temu czy innemu przeciwnikowi, ich napaści na Żydów i bolszewizm? Bez wątpienia nie. Wiele z tego było dla nas niezrozumiałe lub śmiertelnie nudne z powodu wiecznego powtarzania tego samego. Ileż razy w restauracjach — kiedy nie nosząc gwiazdy mogłem jeszcze do nich wchodzić — a potem w fabryce, gdzie podczas alarmów lotniczych aryjczycy mieli dla siebie jedno pomieszczenie, a Żydzi drugie, i w schronie aryjskim było radio (i ogrzewanie i jedzenie) — ileż razy słyszałem odgłosy gry w karty i donośne rozmowy o przydziałach mięsa i tytoniu i najnowszych filmach, podczas gdy Führer czy jeden z jego palatynów wygłaszał przemówienie... A na drugi dzień w gazetach nazywało się to, że cały lud słuchał go z zachwytem.

Nie, najsilniej oddziaływały nie same przemówienia czy artykuły i ulotki, plakaty i sztandary. Narodowy socjalizm nie docierał do ludzi poprzez argumenty czy hasła, odwołując się do świadomego myślenia i odczuwania. Niepostrzeżenie wżerał się natomiast w ciało i krew mnóstwa ludzi za pośrednictwem poszczególnych słów, zwrotów, form językowych wpajanych poprzez miliony powtórzeń, przejętych mechanicznie, całkiem nieświadomie. Można interpretować schillerowski dystych o „mowie uczonej, która ci baje i myśli za ciebie" na sposób czysto estetyczny i „nieszkodliwy": udany wiersz w „uczonej mowie" nie świadczy jeszcze o talencie poetyckim twórcy, bo posługując się wyszukanym językiem nie trudno nadać sobie pozory poety i myśliciela. Ale mowa nie tylko myśli za mnie i cudeńka mi wmawia, lecz także bezpośrednio niejako kształtuje moje uczucia, nadaje kierunek całej mojej duchowej istocie — tym oczywiściej, im bardziej podświadomie się na nią zdaję. A jeśli uczona mowa składa się z trujących

elementów, jeśli uczyniono ją nosicielką trucizny? Słowa mogą być jak małe dawki arszeniku: wchłaniamy je niepostrzeżenie, zdają się wcale nie działać, ale po pewnym czasie jednak widoczne jest zatrucie. Kto dość długo zamiast określeń „bohaterski" i „szlachetny" używa słowa „fanatyczny", ten w końcu uwierzy naprawdę, że fanatyk to szlachetny bohater i że bez fanatyzmu nie ma bohaterstwa...

Język narodowego socjalizmu wiele zaczerpnął z zagranicznych źródeł, a większość jego terminów występowała już w Niemczech przedhitlerowskich. Ale wartość i zastosowanie tych słów zostały zmienione, w powszechne użycie weszło to, co przedtem stanowiło własność jednostek czy znikomych grup. Z drugiej strony Partia hitlerowska przywłaszcza sobie to, co kiedyś należało do ogółu, nasyca słowa, wyrażenia i formy zdań swą trucizną, wprzęga je w służbę przerażającego systemu — czyniąc z nich najbardziej widoczne i zarazem najskrytsze narzędzie werbunku.

GWIAZDA

Wciąż, po sto razy pytam siebie i innych, który z dni był dla Żydów najcięższy na przestrzeni tych dwunastu lat piekła?

Nigdy nie otrzymałem innej odpowiedzi jak: 19 września 1941. Od tego dnia musieliśmy nosić żydowską gwiazdę, sześcioramienną gwiazdę Dawida na żółtym gałganku, w kolorze, który dziś jeszcze oznacza zarazę i kwarantannę, a w średniowieczu także był znakiem, który miał Żydów wyróżniać: żółty kolor, barwa zazdrości, żółci zatruwającej krew, zła, od którego trzeba stronić. Żółty gałgan z czarnym napisem „Jude". Słowo to obramowane jest liniami dwu przecinających się trójkątów; litery są duże, każda z nich wyrysowana osobno, linie poziome pogrubione, co sprawia, że przypominają znaki hebrajskie...

Przydługi opis? Ach, nie, przeciwnie... Nie potrafię, niestety, przekazać wszystkich szczegółów, które wryły mi się w pamięć. Ileż razy przyszywając nową gwiazdę do nowego (a raczej starego, przydzielonego mi przez wydział odzieży dla Żydów) ubrania, do kurtki czy roboczego kitla, jak często brałem tę szmatkę pod lupę, wpatrując się w poszczególne włókienka żółtej tkaniny, w nierówności czarnego nadruku... Nie starczyłoby miejsca, gdybym spróbował do każdej poszczególnej nitki przywiązać po jednym z udręczeń, jakie wiązały się z tą gwiazdą.

Poczciwie i zacnie wyglądający mężczyzna idzie mi naprzeciw prowadząc za rękę małego chłopczyka. Zatrzymują się przede mną: „Horst!, popatrz na tego tam — mówił troskliwy tatuś — to on jest wszystkiemu winien..." Siwowłosy wypielęgnowany mężczyzna podchodzi do mnie na ulicy, kłania się i wyciąga do mnie rękę: Pan mnie

nie zna, chcę tylko powiedzieć, że potępiam te metody". ...Chcę wsiąść do tramwaju, mam prawo wejść tylko na platformę przednią i to tylko wtedy, gdy jadę do fabryki i gdy fabryka leży dalej niż 6 kilometrów od mego mieszkania, i gdy platforma oddzielona jest od wnętrza wagonu. Chcę wsiąść, bo jest późno, a gdy nie przyjadę na czas do pracy, majster może mnie zameldować na Gestapo. Ktoś ciągnie mnie z tyłu z powrotem, to roześmiany oficer SS, wcale nie postępuje brutalnie, on sobie tylko żartuje, tak jak się droczy z psem — „Żydzie, idźże piechotą, to ci wyjdzie na zdrowie".

...jest piękna pogoda. Żona mówi: „wyjątkowo nie muszę dziś nic kupować i stać w kolejce, mam czas, odprowadzę cię kawałek" — „W żadnym wypadku. Czy mam patrzeć, jak ze względu na mnie i ty jesteś na ulicy poddana upokorzeniom? A ponadto kto wie, może cię ktoś zauważyć ze mną, ktoś, kto nas dotąd nie zna, możesz mu wpaść w oko, a potem przenosząc moje manuskrypty będziesz jeszcze bardziej narażona..."

...Spotykam na Freibergerstrasse znajomego tragarza, który nam już dopomógł w dwóch przeprowadzkach — dobrzy to są ludzie i sympatyzują z KPD — bierze moją rękę w swoje potężne łapska i stara się pocieszyć — „Głowa do góry, panie profesorze, tym razem przechytrzyli, przeklętnicy". To powinna być pociecha, i rzeczywiście rozgrzewa serce, ale jeśli ktoś niepowołany usłyszy, mój pocieszyciel zapłaci za te słowa więzieniem, a ja życiem, prostą drogą przez Oświęcim.

...Samochód hamuje koło mnie na pustej ulicy, wychyla się nieznana głowa: „żyjesz jeszcze, du verdammtes Schwein? należałoby cię rozjechać na marmoladę".

Nie, żadne pióro nie wystarczy, by opisać gorycz pierwszych dni z żydowską gwiazdą.

Odkąd wprowadzono gwiazdę, nie miało już znaczenia, czy Judenhausy są rozproszone po całym mieście, czy skupione w jedną osobną dzielnicę. Każdy Żyd obowiązany do noszenia gwiazdy dźwigał getto ze sobą, jak ślimak swą skorupę. Było też wszystko jedno, czy w danym domu mieszkali sami Żydzi czy jeszcze i aryjczycy. Ponad nazwiskiem na drzwiach także musiała widnieć gwiazda. Gdy żona była aryjką, musiała wypisać nazwisko osobno z zaznaczeniem „arisch".

Tu i tam coraz częściej widniały na drzwiach — inne jeszcze informacje, pieczęcie jak z głową meduzy. „Tu mieszkał Żyd Weil". Dzięki temu napisowi listonoszka wiedziała już, że nie trzeba szukać nowego adresu Weila — nadawca otrzymywał swój list z powrotem z eufemistyczną adnotacją: „Adresat przeniósł się". W słowniku LTI słowo „przenieść się" nabrało dla Żydów szczególnego i ponurego znaczenia.

HEROIZM

Na kursach wieczorowych drezdeńskiego Uniwersytetu Ludowego i przy okazji spotkań organizowanych przez Związek Kulturalny i FDJ raz po raz mam dziś sposobność zaobserwować, jak młodzi ludzie, którzy słusznie i z wielkim zapałem starają się wypełnić luki w swym wykształceniu i naprawić jego błędy mimo wszystko nieświadomie wciąż jeszcze idą wpojonymi im dawniej drogami. Nie wiedzą nawet o tym: ale język minionej epoki po dziś dzień wprowadza ich w błąd i wiedzie na bezdroża. Mówiliśmy o sensie kultury, o humanizmie i demokracji — miałem wrażenie, że jakby stawało się jaśniej, że coś świtało w głowach tych młodych ludzi pełnych dobrej woli — i właśnie w tym momencie, kiedy wydawało się, że już jesteśmy tak blisko, ktoś powiedział coś o bohaterskiej postawie czy o heroicznym oporze, czy o heroizmie w ogóle. Z chwilą, gdy weszło w grę to pojęcie, cała jasność znikła i znów pogrążyliśmy się w ciemnym świecie Narodowego Socjalizmu. I chodziło tu nie tylko o chłopców, którzy tylko co wrócili z frontu i z niewoli i przykro odczuwali fakt, że nie poświęca się im dość uwagi, nie mówiąc już o uczczeniu ich czynów... Także dziewczęta, które nigdy nie służyły w wojsku, nie były wolne od bardzo wątpliwych zapatrywań na kwestię bohaterstwa. A nie można przecież wyrobić w sobie należytego stosunku do humanizmu, kultury i demokracji, jeśli się takie niewłaściwe zapatrywania posiada, choćby w sposób na wpół świadomy.

Ale jakie zapatrywania mogły się rozwinąć wśród ludzi, którzy w 1933 roku zaczynali się uczyć alfabetu — poznali oni przecież słowo „heroiczny" wyłącznie w jego „plemiennym" ujęciu. Bohater zawsze musiał być w mundurze: występował w trzech różnych mundurach, ale nigdy w cywilu.

Tam, gdzie *Mein Kampf* było źródłem wytycznych dla wychowania, to, co fizyczne, cielesne, musiało znajdować się na pierwszym planie. Hitler lubił wyrażenie „hart cielesny", zaczerpnięte z słownika weimarskich konserwatystów, wychwalał armię Wilhelmińską jako jedyny zdrowy i życiodajny nurt w dawnym zepsutym społeczeństwie, a w służbie wojskowej widział głównie lub wyłącznie wychowanie do fizycznej sprawności. Formowanie charakteru wyraźnie stoi na drugim planie, jego zdaniem dokonuje się ono mniej lub więcej samorzutnie, kiedy to, co cielesne, zajmuje należne pierwsze miejsce, a to, co duchowe, jest odsunięte w cień. Na ostatnim miejscu, dopuszczone z niechęcią i zelżone, znajduje się w tym pedagogicznym programie kształcenie intelektu i dostarczanie mu wiedzy. W najrozmaitszych postaciach i okolicznościach przejawia się lęk przed człowiekiem myślącym i nienawiść do myślenia.

Kiedy przed objęciem władzy Hitler relacjonował efekty organizowanych wówczas wielkich zebrań, wychwalał on przede wszystkim swój własny dar słowa, podsycający waleczność ludzi, z których grona rozwinęła się SA. „Brązowe oddziały szturmowe", których zadanie jest czysto manualne — mają mianowicie rzucić się na przeciwników politycznych i usunąć ich z sali — oto główni sojusznicy Hitlera na ringu, oni mają zdobyć serce ludu, być jego pierwszymi bohaterami, bojownikami przeciw wrogim siłom, którzy krew przelali w historycznych potyczkach na salach zebrań. Te same obrazy, postawa i słownik powracają, gdy Goebbels przedstawia swą walkę o Berlin. To nie duch jest bojownikiem, nie chodzi też o przekonywanie, ani razu retoryka nie przechyla szali wyboru na rzecz nowej doktryny, zawsze tylko heroizm „starych bojowników". Dokładność tych raportów miała swoje granice. Gdzie one leżały, wskazuje relacja naszej znajomej, która w tym okresie pracowała jako pielęgniarka w jednym z przemysłowych miast Saksonii. „Kiedy wieczorami po zebraniach trzeba było opatrywać rannych, od razu wiedziałam, kto do jakiej partii należy, nawet wtedy, gdy już bez mundurów znajdowali się na sali szpitalnej. Ci z ranami na głowach zadanymi kuflami od piwa lub nogami od stołków to byli naziści, ci z cięciem sztyletu w płucach — to komuniści". Bojowa sława SA jest podobna do renomy literatury włoskiej — w obu wypadkach szczytowe osiągnięcia leżą u pra-początków.

Drugi uniform narodowo-socjalistycznego bohatera to kombinezon automobilisty-wyścigowca — hełm, okulary, grube rękawice. Narodowy Socjalizm propagował wszystkie sporty, od strony językowej najwięcej zaczerpnął z boksu, ale w latach trzydziestych sport motorowy dostarczał najbardziej wzniosłego modelu bohaterstwa. Bernd Rosemeyer po swym śmiertelnym wypadku przez pewien czas był stawiany obok Horsta Wessela. Fotografie zawodników biorących udział w międzynarodowych wyścigach zajmują w prasie lat trzydziestych czołowe miejsca — zawodnicy za kierownicą swych bojowych wozów, wsparci o nie lub pod nimi pogrzebani — oto bohaterowie dnia... Jeśli wzorem osobowym młodego człowieka nie stał się dobrze umięśniony SA-man z plakatów, to miał jeszcze do dyspozycji wyścigowca. Obu wcieleniom bohatera wspólne jest skierowane w pustkę twarde wejrzenie, w którym wyraża się zaciętość i agresywność. Na miejsce wyścigowego samochodu w 1939 roku wkracza tankietka, zawodnika zastępuje czołgista. Od pierwszego dnia wojny aż po kres Trzeciej Rzeszy bohater na lądzie, morzu i w powietrzu z reguły przyodziany był w mundur wojskowy. W czasie pierwszej wojny światowej istniało jeszcze cywilne bohaterstwo za frontem. Ale jak długo mogły istnieć obszary nieobjęte frontem? Jak długo mogło przetrwać czysto cywilne istnienie? Doktryna wojny totalnej skierowana była przeciwko niemu. Teatr wojny

jest w każdej fabryce, w każdym schronie przeciwlotniczym, wszędzie zaleca się bohaterstwo typu wojskowego. Kobiety, dzieci i starcy — wszyscy mają ginąć heroiczną śmiercią wojenną, często w mundurze, śmiercią, która dawniej była przywilejem młodych żołnierzy na polu walki.

Przez te dwanaście lat pojęcie i terminologia heroizmu w coraz większej mierze i coraz wyraźniej ograniczały się do idei wojennego męstwa polegającego na lekceważeniu śmierci w obrębie wszelkich działań wojennych. Mowa Narodowego Socjalizmu podchwyciła tu przymiotnik używany czasem przez neoromantyków — określenie „bojowy" (*kämpferisch*) weszło do mowy potocznej, i stało się ukochanym epitetem. „Waleczny" (*kriegerisch*) to nie dosyć, to termin zbyt wąski, kojarzy się wyłącznie z wojną, pomija zaciętość i czystą wolę walki dla walki jako takiej. A więc „bojowy"... W ogólności oznacza to postawę umysłu i woli rozciągającej się na całość życia i nacechowaną napięciem, uformowaną przez ustawiczną gotowość do ataku i obrony, w żadnym wypadku nie godzącą się na ustępstwo. Nadużywanie słowa „bojowy" jest elementem ogólnego i coraz głębszego zniekształcenia i zafałszowania pojęcia heroizmu.

„Pan jest dla nas niesprawiedliwy, panie profesorze... Dla nas — nie mam tu na myśli hitlerowców, nie należę do nich. A przecież byłem na froncie z krótkimi przerwami przeszło rok. Czy to nie jest rzeczą naturalną, że w czasie wojny szczególnie wiele się mówi o bohaterstwie? I czy koniecznie musi to być fałszywe bohaterstwo?"

„Bohaterstwo polega nie tylko na odwadze i ryzykowaniu życia. Na odwagę i ryzyko zdobywają się także rozbójnicy i zbrodniarze. Heros natomiast to od początku dziejów przede wszystkim człowiek dobry, spełniający czyny uszczęśliwiające ludzkość. Wojna zaborcza i to prowadzona z takim okrucieństwem jak wojna hitlerowska z heroizmem nie może mieć nic wspólnego".

„Ale wśród moich kolegów było wielu, którzy z okrucieństwami nic nie mieli wspólnego i byli mocno przekonani — nigdy nam tego inaczej nie przedstawiano — że nawet atakując i zdobywając nowe tereny w istocie prowadzimy wojnę obronną i walczymy o zbawienie świata, że temu dobru będzie służyć nasze zwycięstwo. Prawdziwy obraz rzeczywistości poznaliśmy późno, o wiele za późno... A czy pan nie sądzi że także sport może mieć prawdziwych bohaterów? Że osiągnięcia sportowe przyczyniają się do szczęścia ludzkości?"

„Zapewne jest to możliwe, i może wśród żołnierzy i sportowców Niemiec hitlerowskich byli jacyś rzeczywiści bohaterowie. Ale mój stosunek do tego typu bohaterstwa, do jakiego bywają zdolni członkowie tych dwóch grup zawodowych, jest nad wyraz sceptyczny. Jest ono za głośne, zbyt zyskowne, zbyt wiele daje satysfakcji, by mogło być naprawdę wzniosłe. W rzeczywistości wyścigowcy byli rycerzami

przemysłu, ich karkołomne wyczyny mogły się przysłużyć niemieckim fabrykom i tym samym Ojczyźnie. Być może także ogółowi, o ile ich doświadczenia przyczyniały się do ulepszeń technicznych w produkcji samochodów. Ale tyle było w tym próżności, tyle nagród dla zwycięskich gladiatorów. Tym, czym dla wyścigowców są wieńce i nagrody, tym dla żołnierzy ordery i awanse. Nie, bardzo rzadko mogę uwierzyć w heroizm, gdy czyny rzekomo bohaterskie dokonywane są z całym rozgłosem i gdy w wypadku powodzenia można się spodziewać dobrej zapłaty. Heroizm jest tym czystszy i tym więcej znaczy, im jest cichszy, im mniej ma świadków, im mniej jest dla samego bohatera rentowny, im mniej w nim zewnętrznego piękna. Narodowo-socjalistycznemu pojęciu bohatera zarzucam między innymi właśnie to, że uwięzło ono w elementach dekoracyjnych, że jest takie rozgadane. Narodowy Socjalizm nie był zdolny do uznania prawdziwego bohaterstwa i nie potrafił go dostrzec. Dlatego skompromitował i zafałszował samo jego pojęcie".

„Czy wobec tego sądzi Pan, że w czasach hitlerowskich nie istniało prawdziwe ciche bohaterstwo?"

„Wręcz przeciwnie. Właśnie w tych czasach rozkwitł najczystszy heroizm, ale po przeciwnej stronie. Myślę o tak wielu dzielnych ludziach w obozach koncentracyjnych, w konspiracji. Tam były śmiertelne niebezpieczeństwa, nieporównanie większe niż na froncie, a wszelki element dekoracyjny całkowicie odpadał. Miało się przed sobą perspektywę nie śmierci na polu chwały, lecz w najlepszym wypadku gilotyny... A jednak choć bez wątpienia było to prawdziwe bohaterstwo, wolne od dekoracyjnego blichtru, to jednak ci ludzie mieli jeszcze jakieś wewnętrzne wsparcie, które czyniło ich los choć odrobinę lżejszym: wiedzieli, że są członkami jednej armii, żywili uzasadnioną wiarę w ostateczne zwycięstwo swojej sprawy, mogli tę dumną wiarę wziąć ze sobą do grobu. Mogli być pewni, że ich imię tym chwalebniej zmartwychwstanie, im bardziej okrutną śmierć poniosą.

Ja zaś wiem o innym jeszcze bohaterstwie, o wiele cichszym jeszcze, pozbawionym nadziei, nie mającym wsparcia w przynależności do armii, czy do jakiejś politycznej grupy. Nie było tu szansy na przyszły błysk sławy, w osamotnieniu trzeba się było opierać niemal wyłącznie na własnych siłach. To było te parę (bo nie było ich zbyt wiele) aryjskich żon, które oparły się wszelkim naciskom nie chcąc porzucić swych mężów — Żydów. Jakżeż wyglądał dzień powszedni tych kobiet... Ileż musiały znieść wymyślań, gróźb, opluwania i ciosów. Ile wyrzeczeń i niedostatku, gdy musiały się dzielić ze swymi mężami tym, co dostawały na swe normalne kartki żywnościowe, podczas gdy oni otrzymywali głodowe racje, choć musieli wykonywać ciężką fizyczną pracę, za którą aryjczykom przysługiwały nawet specjalne dodatki. Na jaką wolę życia musiały się zdobyć w chorobie, udręczone obelgami i ota-

czającą je niegodziwością, by oprzeć się pokusie tak licznych w ich środowisku samobójstw — śmierć mogła przecież zapewnić wieczny spokój niezakłócany już przez Gestapo. Ale wiedziały, że za sobą pociągną w śmierć także swych mężów, którzy zostaną oderwani od ich nieostygłych jeszcze zwłok prosto na transport, na wygnanie, u którego kresu czeka śmierć. Jakiego stoicyzmu, jakiej dyscypliny wewnętrznej wymagało życie u boku umęczonych, zhańbionych i zrozpaczonych, których trzeba było codziennie od nowa nakłaniać do życia i podtrzymywać.

W polu ostrzału, w zasypanej piwnicy, nawet pod szubienicą działa jeszcze podtrzymująca siła dramatycznego momentu — ale w ślepej uliczce bezgranicznej nędzy dnia codziennego, po którym przyjdą następne, równie smutne — gdzie znaleźć wspomożenie? W tych okolicznościach pozostać niezłomnym, tak silnym, by być w stanie przekonywać innych, wciąż od nowa, że przyjdzie godzina wybawienia i że jest naszym obowiązkiem jej doczekać, tak silnym, by wytrzymać odosobnienie, bo Judenhaus nie tworzył zwartej grupy, mimo że jego mieszkańcy mieli wspólnego wroga i wspólny los — oto heroizm wyższy ponad inne rodzaje bohaterstwa.

Nie, czasom hitlerowskim nie brakowało bohaterstwa, ale wewnątrz hitleryzmu, wśród jego zwolenników istnieć mógł tylko heroizm zatruty, fałszywy, obłąkany — przywodzący na myśl pretensjonalne puchary zwycięstwa i pobrzękiwanie orderami, nadęte formuły ślubowań i bezlitosne mordowanie ludzi..."

Czy terminologia bohaterstwa należy do LTI? Właściwie tak, bo epitety z tego zakresu obficie w niej występują i są charakterystycznym przejawem hitlerowskiego zakłamania i brutalności. Wiąże się to także z upartym wysławianiem germańskiej wyższości: wszystko co heroiczne przysługuje tej właśnie rasie. Ale z drugiej strony nie: bo wszystkie te zniekształcenia i skłonność do przesady wyrażającą się w nadużywaniu terminologii bohaterstwa spotykamy już przed nastaniem Trzeciej Rzeszy.

Jeden jednak sposób użycia jest specyficznie narodowo-socjalistyczny. Był on dla nas zresztą źródłem pociechy. W grudniu 1941 Paul K. wrócił z pracy promieniejący. Po drodze przeczytał komunikat wojenny. „Nędznie im idzie w Afryce" powiedział. Czy naprawdę się do tego przyznają — spytałem — przecież wciąż piszą o zwycięstwie. „Piszą tu o ‚naszych bohatersko walczących oddziałach'. ‚Bohatersko' to wygląda na odwrót, niech Pan mi wierzy". Później wiele razy bohaterskie zmagania opisywane w biuletynach dla nas nieomylnie zapowiadały odwrót i nigdy nie doznaliśmy w naszych nadziejach zawodu.

CECHA PODSTAWOWA: UBÓSTWO

LTI to mowa żebraczo uboga. Ubóstwo jest jej cechą zasadniczą; obowiązuje jak na mocy ślubu.

Mein Kampf, biblia Narodowego Socjalizmu, zaczęła się ukazywać w roku 1925, a z jej publikacją główne cechy LTI zostały literalnie zafiksowane. Gdy Partia „przejęła władzę" w 1933 roku, z języka grupy LTI stała się mową ludu. Jej przemożne wpływy utwierdziły się we wszystkich dziedzinach życia prywatnego i publicznego: w polityce prawodawstwie i wymiarze sprawiedliwości, w przemyśle, w sztuce, i nauce, w szkole, w sporcie, w rodzinie, w przedszkolach i żłobkach (w przeciwieństwie do tego język grupy występuje zawsze tylko w tych dziedzinach, które mają jakiś związek z jej działalnością, a nie obejmuje całości życia). Oczywiście LTI zapanowała też w armii, i to ze szczególną siłą. Lecz między językiem wojskowym i LTI istniało szczególne oddziaływanie wzajemne, rodzaj wymiany. Najpierw język wojskowy wpłynął na LTI, potem LTI ten język zepsuła.

Przez cały czas swego trwania i rozrostu LTI pozostała uboga i monotonna, a „monotonię" trzeba tu rozumieć równie dosłownie jak „fiksację". W tamtych latach, gdy tylko mogłem czytać, czytałem, cokolwiek wpadło mi w ręce — moja lektura była podobna do podróżowania balonem, który musi zdać się na przygodne wiatry, rezygnując ze sterowania. Raz miałem do dyspozycji *Mit dwudziestego wieku* a raz *Podręcznik detalicznego sprzedawcy,* raz studiowałem czasopismo prawnicze, raz farmaceutyczne, czytałem też powieści i wiersze, które w tamtych czasach zdołały się ukazać. Chodząc ulicami i w hali maszyn słuchałem rozmów robotników. I wszędzie, w druku i w żywej mowie, te same utarte zwroty, ten sam ton. I wszędzie, nawet wśród najciężej prześladowanych ofiar i z konieczności śmiertelnych wrogów Narodowego Socjalizmu, wszędzie, nawet wśród Żydów, w ich rozmowach i listach a także w ich książkach, póki się jeszcze ukazywały, równie potężna jak uboga, potężna właśnie dzięki swemu ubóstwu, wszędzie LTI.

Powody tego ubóstwa zdają się być jasne. Aż do ostatniego detalu zorganizowana tyrania czuwa nad tym, aby doktryna Narodowego Socjalizmu we wszystkich swych punktach pozostała niezafałszowana. Dotyczy to także języka. Na wzór papieskiej cenzury na stronie tytułowej interesujących Partię książek umieszcza się adnotację: „NSDAP nie ma zastrzeżeń co do wydania niniejszej książki. Podpisano: Przewodniczący Partyjnej Komisji Weryfikacyjnej dla Ochrony Narodowego Socjalizmu". Do głosu może dojść tylko ten, kto należy do Reichsschrifttumkammer, a cała prasa może publikować tylko to, co jest jej z góry przekazane, co najwyżej można do obowiązującego tekstu wprowadzać

drobne warianty, ograniczające się do manipulowania ustalonymi raz na zawsze i dla wszystkich kliszami. W późniejszym okresie Trzeciej Rzeszy powstał zwyczaj, że w piątek wieczorem radio berlińskie nadawało tekst najnowszego artykułu Goebbelsa dla „Das Reich", na dzień przed jego ukazaniem się w druku, i tym samym za każdym razem było już przesądzone, co w następnym tygodniu ma się znaleźć na wszystkich szpaltach niemieckich gazet. Wszechobowiązujący model językowy niewielu miał więc twórców. Pod koniec być może tylko sam Goebbels ustalał, co dozwolone w mowie, przewyższając Hitlera nie tylko jasnością lecz i częstotliwością wypowiedzi, zwłaszcza że Führer coraz bardziej niemiał, częściowo po to, aby milczeć jak nieme bóstwo, a częściowo dlatego, że nie miał już nic decydującego do powiedzenia. Rosenberg i Göring wynajdywali jeszcze czasem własne niuanse, ale w praktyce korzystał z tego najpierw sam minister propagandy, udzielając swego placet.

Cały niemiecki obszar językowy był absolutnie podporządkowany rozporządzeniom niewielkiej grupy ludzi, a nawet wręcz jednego człowieka i to w sposób szczególnie efektywny, ponieważ LTI nie znała różnicy między słowem pisanym a żywą mową. Co więcej: na każdym kroku, każda wypowiedź musiała być przemową, apostrofą, wezwaniem, apelem, ciosem bicza. Nie było żadnej stylistycznej różnicy między przemówieniami i artykułami ministra propagandy, te ostatnie zresztą także przeznaczone były do deklamacji — to znaczy dosłownie: do wygłaszania donośnym głosem, jeszcze dosłowniej, do wykrzykiwania. Wszystkich miał obowiązywać ten styl wrzeszczącego na placu targowym agitatora.

Tu dotykamy jednej z głębszych racji cechującego LTI ubóstwa. Ten język był ubogi nie tylko dlatego, że wszyscy zmuszeni byli stosować się do jednego wzoru, lecz przede wszystkim ze względu na fakt, iż umyślnie ograniczał się on do wyrażania jednego tylko aspektu ludzkiej istoty. Każda swobodnie funkcjonująca mowa służy wszystkim władzom człowieka, tak rozumowi jak i uczuciu; jest zarazem porozumiewaniem się, dialogiem i monologiem, modlitwą, prośbą, rozkazem i zaklęciem. LTI zna tylko zaklęcia. Bez względu na temat, publiczny czy prywatny — lecz nie, LTI nie uznaje rozróżnienia między strefą prywatną a publiczną, podobnie jak nie godzi się z odmiennością mówionego i pisanego stylu! — wszędzie przemowy, ustawiczna publicity... „Jesteś niczym, naród jest wszystkim" — oto sztandarowe hasło. To znaczy: nigdy nie jesteś sam ze sobą, nigdy tylko z twoimi bliskimi, zawsze stoisz w obliczu Narodu.

Byłoby rzeczą niesłuszną sądzić, że LTI odwołuje się wyłącznie do woli. Ten, kto chce rozbudzać wolę, zwraca się jednak zawsze do jednostek, nawet gdy przemawia do złożonego z nich ogółu. LTI natomiast

zmierza do wyzucia jednostek z ich indywidualności, odbiera im osobowość, chce z nich uczynić bezwolne i bezmyślne sztuki w stadzie popędzanym biczem, atomy w wielkiej skalnej lawinie. LTI jest klasycznym językiem masowego fanatyzmu.

INTERPUNKCJA

Tak u jednostek, jak i u pewnych grup da się czasem zaobserwować pewne charakterystyczne upodobanie do tego czy innego znaku przestankowego. Uczeni lubią średniki: kierując się logiką potrzebują znaku, który by bardziej zdecydowanie dzielił niż przecinek, a jednak nie odgraniczał tak absolutnie jak kropka. Sceptyk Renan twierdził, że nigdy nie stawiamy dość znaków zapytania. Okres Burzy i Naporu szczególnie często uciekał się do wykrzykników. Wczesny naturalizm niemiecki z lubością posługiwał się myślnikami: tok myślenia odbiegał tu od abstrakcyjnej logiki, miał charakter luźny, oparty na przelotnych asocjacjach, przekazywanych bezpośrednio, tak jak się rodzą, jak w wewnętrznym monologu lub pełnej podniecenia rozmowie między ludźmi niezbyt przyzwyczajonymi do myślenia.

Można by przypuszczać, że LTI, będąc tak nasycona retoryką i zwracając się stale do uczucia, powinna także, jak pisarze Burzy i Naporu, miłować wykrzykniki. A jednak tak nie jest. Występują one nader rzadko. Gdy wszystko stale jest z taką oczywistością apelowaniem, wzywaniem i wykrzykiwaniem — na cóż by się zdał osobny znak interpunkcyjny — gdzież zdania, które by się bez niego mogły obyć?

LTI posługuje się natomiast bez żadnego umiaru tym, co chciałbym nazwać ironicznym cudzysłowem.

Prosty, pierwotny cudzysłów oznacza po prostu dosłowne przytoczenie tego, co ktoś inny powiedział lub napisał. Ironiczny cudzysłów nie ogranicza się do funkcji tak neutralnej, lecz sieje wątpliwość w prawdziwość tego, co cytowane, stwierdza, że my ze swej strony uważamy tę wypowiedź za kłamstwo. Mówca wyraża szyderstwo głosem — w piśmie służy temu celowi ironiczny cudzysłów — jeszcze jedna oznaka retorycznego charakteru LTI...

Oczywiście nie jest to wynalazek Narodowego Socjalizmu. Gdy podczas pierwszej wojny światowej Niemcy wysławiali swą wyższą kulturę, odżegnując się od cywilizacji zachodniej jako mniej wartościowej i czysto zewnętrznej, Francuzi z reguły mówili wtedy i pisali o „«culture allemande»" z ironicznym cudzysłowem. Być może właśnie ten zwyczaj przyczynił się do wprowadzenia nowego dodatkowego znaku, tych właśnie «żabek», ponieważ były sytuacje, gdy dwa cudzysłowy, jeden zwykły, a drugi ironiczny zachodziły na siebie w jednym zdaniu. W obrębie LTI zastosowanie ironiczne jest częstsze niż neutralne, bo

neutralność jest tej mowie obca — zawsze ma się tu do czynienia z przeciwnikiem, którego trzeba obedrzeć z honoru. Kiedy hiszpańscy rewolucjoniści odnosili zwycięstwa, gdy mieli oficerów i sztab generalny, w niemieckiej prasie stale mowa była o „czerwonym «zwycięstwie»", „czerwonych «oficerach»", „czerwonym «sztabie»" itd. To samo dotyczyć będzie później „rosyjskiej «strategii»" i „«Marszałka» Tito" — Chamberlain, Churchill i Roosevelt zawsze są tylko «mężami stanu» w ironicznym cudzysłowie, Einstein «uczonym», Rathenau «Niemcem» a Heine «niemieckim» poetą. Nie ma artykułu czy tekstu przemówienia w gazecie, który by się nie roił od takich uszczypliwych cudzysłowów. Nie brak ich nawet w studiach utrzymanych w spokojniejszym tonie. Znaki te nieodwołalnie należą do drukowanej wersji LTI, podobnie jak intonacja Goebbelsa i Hitlera są jej cechą wrodzoną.

AUFZIEHEN *

Nakręcam zegarek, mechaniczną zabawkę, naciągam nici osnowy, napinam łańcuch — wszystko to czynności mechaniczne, którym poddajemy przedmioty martwe niezdolne do stawiania oporu.

Od automatycznej zabawki, od brzęczącego bąka, od pieska, który szczeka i przebiera łapkami, prowadzi droga do zastosowań metaforycznych: mogę kogoś „nakręcić". To znaczy zakpić sobie z niego, zrobić z niego komiczną osobistość, pajaca. Bergsonowska definicja komizmu — jako automatyzacji tego, co żyje — potwierdzona tu jest przez praktykę językową.

W tym zastosowaniu *aufziehen* ma sens nieszkodliwie pejoratywny... W języku nowoczesnym czasownik ten zyskał nowe szczególne znaczenie, zarazem pejoratywne i wyróżniające. Mówiło się na przykład o reklamie jako dobrej lecz „przesadnie nakręconej". Wyraża się tu zarazem uznanie dla jej skutecznego oddziaływania na rynek, dla rozwiniętej techniki perswazji i zachęty, a z drugiej strony ostrzeżenie przeciw temu, co krzykliwe, pozbawione rzeczowości i umiaru. Jako czysty pejoratyw występuje to słowo np. w osądzie krytyka teatralnego, że któraś ze scen sztuki jest „naciągnięta". Oznacza to, że jej autor jest pozbawionym skrupułów technikiem żądnym poklasku, a nie uczciwym

---

* AUFZIEHEN = pociągnąć do góry; podciągać/nąć; podnosić/ieść... naciągać/nąć... nakręcać...; wychowywać... potocznie: kpić, drwić, nabijać się z...; urządzać/ić, zorganizować, zaaranżować; ...nadawać zabarwienie, np. einen Prozess politisch aufziehen — nadawać procesowi zabarwienie polityczne.
Wg J. Chodera, S. Kubica, *Podręczny słownik języka niemieckiego*, PW Wiedza Powszechna, Warszawa 1966.
Sądzę, że jeszcze jednym odpowiednikiem będzie „rozkręcać/cić" np. ruch amatorski. (przyp. tłum.)

pisarzem. U samych początków Trzeciej Rzeszy wydawało się, że LTI przyjmie to metaforycznie ujemne znaczenie. Nazistowskie dzienniki chwaliły na przykład studentów, którzy dokonali pogromu w „naukowo naciąganym" instytucie profesora Magnusa Hirschfelda. Hirschfeld był Żydem, a więc jego instytut musiał być „naciągany" czyli naukowo bezwartościowy.

Ale w kilka dni później okazało się, że czasownik *aufziehen* jako taki nie ma w sobie nic pejoratywnego. 30 czerwca 1933 oświadczył Goebbels w Wyższej Szkole Nauk Politycznych, iż NSDAP „rozkręciło wielomilionową organizację, w której wszystko zostało połączone: teatry i przedstawienia amatorskie, sport, turystyka, chóry itp., i państwo wszystkimi środkami będzie ją popierać". Tu już *aufziehen* pojmowane jest całkiem poważnie i pochlebnie, a kiedy Rząd będzie z tryumfem mówić o rezultatach plebiscytu w zagłębiu Saary, podkreśli się także, że była to „szeroko rozkręcona akcja".

Nie widzi się już, jak wyraźnie mechanistyczne zabarwienie posiada ten czasownik. Ta utrata wrażliwości wiąże się z faktem, że stale jest on używany, gdy tylko mowa o organizacji. Tu ujawnia się jedno z najsilniejszych napięć i sprzeczności panujących w obrębie LTI. A mianowicie podkreślając wciąż najwyższą wartość tego, co „organiczne", wyrastające z natury, LTI jest jednocześnie zalana potopem wyrażeń i określeń przeniesionych ze świata techniki. Brak tu zupełnie wyczucia stylistycznej niestosowności i ubliżającego charakteru takich określeń jak „nakręcana" czy „rozkręcona" organizacja.

„Zastanów się tylko, czy istotnie właśnie hitlerowcy odpowiedzialni są za *'aufziehen'*", powiedział mi raz Feder. Latem 1943 byliśmy razem na nocnej zmianie przy tym samym bębnie sporządzającym mieszankę ziołowej herbaty. Była to ciężka praca, zwłaszcza w czasie upału, ponieważ musieliśmy nosić maski i nakrycia głowy jak chirurdzy. W czasie przerw zdejmowaliśmy okulary, maski i czapki — Feder nosił sędziowski biret, był bowiem przedtem radcą w Sądzie Okręgowym — siadaliśmy na skrzynkach i wymienialiśmy wiadomości wojenne oraz poglądy na psychologię różnych narodów. Jak wszyscy mieszkańcy Judenhausu przy wąskiej Sporergasse, zginął Feder w wielkim bombardowaniu z 13 na 14 lutego 1945.

Jak pamiętam w kwestii *aufziehen* był on zdania, że termin ten w sensie całkiem neutralnym był już w użyciu w 1920 roku: „podobnie jak ‚rozplakatować' i w tych samych kontekstach." Nie mogłem się z nim zgodzić raz dlatego, że sam nie spotykałem tego słowa jako neutralnego określenia, a po drugie — powiązanie z „rozplakatowaniem" ma dla mnie jednak jakiś negatywny wydźwięk. Ale przede wszystkim — i to jest zasada, której stale trzymam się w tych reflek-

sjach — przede wszystkim trzeba pamiętać, że właściwie prawie nigdy, lub w ogóle nigdy nie da się ustalić, kiedy dane wyrażenie zostało naprawdę użyte po raz pierwszy, kiedy dany zwrot powstał jako taki. Ilekroć wydaje nam się, żeśmy taki pierwszy wypadek odkryli, zawsze potem wychodzą na jaw jeszcze wcześniejsze. Feder mógł znaleźć określenie *Untermensch* dopiero u Büchmanna — a przecież jego odpowiedniki istniały już w starożytności. Ja sam znalazłem *Untermenscha* u starego Fontany, podczas gdy Narodowi Socjaliści tak są dumni ze swego wynalazku, ze swych żydowskich i komunistycznych *Untermenschów*, i przynależnej do tego *Untermenschtum*. Mogą spokojnie być z tego dumni, podobnie jak Nietzsche ze swego *Übermenscha*. To ich własność, bo słowo, czy też jego zabarwienie i sens, wtedy są czymś w obrębie języka żywym, gdy wchodzą w użycie ogółu lub grupy i gdy to trwa przez pewien dłuższy czas. W tym znaczeniu i tylko w tym znaczeniu *Übermensch* jest tworem Nietzschego a *Untermensch* i niepozorne *aufziehen* muszą zostać zapisane na konto Trzeciej Rzeszy.

Czy przeminą wraz z nazizmem? Staram się o to, ale mój pogląd jest sceptyczny.

Napisałem tę notatkę w styczniu 1946. W kilka dni potem odbyło się posiedzenie Drezdeńskiego Koła Kulturalnego. Było tam kilkanaście osób, wybranych ze względu na swe kulturalne kwalifikacje, a więc grupa, która powinna pracować przykładnie. Chodziło o zorganizowanie Tygodnia Kulturalnego, m. in. wystawy sztuki. Ktoś z uczestników powiedział, że niektóre z wytypowanych na wystawę obrazów to kicze, choć być może ich tematy dotyczą „ludowej solidarności". Nie może być! zakrzyknął ktoś z obecnych — kiedy my tu w Dreźnie urządzamy wystawę, to musimy ją znakomicie i bez zarzutu r o z k r ę c i ć.

FANATISCH

Fanatique i *fanatisme* to słowa, których myśliciele francuskiego Oświecenia używali w skrajnie ujemnym znaczeniu i to z podwójnej racji: Pierwotnie — rdzeń słowa stanowi fanum, świętość i świątynia — fanatyk to człowiek w stanie religijnego zachwycenia, w skurczach ekstazy. Ludzie Oświecenia walczyli ze wszystkim, co prowadzi do ograniczenia myślenia, byli wrogami Kościoła i ze szczególną pasją sprzeciwiali się każdemu religijnemu zaślepieniu. Ich racjonalizm widzi w fanatyku swego właściwego przeciwnika. Typem fanatyka jest Ravaillac, który kierując się religijnym fanatyzmem zamordował dobrego króla Henryka IV. Czcicielom rozumu stawiano także zarzut fanatyzmu, ale mogli go odeprzeć argumentem, iż w swej walce z wrogami rozsądku uciekają się wyłącznie do samej potęgi rozumu. Gdzie tylko

widać wpływ Oświecenia, tam z reguły pojęcie fanatyzmu wiąże się z elementami negatywnej oceny.

Rousseau ma filozofów i encyklopedystów za towarzyszy, choć jako idący własnymi drogami powziął do nich nienawiść. Podobnie jak oni, używa on określenia „fanatyczny" w sensie pejoratywnym. Mówiąc o wystąpieniu Chrystusa przed przywódcami żydowskimi Rousseau pisze: „W obliczu szalejącego fanatyzmu zabrzmiał głos wyższej mądrości". Ale właśnie w tym miejscu, gdzie wikary z Sabaudii staje się porte-parole Jana Jakuba, z większą siłą występując przeciw niewyrozumiałości Encyklopedystów, niż przeciw kościelnej nietolerancji, tam właśnie znajdujemy dłuższą interesującą uwagę: „Bayle w pełni dowiódł, iż fanatyzm bardziej deprawuje, niż bezbożność i jest to niewątpliwe, pominął on jednak pewną prawdę nie bez znaczenia. A mianowicie, że z całą swą krwiożerczością i ohydą fanatyzm jest wielką i silną namiętnością, która unosi serce ludzkie, każe mu nie liczyć się ze śmiercią, użycza mu potężnego impulsu. Człowiek musi nią tylko lepiej kierować, aby wydobyć z niej najwznioślejsze cnoty, podczas gdy z drugiej strony niewiara i całe mędrkujące oświecenie prowadzi do zacieśnienia życia, do zniewieściałości, do poniżenia duszy i skłania do podporządkowania wszystkich namiętności zwykłym interesom oraz zachęca do przeklętego egoizmu i tym samym skrycie podkopuje podwaliny każdego społeczeństwa".

Tu już mamy gotowe przejście od fanatyzmu do cnoty. Ale mimo całej światowej sławy Rousseau pozostało ono ukryte w tej uwadze i nie przyniosło efektów. Romantycy zaczerpnęli od Rousseau pochwałę nie fanatyzmu lecz namiętności we wszelkich formach i dla najróżniejszych spraw.

Nie ma w języku niemieckim żadnego zastępczego określenia dla fanatyzmu, także i wtedy, gdy oswobodzimy się od pierwotnego skojarzenia z tym, co należy do sfery kultu. „Zapalać się" (*eifern*) to wyrażenie całkiem nieszkodliwe, kojarzy się ono raczej z namiętnym mówcą niż z aktami gwałtu. „Opętanie" (*Besessenheit*) oznaczało raczej stan graniczący z chorobą, a więc budzący współczucie i stanowiący okoliczność łagodzącą, a nie sposób postępowania stanowiący niebezpieczeństwo dla ogółu. Oczarowanie, egzaltowane marzycielstwo (*Schwärmerei*) ma zabarwienie o wiele bardziej pozytywne. Wprawdzie wielbiący jasność Lessing i w egzaltacji widzi coś niepokojącego. W *Nathanie* pisze on: „Nie wydaj go na pastwę uniesienia tłumu". Ale można się pytać, czy w takich wyrażeniach jak „ciemny fanatyk" i „szlachetny entuzjasta" epitety nie są wymienne — czy można by mówić o „szlachetnym fanatyku" i „ciemnym entuzjaście"? Wyczucie językowe sprzeciwia się temu. Egzaltowany entuzjazm różni się od zacietrzewienia — jest w nim jakieś oderwanie się od ziemi, od realnych warunków, wzlot ku empi-

reum. Dla oczarowanego Króla Filipa Posa jest „przedziwnym, osobliwym entuzjastą".

A więc w języku niemieckim słowo „fanatyczny" jest nieprzetłumaczalne i niezastąpione i jako wyrażenie wartościujące zawsze ma ono sens silnie negatywny, oznacza cechę odstręczającą i groźną. Nawet wtedy, gdy o jakimś badaczu czy artyście mówi się, że jest fanatykiem nauki czy sztuki, nawet wtedy jest w tym zwrocie obok pochwały jakaś intuicja zamknięcia się, zacieśnienia, jakiegoś przykrego odizolowania, niedosiężności. Przed zaistnieniem Trzeciej Rzeszy nikomu by do głowy nie przyszło użyć terminu „fanatyczny" jako pozytywnego określenia wartościującego. Wartość negatywna tak silnie była z nim związana, że niekiedy nawet LTI używała go w sensie negatywnym. W *Mein Kampf* Hitler mówi z oburzeniem o „fanatykach obiektywizmu". W dziele, które ukazało się w szczytowym okresie Trzeciej Rzeszy i stanowi niewyczerpany skarbiec typowych dla LTI zwrotów, w panegirycznej biografii Göringa, pióra Ericha Gritzbacha, mowa jest o znienawidzonym komuniźmie jako o doktrynie, która ludzi wychowuje na fanatyków. Ale tu jest to już komiczne poślizgnięcie, niedopuszczalny powrót do języka dawnych czasów — takie pojedyncze błędy zdarzają się nawet najwytrawniejszym mistrzom LTI, Goebbels na przykład jeszcze w grudniu 1944 mówi o „zawrotnym fanatyzmie niektórych niepoprawnych Niemców, którzy niczego nie mogą się nauczyć".

Nazywam to komicznym błędem, bo przecież cały Narodowy Socjalizm zbudowany jest na fanatyzmie i wszystkimi możliwymi sposobami wychowywał do fanatyzmu, a określenie „fanatyczny" jest najsilniejszym pozytywnym superlatywem LTI. Oznacza najwyższy stopień oddania, dzielności, wytrwałości i w ogóle wspaniały wyraz wszystkich tych cnót stopionych w jedno. Najlżejszy odcień pejoratywny nie wchodzi tu w grę. W dni świąteczne, w dzień urodzin Hitlera czy rocznicę przejęcia władzy nie było w gazetach artykułu, odezwy czy przemówienia do wojska czy innej organizacji, w którym nie znalazłoby się „fanatycznego ślubowania" i „fanatycznego wyznania" „fanatycznej wiary" w wiecznotrwałą hitlerowską Rzeszę. I to także w czasie wojny, kiedy już się nie dało tuszować kolejnych klęsk. Im ciemniej przedstawiały się horyzonty wojskowe, tym gorliwiej głoszono „fanatyczną wiarę w ostateczne zwycięstwo", w Führera, w Naród i w fanatyzm Narodu jako podstawową cnotę niemiecką. Szczyt ilościowy w tym zakresie osiągnięto w okresie po zamachu na Hitlera w lipcu 1944. W każdej z deklaracji lojalności wobec Wodza znajduje się to słowo. Ręka w rękę z tym rozpanoszeniem na polu politycznym fanatyczność zaczęła się szerzyć i w innych dziedzinach, w relacjach i rozmowach. To, co przedtem mówiło się lub pisało „namiętnie" — teraz cechować zaczął „fanatyzm". Stąd przyszło pewne osłabienie sensu tego słowa, jego uzwy-

czajnienie. We wspomnianej już monografii Göringa Marszałek Rzeszy zwany jest między innymi „fanatycznym przyjacielem zwierząt". Wszelkie znaczenie ujemne — jak w wypadku artysty-fanatyka — jest tu wykluczone, bo Göring wciąż jest przedstawiany jako człowiek miły, dostępny i towarzyski.

Nasuwa się pytanie, czy to osłabienie sensu słowa nie oznacza, że maleje także jego trucicielska siła? Można by tak sądzić, opierając się na fakcie, że tego określenia używa się wprawdzie w nowym sensie ale bezmyślnie, na oznaczenie przyjemnej mieszanki dzielności i oddania. Ale tak nie jest. „Mowa, co baje i myśli za ciebie..." Trucizna wypijana nieświadomie sprawuje jednak swoje dzieło zniszczenia — nigdy nie jest za często to powtarzać.

Ale temu, kto był odpowiedzialny za pełne działanie trucizny, która miała być gwałtowna jak uderzenie bicza, ekspertowi od spraw języka Trzeciej Rzeszy, wydawać się mogło, że istotnie przez tak częste używanie siła wyrazu mogła ucierpieć. Tak więc Goebbels poczuł się zmuszony do absurdalnego kroku: zaczął szukać sposobu wzmocnienia tego, co już właściwie nie dało się powiedzieć mocniej. I tak w „Das Reich" z 13 listopada 1944 pisze Goebbels, że sytuacja może być uratowana tylko przez „dziki fanatyzm". Tak jakby dzikość nie była konieczną cechą fanatyka, jakby mógł istnieć fanatyzm opanowany i obłaskawiony.

Tu już obserwujemy definitywny upadek interesującego nas słowa. A przecież zaledwie cztery miesiące wcześniej odniosło ono najwyższy tryumf, jakiego mogła dostarczyć Trzecia Rzesza, a mianowicie tryumf wojskowy. Prześledzenie, jak pod wpływem goebbelsowskiej propagandy ulegała stopniowemu wykruszaniu się dominująca dawniej i godna podziwu rzeczowość i kokieteryjna niemal oszczędność oficjalnego stylu Armii i codziennych komunikatów wojennych, to osobne zadanie dla filologa. 26 lipca 1944 przymiotnik „fanatyczny" po raz pierwszy został zastosowany do niemieckich sił zbrojnych. Nasze „fanatycznie w Normandii walczące oddziały". Można tu wyraźniej niż kiedykolwiek dostrzec przepaść między postawą wojskowych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej.

Już w rok po upadku Trzeciej Rzeszy można zaprezentować właściwy i nieodparty dowód, że określenie „fanatyczny", tak dla Narodowego Socjalizmu charakterystyczne i będące doń kluczem, nigdy nie straciło swej trującej siły. Bo choć na każdym kroku spotykamy jeszcze ślady LTI, określenie „fanatyczny" niepowrotnie zniknęło. Można z tego z dużą pewnością wywnioskować, że w świadomości ludu czy w jego podświadomości przetrwał prawdziwy obraz stanu rzeczy, a mianowicie, że przez lat dwanaście jako najwyższą cnotę przedstawiano stan ducha bliski zaćmieniu umysłu, chorobie i zbrodni.

Victor Klemperer
tłum. i opr. H. Bortnowska

GENERAŁ I SĘDZIA

Jest rzeczą zrozumiałą, że w historii niemieckiej opozycji przeciw Hitlerowi na plan pierwszy wysuwa się zamach z 20 lipca 1944 r. W szeregu akcji, które albo nie wyszły poza stadium planowania, albo zawiodły w trakcie realizacji, ta była jedyna, którą rzeczywiście przeprowadzono i która omal nie osiągnęła swego celu. Odwaga i nieugiętość, wykazana później w więzieniach i przed sądami, ludzi w niej uczestniczących, zasługuje na trwałą pamięć i nic dziwnego, że uczeni, nie tylko niemieccy, poświęcają sprawie i ludziom „20 lipca" wiele swego badawczego wysiłku. Niedawno profesor Kurt Finker opublikował w Berlinie (NRD) znakomitą monografię poświęconą osobie Klausa Stauffenberga, w której wykazuje niewygasły walor koncepcji i działań spiskowców skupionych wokół Stauffenberga dla postępowej tradycji niemieckiej. Również w historiografii radzieckiej zamach 20 lipca zyskał gruntowne oświetlenie w studium Daniela Mielnikowa (*Zagowor 20. 7. 1944 w Germanii*, Moskwa 1965). Natomiast ciągle czeka na pełną dokumentację i sprawiedliwą ocenę człowiek, który był najkonsekwentniejszym przeciwnikiem hitleryzmu od pierwszych chwil panowania nowego reżimu. Zarówno nowe odkrycia archiwalne jak i coraz liczniejsze pamiętniki pozostałych przy życiu uczestników opozycji antyhitlerowskiej zdają się świadczyć, że siłą napędową tego, co się ryczałtem określa jako niemiecki ruch oporu, był Hans Oster, generał, kierownik centralnego oddziału zagranicznego Abwehry. Przyczyny milczenia wokół Ostera stają się jasne po lekturze wydanej właśnie w NRF pierwszej biografii tego generała. Autorem książki *Verschwörung gegen den Krieg* jest profesor historii uniwersytetu w Minnesota (USA) Harold C. Deutsch, który już w 1946 r. jako amerykański oficer przeprowadzał na zlecenie swych władz badania wojskowej konspiracji antyhitlerowskiej.

Z wywodów Deutscha wynika, że Oster był w latach 1938—1943 centralną postacią ruchu spiskowego w Wehrmachcie. Do chwili jego czynnego zaangażowania się tzw. opozycja antyhitlerowska ograniczała się do kilku osób, pozbawionych wpływu i nie powiązanych organizacyjnie. Jak nikt inny nawoływał swych wojskowych przyjaciół do otwartego buntu przeciw Hitlerowi, zdobywał nowych sojuszników, utrącał — wyzyskując swe stanowisko i wpływy — niezdecydowanych i tchórzliwych. W miesiącach poprzedzających kryzys czechosłowacki udało się Osterowi doprowadzić do utworzenia czegoś w rodzaju kierownictwa opozycji antyhitlerowskiej. W skład tego kierownictwa wchodzili: admirał Canaris, szef sztabu generalnego gen. Beck, dr Dohnanyi z ministerstwa spraw zagranicznych i Oster. Mimo wspólnej opozycji przeciw

Hitlerowi ludzie ci znacznie się między sobą różnili. Canaris i Beck pragnęli rozwiązania o pozorach legalności, ale Oster był zdecydowany na każdy akt gwałtu, gdyż sądził, że tylko zamordowanie dyktatora pozwoli uwolnić kraj od brunatnego upiora. Współpraca z Canarisem, Beckiem, później Halderem, mimo osobistej przyjaźni łączącej Ostera z tymi ludźmi, nie była łatwa. Rozdarci byli swoistą schizofrenią: z jednej strony jako odpowiedzialni dowódcy budowali potęgę Rzeszy, z drugiej — jako spiskowcy — mieli tę potęgę zniszczyć. Ale, co gorsza, na samym szczycie hierarchii wojskowej stali pozbawieni politycznego instynktu *Fachidioten*, pielęgnujący cesarskie tradycje posłuszeństwa i kultu dla zwierzchnika armii. Tylko niepowodzenie następnej awantury wojennej mogło tych ludzi uwolnić od sugestii sukcesów Hitlera i skłonić do akcji przeciw reżimowi. Gdy przygotowany już we wrześniu 1938 r. zamach upadł wskutek nieprawdopodobnego tryumfu Hitlera na konferencji monachijskiej, Oster odbudowawszy rozlatującą się konspirację postanowił wejść w porozumienie z krajami, z którymi Rzesza była już w wojnie. Przy pomocy ludzi, związanych z Dohnanyim, przekazywał na zachód informacje o przygotowaniach do ofensywy przeciwko Holandii, Belgii i Francji, łącznie z terminami. I tutaj leży przyczyna przemilczania Ostera. Nawet po wojnie nie wybacza mu się, że dostarczał wrogom wojskowe tajemnice. Termin „zdrada" załatwił problem. To nic, że Ostera nie załamały kolejne niepowodzenia, że aż do chwili usunięcia z wojska w 1943 r. i rychłego aresztowania przez gestapo, poprzez szereg nieudanych prób przygotował 20 lipca. Rozstrzelany w kwietniu 1945 r. zachowywał się w więzieniu i w śledztwie — jak świadczy zachowany raport Kaltenbrunnera do Bormanna — odważnie i z godnością. Nie przypomina go żaden pomnik, żadna ulica nie nosi jego imienia, a poświęcone latom hitleryzmu książki zawierają o Osterze kilkowierszowe wzmianki. Oster nie był politykiem i mimo swego dynamizmu nie aspirował do roli przywódczej. Środowisko, z którego pochodził, i profesja zawodowego oficera, która go uformowała, skłaniały go do poglądów skrajnie konserwatywnych. Ale miał nieomylny instynkt moralny. Nienawiść, jaką żywił do hitleryzmu, płynęła z głębokiego etycznego zgorszenia. Dzięki temu umiał przełamać przesądy swej kasty i stworzyć właściwy system wartości, w którym miejsce posłuszeństwa zajęła odpowiedzialność.

Postać, która także na trwałe związana jest z historią antyhitlerowskiej opozycji, przypomina Gert Buchheit (*Richter in roter Robe*, München 1969). Jest to próba portretu hitlerowskiego sędziego — Rolanda Freislera, prezydenta tzw. Trybunału Ludowego. Trybunał Ludowy utworzony został w kwietniu 1933 r. dla osądzania sprawy zdrady stanu i zdrady kraju. Rozstrzygał w pierwszej i jedynej instancji. Od wyroków nie było żadnego środka odwoławczego. Jego właściwość sądzenia wszel-

kich przestępstw politycznych została rozszerzona w 1940 r. Po zamachu 20 lipca Trybunał sądził również oficerów, którzy z prawa podlegali sądom wojennym. W skład trybunału wchodziło 5 członków, z których — poza przewodniczącym — tylko jeden musiał posiadać kwalifikacje sędziego. Tym zawodowym sędzią bywał zazwyczaj radca izby sądowej Rehse, niedawno uwolniony od odpowiedzialności przez sąd w Berlinie Zachodnim. Członkowie trybunału byli mianowani osobiście przez Hitlera. Ich obowiązki wyraził dobitnie prokurator trybunału, Parisius: „Obowiązkiem sędziego nie jest wymierzanie sprawiedliwości, ale niszczenie przeciwników narodowego socjalizmu". Od 1942 r. przewodniczącym trybunału był Roland Freisler. Nie jest znana, wskutek zaginięcia większości akt, ilość wydanych przez trybunał wyroków śmierci. Z zachowanego sprawozdania Freislera dla ministra sprawiedliwości wynika jednak, że w roku 1942 trybunał osądził 2572 osoby, z których na śmierć skazano 1192, uwolniono 107, 495 przekazano do gestapo. Pozostali otrzymali kary przeważnie dożywotniego więzienia. Chociaż Freisler był przewodniczącym trybunału tylko dwa lata, działalność tej hitlerowskiej instancji nierozerwalnie związała się z jego nazwiskiem. To z wyrokiem wydanym przez Freislera poszli na rzeźnicki hak marszałek Witzleben, generałowie Stieff i Hase, hrabia Yorck von Wartenburg i setki innych związanych z zamachem 20 lipca. Freisler nie usiłował stwarzać pozorów obiektywnego sądzenia. Oskarżeni, skatowani w śledztwie nie mieli żadnej możności przedstawienia swej obrony. Freisler, którego histeryczne zgrywanie się mierziło nawet niektórych dygnitarzy hitlerowskich, nie dopuszczał nikogo do głosu. Przewodniczący trybunału tropił nie czyny oskarżonych, ale ich myśli. W napisanym przed straceniem liście do żony Helmut von Moltke powiedział, że umrze dokładnie za to, za co jest odpowiedzialny, a więc nie za jakiekolwiek działania czy spiski, ale za swoje myśli. Wyrok stwierdził, pisał Moltke, „że nie plany, nie przygotowania, ale duch jako taki musi być tępiony. Vivat Freisler!"

Freisler, doktor praw, adwokat, potem sędzia, związany z NSDAP od 1924 r. w niczym nie skupił na siebie uwagi współczesnych aż do wypłynięcia w Trybunale Ludowym. Od tej chwili utożsamił się ze złowieszczą instytucją w sposób tak doskonały, że niepodobna odtworzyć jego sylwetki inaczej jak poprzez dzieje trybunału. Zginął wskutek zbombardowania gmachu, gdzie urzędował, w lutym 1945 r. Łupem nalotu, poza Freislerem, padło również archiwum trybunału.

M. P.

SZKOLNICTWO PODZIEMNE W KRAKOWIE W LATACH 1939—1945

Tajne nauczanie w latach 1939—1945, podjęte w niezmiernie trudnych warunkach okupacyjnego terroru przez polskie nauczycielstwo, wniosło realny wkład w walkę narodu polskiego z hitleryzmem. Walka ta o uratowanie dla kultury polskiej tysięcy młodzieży pozbawionej możliwości jawnej nauki w szkole — kierowana przez dyspozycyjne ośrodki konspiracyjne — objęła wszystkie sfery społeczeństwa, uzyskała aprobatę i konkretną pomoc wszystkich ugrupowań społecznych, politycznych i wojskowych. W akcji tej udział wzięły również ówczesne organizacje zawodowe, młodzieżowe i wyznaniowe. Między innymi urzędy parafialne stały się ważną pozycją w ogólnonarodowych planach organizacji niepodległościowych, terenem spotkań ludzi zdolnych do wielkich poświęceń dla kraju.

Sytuacja młodzieży stawała się tragiczna. Groziło jej wyjałowienie umysłowe i demoralizacja. Wobec represji okupanta i zdewaluowania wartości życia ludzkiego, należało wszczepić młodzieży zasady, które umożliwiłyby jej przetrwanie bez wstrząsów i załamań moralnych. Dlatego też do pracy nad wykształceniem i wychowaniem ówczesnej młodzieży przystąpili nie tylko nauczyciele, ale również inteligencja z innych zawodów, działacze społeczni i polityczni, a także zakonnicy, zakonnice i księża, tworząc zrazu samorzutnie działające ośrodki tajnego nauczania w oparciu o istniejące przed wojną prywatne szkoły klasztorne.

Z zachowanych dokumentów — sprawozdań z pracy wychowawczo-szkoleniowej, z ocen egzaminacyjnych, protokołów weryfikacyjnych, odpisów świadectw dojrzałości, oryginalnych zapisków, wspomnień, pamiętników i relacji nauczycieli i uczniów, które tak skrzętnie zbiera i publikuje[1] Komisja Nauk Pedagogicznych Polskiej Akademii Nauk wyłania się powoli realny, chociaż jeszcze niezupełny obraz tej może najbardziej pozytywnej działalności polskiego ruchu oporu.

Tuż po zakończeniu działań wojennych we wrześniu 1939 r. nauczycielstwo rozpoczęło samorzutnie, w zależności od warunków personalnych i lokalowych wznawiać naukę we wszystkich szkołach powszechnych i średnich. Do otwarcia nowego roku szkolnego czyniły przygotowania również szkoły wyższe. Wojskowy Zarząd dla okupowanej Polski tolerował tę działalność. Sytuacja uległa jednak zmianie z dniem 26 października, gdy nad okupowanym terenem przejął władzę Zarząd Gene-

[1] „Roczniki Komisji Nauk Pedagogicznych" — *Materiały do dziejów oświaty w okresie okupacji hitlerowskiej (1939—1945) na terenie dystryktu krakowskiego*, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, w latach 1961—1968, t. 1—8.

ralnego Gubernatorstwa. Rozpoczęły się rządy gestapo. W całym kraju dokonano masowych aresztowań nauczycieli szkół powszechnych, średnich i wyższych. 6 listopada w Krakowie dokonano podstępnie masowego aresztowania profesorów i pracowników naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Równocześnie rozpoczęto systematyczne grabienie i niszczenie zbiorów i pomocy naukowych, bibliotek i muzeów. Losy polskiej szkoły, nauki i kultury znalazły się w wielkim niebezpieczeństwie.

Sprawami szkolnictwa zajął się Wydział Nauki, Wychowania i Wykształcenia Ludowego, przemieniony z dniem 16 marca 1940 r. na Wydział Główny Wiedzy i Nauki przy rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraj podzielono na okręgi, te zaś na powiaty, tworząc przy nich nadzór szkolny w postaci radców szkolnych, wiernie służących partii narodowo-socjalistycznej. Szkoły średnie i wyższe zlikwidowano, pozostawiając tylko szkoły powszechne bez nauki literatury polskiej, historii Polski i geografii. Dla szkolenia rzemieślników i robotników na potrzeby Wielkiej Rzeszy przeznaczono szkoły zawodowe I i II stopnia. W tych warunkach zdrowy instynkt narodu poruczył funkcję wychowania i wykształcenia młodego pokolenia, poza rodziną, tajnej szkole. Idea tajnego nauczania wzbudziła powszechny entuzjazm. Początkowo nauczanie samorzutne, niezorganizowane, prowadzone w małych zespołach pojedynczo lub grupowo, w najbliższym gronie rodzinnym, w szkołach, leśniczówkach, klasztorach, na plebaniach, a nawet na strychach kościelnych, w gabinetach lekarzy, dentystów, adwokatów, także w chłopskich chatach i rzemieślniczych domkach na przedmieściach miast i miasteczek przemieniło się wkrótce, w wyniku działań dyrektyw ośrodków dyspozycyjnych w nauczanie zorganizowane.

Pierwsze ośrodki dyspozycyjne w okupowanym kraju o znaczeniu ogólnopolskim powstały w Warszawie jesienią 1939 r. Były to: Międzystowarzyszeniowa Komisja Porozumiewawcza Organizacji i Stowarzyszeń Nauczycielskich, w której Związek Nauczycielstwa Polskiego reprezentowali przedstawiciele Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON) — Teofil Wojeński i Czesław Wycech, Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych — Tadeusz Mikułowski, Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowe Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — M. Siciński, Stowarzyszenie Dyrektorów Szkół Prywatnych — T. Wojeński, Stowarzyszenie Nauczycieli Szkół Zawodowych — K. Wróblewski oraz Komisja Oświecenia Publicznego zorganizowana przez byłych pracowników administracji szkolnej pod kierownictwem b. wiceministra Oświaty i Wyznań Religijnych — Kazimierza Pierackiego, a będąca pod bezpośrednim wpływem konspiracyjnej organizacji wojskowej Służby Zwycięstwu Polski, późniejszej ZWZ (AK) [2]. Związek Walki Zbrojnej wychodził z założenia, że w okre-

---

2 Czesław Wycech: *Z dziejów tajnej oświaty w latach okupacji 1939—1944*, Warszawa 1964, s. 12—13.

sie walki wyzwoleńczej wszystkie siły narodu winny się podporządkować podziemnym władzom wojskowym. Armia podziemna szkoląc kadry oficerskie i podoficerskie potrzebowała wykształconej młodzieży. Stąd też Komenda Główna ZWZ/AK przekazała do dyspozycji kierownictwa tajnego nauczania kadry nauczycielskie, nakazując dowódcom terenowym już na szczeblu placówek-kompanii i batalionów organizować zespoły tajnego nauczania. Państwowe Komisje egzaminacyjne składające się z nauczycieli szkół średnich i profesorów szkół wyższych, miały kierować tajnym nauczaniem i przeprowadzać egzaminy sprawdzające i końcowe. Wybitną rolę w wypełnianiu tych zadań odegrała służba duszpasterska [3], zorganizowana w ramach Związku Walki Zbrojnej, późniejszej Armii Krajowej. Jej kapelani, działający przy każdym szczeblu dowodzenia począwszy od placówki w górę, posiadali ogromny wpływ na żołnierzy konspiracji, na urabianie ich charakterów i mentalności. Niezależnie od niesienia pociech religijnych spełniali oni wiele czynności organizacyjnych, szkoleniowych i wychowawczych, brali udział w tajnych zespołach nauczania i komisjach egzaminacyjnych.

Kierownikiem tajnego nauczania z polecenia Komisji Oświecenia Publicznego w okręgu krakowskim, obejmującym również część województwa kieleckiego, ale bez powiatów obecnego województwa rzeszowskiego, został dr Włodzimierz Gałecki, były naczelnik wydziału szkół średnich w kuratorium krakowskim [4]. Do pomocy w uruchomieniu tej akcji powołano jako czynnik społeczny Komisję Międzystowarzyszeniową spośród znanych działaczy krakowskich, w skład której weszli: rektor tajnego Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Wł. Szafer, przedstawiciel Związku Nauczycielstwa Polskiego — Władysław Sieńko, a później Bronisław Chrzan, przedstawiciel Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych — Julian Waga, ze strony Stowarzyszenia Dyrektorów Szkół Średnich Państwowych a zarazem jako przedstawiciel szkolnictwa zawodowego — Edward Kostecki, ze strony byłej administracji szkolnej — dr Włodzimierz Gałecki i jako reprezentanci chrześcijańskiego Stowarzyszenia Nauczycielstwa — St. Watycha, a po jego aresztowaniu i straceniu za sprawy związane z AK, b. inspek-

[3] Z polecenia biskupa polowego ks. J. Gawliny została zorganizowana w kraju podziemna kuria wojskowa z ks. płk. Tadeuszem Jachimowskim na czele. W skład jej wchodzili: ks. Józef Sienkiewicz, ks. Wacław Kotowicz i ks. Stefan Kowalczyk, ps. „Biblia", naczelny kapelan podziemnej Warszawy, mianując swych przedstawicieli w diecezjach i okręgowych sztabach organizacji wojskowych (ks. R. Mieliński i ks. M. Jankowski w Poznańskiem, ks. St. Małek w województwie warszawskim, ks. W. Pączek i ks. Jagła na Pomorzu, ks. P. Rynkiewicz — na terenach wschodnich, ks. Abramowicz i ks. Cz. Bruliński na terenach północnych, ks. Niezgoda i ks. J. Zator Przytocki na terenach południowych, ks. B. Kominek na Śląsku.

[4] Włodzimierz Gałecki: *Oświata w latach okupacji, „Materiały do dziejów oświaty w okresie okupacji hitlerowskiej"*, PAN, 1961, t. I.

tor szkolny Wł. Zdek. W skład okręgowego kierownictwa tajnego nauczania weszli byli pracownicy kuratorium krakowskiego, wizytatorzy — dr Maria Chrzanowska, Władysław Kabaciński, Stanisław Komar, Stanisław Skalski, nauczycielki szkół średnich jako łączniczki — Zofia Krygowska i Maria Golkówna, a później po powrocie z więzień — Władysław Bryda i lektor UJ Vilim Frančič. Zespół ten zdołał już w latach 1939—1941 pozyskać dużo współpracowników i zorganizować szkolnictwo tajne również poza Krakowem, docierając do najbardziej oddalonych miasteczek i wsi okręgu szkolnego. Komisja Oświecenia Publicznego działając w ramach tworzącej się przy Związku Walki Zbrojnej zastępczej administracji wojskowej, przy której to organizacji położył olbrzymie zasługi płk Ludwik Muzyczka, zapuściła głęboko swe korzenie organizacyjne w masach żołnierskich ZWZ, a później Armii Krajowej, zwłaszcza na terenie obecnego województwa rzeszowskiego, kieleckiego, lubelskiego, warszawskiego, białostockiego, a także wileńskiego i nowogrodzkiego. W Rzeszowskiem duże rezultaty w tajnym nauczaniu osiągnęła w latach 1939—1943 grupa nauczycielska ZWZ/AK działająca w ramach Państwowej Komisji Egzaminacyjnej „Kuźnica" pod kierownictwem prof. Gabriela Brzęka, ps. „Dewajtis", której dorobkiem było przeprowadzenie 75 sesji egzaminacyjnych z udziałem kilkuset uczniów [5]. W powiecie przeworskim z polecenia AK tajne nauczanie prowadził ks. Józef Stefański, w powiecie jarosławskim prof. Stanisław Kopystyński, a w powiatach sanockim i krośnieńskim ks. Erazm Skórnicki i o. Michał Tomkiewicz — kapucyn. Po lewej i po prawej strony Wisły, w powiatach mieleckim, tarnowskim, brzeskim, niskim, sandomierskim od października 1939 r. działająca tu grupa konspiracyjna Władysława Jasińskiego „Jędrusie", na bazie współpracy ze Związkiem Walki Zbrojnej organizowała dla swych członków tajne szkolenie poddane nadzorowi byłego wizytatora Wł. Kabacińskiego [6]. Na niektórych terenach organizacja tajnego nauczania tak mocno zrosła się z działalnością wojskową, że mimo przejęcia spraw oświatowych przez delegaturę Rządu, długo jeszcze, bo do końca 1943 r., tajne szkolnictwo średnie prowadziły Związki Tajnego Nauczania poprzez Państwowe Komisje Egzaminacyjne, utworzone jeszcze w ramach działalności Komisji Oświecenia Publicznego.

Już w lipcu 1940 r. Komisja Oświecenia Publicznego poniosła ciężką

---

5 W skład komisji egzaminacyjnej wchodzili: mgr Ludwik Bałda — „Wojtek", inż. Stanisław Jacheć — „Jarosław", mgr Stefan Kwiatkowski — „Gryf", ks. Michał Pilipiec — „Ski", mgr Stanisław Nyrkowski — „Korczak", inż. Władysław Zieliński, dr Kazimierz Kubik — „Wolski", mgr Stanisław Lachman — Nowakowski — „Zan", mgr Józef Kozdraś „Srebrzyk", mgr Maria Lachman, mgr Antoni Lęczner — „Sielawa", dr Zofia Kalinowska, mgr Janina Brzękowa, mgr Zygmunt Bednarz i wielu innych. Por. Ludwik Kubik: *Pedagogiczna akcja „Kuźnicy"*, „Tygodnik Powszechny", nr 17/692.

6 Eugeniusz Dąbrowski: *Szlakiem Jędrusiów*, wyd. Inst. Wyd. Pax, 1966.

stratę. Został aresztowany Kazimierz Pieracki. Mimo tortur, jakim został poddany na gestapo, nie zdradził nikogo ze swych współpracowników. Zginął w Oświęcimiu. Na jego miejsce, na stanowisko kierownika Komisji Oświecenia Publicznego, mianowano Tadeusza Kupczyńskiego, b. kuratora szkolnego i dyrektora Instytutu Nauczycielskiego. Pod koniec lata 1940 r. powołano do życia nowy ośrodek dyspozycyjny pod nazwą Delegatury Rządu i po porozumieniu się z Komendą Główną Armii Krajowej wszystkie agendy Komisji Oświecenia Publicznego miały zostać przekazane, z zachowaniem wszelkich zasad konspiracji, nowym władzom oświatowym, tj. Departamentowi Oświaty i Kultury, którego kierownikiem został działacz Związku Nauczycielstwa Polskiego i Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON) Czesław Wycech, a jego zastępcami: Antoni Czekalski ze Stronnictwa Narodowego i Stanisław Tazbir, socjalista. Departament Oświaty, poprzez Delegaturę Rządu, podlegał resortowi Oświaty w rządzie londyńskim, na którego czele stał ks. prałat Zygmunt Kaczyński, były dyrektor Katolickiej Agencji Prasowej.

Na miejscu dawnych kuratoriów szkolnych powstały okręgowe organizacje oświaty i wychowania z Okręgowymi Biurami Szkolnymi, jako komórkami koordynującymi całość prac oświatowych, a w powiatach i gminach Powiatowe i Gminne Komisje Oświaty i Kultury. Kierownikiem warszawskiego okręgu oświaty na Warszawę został dotychczasowy kierownik Komisji Oświecenia Publicznego (KOP) Tadeusz Kupczyński, a na województwo — Antoni Konewka. Działacze KOP podporządkowali się terenowym komórkom Departamentu. Przez pewien czas odrębność i samodzielność działania wykazywało Biuro Oświatowo-Szkolne Ziem Zachodnich z siedzibą w Warszawie, działające wśród ludności wysiedlonej z Pomorza, Śląska i Poznańskiego i utrzymujące ścisłe kontakty organizacyjne z terenami włączonymi do Rzeszy, pod kierownictwem ks. prof. Maksymiliana Rodego (ps. Mariańczyk). Był on pierwszym dyrektorem departamentu Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Ziemie Zachodnie i współtwórcą Tajnego Uniwersytetu Ziem Zachodnich [7]. Wokół Biura Ziem Zachodnich skupiło się wielu księży i działaczy oświatowych, członków i sympatyków Stronnictwa Narodowego. Od 12 grudnia 1942 r. Biuro to zostało włączone do Departamentu Oświaty i Kultury [8], a z dniem 12 marca 1943 r. kierownictwo nad Biurem objął prof. Michał Pollak, sprawując nadzór nad czterema obwodami szkolnymi: w Warszawie, Krakowie, Lublinie i Częstochowie.

Kierownikiem okręgu kieleckiego z ramienia Departamentu Oświaty i Kultury był Stanisław Podrygałło, lubelskiego Władysław Odroń, łódz-

---

[7] Władysław Kowalenko: *Tajny Uniwersytet Ziem Zachodnich — Uniwersytet Poznański* 1940—1945, wyd. Instytutu Zachodniego, Poznań 1961 r.

[8] Michał Pollak: *Działalność Biura Szkolnego Ziem Zachodnich w czasie okupacji hitlerowskiej (Studia i materiały do dziejów Wielkopolski i Pomorza*, t. IV, zeszyt 2-1958 r.).

kiego — Zygmunt Lorenz a po jego aresztowaniu i straceniu — Mieczysław Żukowski, białostockiego — Maria Kolenda, a później Antoni Ziemba, katowickiego — Kazimierz Popiołek, poznańskiego — Władysław Sperczyński, pomorskiego — Zygmunt Szulczyński. Od czerwca 1941 roku departament Oświaty i Kultury objął działalnością oświatową również ziemie wschodnie. Duże zasługi na polu tajnej oświaty położyli: na Wileńszczyźnie prof. Ludwik Chmaj, Stanisław Lisowski i Jan Krawiec, we Lwowie Stefan Balicki i Henryk Dankowski, na Polesiu Władysław Szopa, a na Wołyniu Rudolf Chróściel.

Kierownikiem Krakowskiego Biura Szkolnego został Jan Smoleń, były nauczyciel gimnazjum polskiego w Opolu, mając do pomocy dwóch referentów organizacyjnych — mgr Ignacego Jakubca, nauczyciela szkół krakowskich, i Karola Ziarno, byłego inspektora szkolnego w Brodnicy, pełniącego zarazem funkcję zastępcy kierownika Biura Szkolnego. Przez pewien czas, do czerwca 1941 r., funkcje referenta organizacyjnego Biura sprawował mgr Bronisław Chrzan. W skład Biura Szkolnego wszedł kierownik rozwiązanej krakowskiej delegatury KOP Włodzimierz Gałecki w charakterze referenta do spraw szkolnictwa średniego ogólnokształcącego. Poszczególne referaty pedagogiczne prowadzili: Karol Starmach, Adolf Molak, Piotr Adamski, Jan Masior, Henryk Rowid i inni. Po długich sporach i dyskusjach utrzymano nadal dotychczasową Komisję Międzystowarzyszeniową z prof. Wł. Szaferem jako przewodniczącym. Sprawowała ona wyjątkowo, ze względu na jej wielkie dotychczasowe osiągnięcia w tajnym nauczaniu, funkcje Miejskiej Komisji Oświaty i Kultury. Jej przewodniczący — Bronisław Chrzan wchodził z urzędu w skład Komisji Międzystowarzyszeniowej [9]. Komisja ta, zarówno w Krakowie jak na prowincji współdziałała intensywnie z Zarządem Okręgowym Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych, którym po aresztowaniu prof. Skiminy — kierowali dyr. Julian Waga i dr Józef Zieliński.

Po tak gruntownej reorganizacji praca w tajnym szkolnictwie nabrała niezwykłego rozpędu. Cechowało ją ogromne poświęcenie grona nauczycielskiego, wykazującego głęboką troskę o przyszłość narodu. Nie było tu czasu na ideologiczne spory. W szarej i żmudnej, pełnej niebezpieczeństwa działalności dla dobra konspiracyjnej szkoły wyrastał ponad wszystko jeden cel: wychowania i zachowania dla Polski jak najwięcej ludzi prawych, wykształconych, oddanych sprawie polskiej, którzy by stanowili nową kadrę na miejsca tych, co padli w walce o niepodległość na polach bitew, co zginęli w więzieniach lub obozach, podczas pacyfikacji. Za wszelką cenę należało powstrzymać celowo organizowany

9 Bronisław Chrzan: *Tajne władze oświatowe w Krakowie w latach okupacji hitlerowskiej 1939—1945*, „Rocznik Komisji Nauk Pedagogicznych", t. 8.

przez hitlerowców kulturalny regres, mający przekształcić Polaków w naród parobków.

Gdy w dołach organizacyjnych trwała codzienna uparta praca oświatowa, na centralnych szczeblach konspiracji wstrząsały podziemiem sporadyczne spory polityczne i ideologiczne, w których poczesne miejsce stanowiły problemy wychowania i tajnej szkoły. W departamencie Oświaty i Kultury Delegatury Rządu uzyskali wpływy działacze Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, którym grupy prawicowe „Szańca", wywodzące się z dawnego Obozu Narodowo-Radykalnego, a tworzące część Narodowych Sił Zbrojnych zarzucały radykalizm społeczny, postulując oparcie nauki, wykształcenia i wychowania na zasadach chrześcijańskich [10]. Grupa pedagogów skupiająca się wokół Stronnictwa Narodowego [11] zarzucała kierownictwu departamentu Oświaty i Kultury szerzenie w dziedzinie oświaty ideologii ateistyczno-materialistycznej. Front Odrodzenia Polski — organizacja katolicko-społeczna, lansował w swej broszurze okupacyjnej „Dokąd idziemy?" oparcie wychowania i nauczania na zasadach światopoglądu katolickiego, podczas gdy Ruch Ludowy w swej deklaracji ideowo-politycznej opowiadał się za zupełnym ześwieccczeniem szkoły. Mimo to ówczesna delegatura Rządu wspomagała wszystkimi siłami akcję oświatową. W niezmiernie trudnych warunkach tajności i terroru okupanta przyciągała do współpracy na tym polu działania szerokie kręgi środowiskowe, tworząc nawet specjalne organizacje społeczne przy Komitecie Walki Cywilnej, m. in. „Komisję Młodzieżową", „Komisję Kobiet" i „Komisję Duchownych". Tajne nauczanie rozwijało się w różnych kierunkach i polegało na: dokształcaniu młodzieży w szkołach podstawowych w zakresie przedwojennych programów w przedmiotach zakazanych przez okupanta, tj. historii, geografii, języku polskim i śpiewie, organizowaniu i prowadzeniu nauki w kompletach na poziomie gimnazjum i liceum oraz przeprowadzaniu egzaminów; dokształcaniu uczniów szkół zawodowych, dozwolonych przez okupanta, w zakresie przedmiotów ogólnokształcących według programów szkół średnich; udzielaniu lekcji indywidualnych; dokształcaniu nauczycieli na poziomie wyższych kursów pedagogicznych; organizowaniu nauki na szczeblu szkół wyższych; prowadzeniu oświaty dla dorosłych; dostarczaniu pomocy naukowych, zwłaszcza podręczników i skryptów; kierowaniu młodzieży szkół średnich na tajne wyższe uczelnie [12], wreszcie na tworzeniu dla grup tajnego nauczania jak najlepszych warunków bezpieczeństwa.

---

10 „Przegląd Spraw Kultury" nr 4 z 1943 r. (pismo konspiracyjne).

11 „Kultura Polska", nr 1—4.

12 Tajny Uniwersytet Jagielloński kierowany przez rektora prof. dr Władysława Szafera posiadał czynny wydział prawa (St. Kutrzeba), farmacji (St. Skowron i T. Marchlewski), medycyny (St. Maziarski), filozofii (St. Pigoń, J. Dąbrowski, S. Zakrzewski, L. Piotrowicz) i teologii (ks. Glemma).

Kraków zajęty został przez wojska niemieckie 5 września. Jeszcze trwały działania wojenne, a już 9 września z inicjatywy rektora UJ, prof. dr Tadeusza Lehr-Spławińskiego została utworzona na pół jawna społeczna Tymczasowa Komisja Szkolna dla uruchomienia szkół krakowskich. Wprawdzie przy końcu września prawie wszystkie szkoły rozpoczęły naukę, ale na skutek aresztowań nauczycieli w dniu 9 listopada i faktycznego zakazu ze strony okupanta prowadzenia szkolnictwa średniego, z dniem 21 listopada 1939 r. Tymczasowa Komisja Szkolna przestała istnieć. Równocześnie nauczanie w średnich szkołach Krakowa zeszło w podziemie. W mieście klasztorów i kościołów, właśnie klasztory, zgromadzenia zakonne i księża rzucają hasła rozpoczęcia tajnego nauczania, w oparciu o szkoły przyklasztorne. Aktywy nauczycielskie szkół państwowych i prywatnych rozpoczynają regularne nauczanie młodzieży w domach prywatnych. Z czasem na terenie Krakowa i najbliższej okolicy powstanie 18 zarejestrowanych konspiracyjnych ośrodków tajnego nauczania, w których zostanie wydane 1679 świadectw dojrzałości, 1114 świadectw ukończenia 4-klasowego gimnazjum i 1187 zaświadczeń z klas I, II i III gimnazjalnej [13]. Niezależnie od pracy oświatowej na terenie Krakowa [14], również na prowincji, na terenie tzw. dystryktu krakowskiego, obejmującego mniej więcej tereny dzisiejszego województwa krakowskiego i rzeszowskiego, tajne nauczanie zostało zorganizowane w 29 powiatach, w tym również na terenach przyłączonych do Rzeszy.

Krakowski ośrodek tajnego nauczania nr 1 zorganizowano na bazie Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego ss. Urszulanek. Od 1939 r. aż do 1945 funkcje dyrektorki tego ośrodka spełniała s. Benigna Suchoń. Na skutek znacznego rozrostu kompletów szkolnych w r. 1943 kierownictwo nad kompletami odbywającymi naukę poza siedzibą zakładu przejęła Zofia Rymar. Na naukę przyjmowano bezinteresownie uczennice niezamożne i wysiedlone z terenu Śląska i Poznańskiego. Na 866 uczennic małą maturę uzyskało 74, a świadectwa dojrzałości 60 uczennic.

Ośrodek nr 2 powstał w prywatnym Gimnazjum i Liceum Żeńskim im. H. Kaplińskiej. Decyzję o przejściu szkoły na system nauki tajnej podjęło grono nauczycielskie jednomyślnie w dniu 21 listopada 1939 r. Nauka odbywała się w mieszkaniach nauczycieli i niektórych rodziców w różnych punktach miasta. Z nauki korzystało około 2027 uczniów, a uczyło około 50 nauczycieli, w tym byli wizytatorzy szkolni, Maria Chrzanowska i Władysław Horbacki, czterech księży — Antoni Żurek, Eugeniusz Król, Piotr Bober i Jan Mazanek — pod kierownictwem

13 Maria Chrzanowska: *Polskie szkolnictwo średnie ogólnokształcące w latach wojny 1939—1945*, „Rocznik Komisji Nauk Pedagogicznych", t. 8.

14 Julian Waga: *Szkolnictwo Miasta Krakowa w latach okupacji niemieckiej 1939—1945*, „Rocznik Krakowski", t. XXXI, Kraków 1947—1957.

Haliny Trąmpczyńskiej. Ośrodkiem nr 3 kierowała do marca 1941 r. dyrektorka X Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Król. Wandy — Józefa Berggruen, a później Kazimiera Szafrańska i Wanda Herstal. Początkowo, wskutek zajęcia szkoły przez wojsko niemieckie, lekcje odbywały się w gmachu Uniwersytetu, a po zamknięciu gmachu, w domach prywatnych w Dębnikach, Podgórzu, Bronowicach i Osiedlu Oficerskim. Na komplety uczęszczały również uczennice Żydówki. Ogółem uczyło 69 nauczycieli, egzaminy dojrzałości zdało 160 uczennic. Ruchliwy ośrodek tajnego nauczania nr 4 powstał na bazie prywatnego Gimnazjum i Liceum Żeńskiego Instytutu Marii przy ul. Pędzichów 16, pod opieką ss. Córek Miłości Bożej. Dyrektorem tego ośrodka była Maria Stanochowa, a grono nauczycielskie liczące w 1940 r. 10 osób, powiększyło się z czasem do 64 osób. Pracowali tu nauczyciele szkół powszechnych, szkół średnich, profesorowie i docenci szkół wyższych, m. in. doc. dr Kazimierz Piwarski, dr Tadeusz Strumiłło, dr Tadeusz Lityński, dr Franciszek Bielak, doc. dr Józef Szaflarski i księża: Stanisław Dąbrowski, Kazimierz Bochenek, Józef Rozwadowski i Juliusz Turowicz. Wydano 108 świadectw ukończenia gimnazjum, 103 świadectwa dojrzałości i 7 dyplomów Pedagogium. Instytut Marii prowadził również jawną szkołę powszechną, której kierowniczką była Aniela Barteczko. Wszyscy nauczyciele tej szkoły realizowali konspiracyjnie pełny program przedwojennej szkoły. Dużym powodzeniem cieszyła się w ośrodku sekcja kulturalno-artystyczna, a jej kierownikiem był późniejszy dyrektor Teatru Rapsodycznego Kotlarczyk. Ośrodek nr 5 powstał w Gimnazjum i Liceum św. Rodziny przy ulicy Pędzichów 13. W szkole pracowało 15 nauczycieli pod kierownictwem dyrektorki Marii Kuklewicz. Po przerwaniu przez okupanta nauki, młodzież od listopada 1939 r. uczyła się na kompletach, a od marca 1940 do lutego 1941 r. w powstałej w zakładzie Szkole Zawodowej Żeńskiej. Pod pozorem uczenia przedmiotów zawodowych przerabiano pełny kurs gimnazjalny. Po likwidacji szkoły zawodowej nauczanie odbywało się tylko na kompletach w najróżnorodniejszych lokalach, w tym również w klasztorze ss. Norbertanek i na Skałce. Ogólnie w 70 zespołach uczyło się 501 uczennic.

Przy Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Mickiewicza utworzono ośrodek nr 6. Pierwsze komplety organizowały w grudniu 1939 r. nauczycielki: Zofia Rymar i Wanda Czarkowska. Część uczennic przeszła po rozwiązaniu szkoły do Liceum Pedagogicznego i Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkoli, gdzie przerabiały pełny program gimnazjalny i licealny. Od lutego 1940 roku władze zezwoliły na otwarcie w szkole kursów przygotowywawczych do szkół zawodowych wyższego stopnia, na których przerabiano również program gimnazjalny. Po likwidacji kursów w czerwcu 1942 r. nauczanie odbywało się tylko w ramach kompletów koedukacyjnych. Oprócz dyrektorki Marii Dobrowolskiej uczyło 47 nauczycieli.

Juliana Szymańskiego, Edwarda Szlamki, Władysława Michalskiego i Jaremskiego przeprowadziła w ciągu lat 1939—1945 na terenie Krakowa 123 egzaminy eksternistyczne z zakresu małej i dużej matury, a ponadto dyrektor Romanowicz z polecenia Krakowskiego Biura Szkolnego brał udział w licznych egzaminach dojrzałości (w charakterze przewodniczącego komisji egzaminacyjnych i delegata Biura), przeprowadzanych na terenie Przeworska, Przemyśla, Jarosławia i Łańcuta. Zespół nauczycielski ośrodka nr 15 składał się z 18 ludzi, z udziałem ks. Jana Mazanka, który swą działalność w tajnym szkolnictwie przypłacił pobytem w obozie oświęcimskim. Ośrodek nr 16 powstał w 1944 r. i miał powiązania z jawną Szkołą Handlową, której dyrektorem był Tadeusz Wroniewicz. Ośrodek ten realizował programy przedwojennego Liceum Administracyjnego. Niemcy pozostawili w Krakowie wiele szkół zawodowych stopnia wyższego, do których masowo uczęszczała młodzież zlikwidowanych szkół średnich ogólnokształcących. Szkoły te przy umiejętnym zorganizowaniu pracy przez polskich nauczycieli przemycały młodzieży wiadomości z przedmiotów humanistycznych, pogłębiając w ten sposób ogólny poziom wykształcenia uczniów. Szczególnie wiele korzyści przyniosły krakowskiej młodzieży otwarte przez władze niemieckie we wrześniu 1940 r. tzw. Kursy Przygotowawcze do Szkół Zawodowych, gdzie przerabiano programy w zakresie czteroletniego gimnazjum ogólnokształcącego. Dyrektorem tych kursów był początkowo Leon Kornaś, następnie ukrainiec Lewitzky i Niemiec Bojcun, a później aż do likwidacji ich w czerwcu 1942 r. Vilim Frančič. Ośrodek nr 17 został zorganizowany przez Biuro Oświatowe Szkolne Ziem Zachodnich dla młodzieży przesiedlonej z terenów zachodnich. Placówki tego Biura istniały na terenie różnych miast. W Krakowie, ośrodkiem tym kierował od 1940 r. dyrektor Marian Antoniak, mając do pomocy 19 nauczycieli, w tym dwóch księży, ks. Kazimierza Burzyńskiego i ks. Stanisława Dąbrowskiego. Z ośrodków prowincjonalnych najprężniejszym był zespół nauczycieli XX Jezuitów w Starej Wsi pod Brzozowem, którym kierował ks. Stefan Weidel [15].

Oprócz ośrodków tajnego nauczania, zarejestrowanych w Okręgowym Biurze Szkolnym, istniało na terenie Krakowa wiele „prywatnych" punktów nauczania, których uczniowie po przerobieniu odpowiedniego materiału szkolnego poddawali się egzaminom na prawach eksternów. Takie punkty nauczania prowadziły ss. prezentki przy ul. św. Jana z kierowniczką Stanisławą Matjasik i siostrami — Magdaleną Skalską, Weroniką Zacharą, Marią Nuper, Kornelią Ledigą, ss. klaryski przy

[15] Grono nauczycieli ze Starej Wsi: ks. Władysław Błaszczyk, ks. Ignacy Turek, ks. Włodzimierz Kawiński, ks. Henryk Poczobót, ks. Władysław Danieluk, ks. Wrzeciono, ks. Tomasz Łącz, ks. Stanisław Krzyżanowski, mgr Maria Kuzio, mgr Antonów, ks. Ignacy Kociak, ks. Stanisław Kuźnar, ks. Franciszek Sąsiadek. Nadzór szkolny z ramienia Okręgowego Biura Szkolnego sprawował Ignacy Stein.

Ośrodek nr 7 powstał 1 września 1940 roku z inicjatywy nauczycieli XI Państwowego Gimnazjum im. J. Joteyko. Uczyło 40 nauczycieli pod kierunkiem dyrektorki Ośrodka Zofii Przybylskiej.

Ośrodkiem nr 8 powstałym na bazie Państw. Gimnazjum im. Nowodworskiego w r. 1940 kierował dyrektor Kazimierz Lewicki. Dla Bronowic, Woli Justowskiej, Przegorzał i Kostrza nauczyciel Leon Kornaś zorganizował tajne nauczanie w zakresie programu klasy I i II gimnazjalnej. Ośrodek ten, określony jako nr 9, powstał 1 października 1944 r. W trzech zespołach uczyło się 23 uczennic i uczniów przy udziale 12 nauczycieli. Ośrodek nr 11 stworzony został przez nauczycieli szkół powszechnych w 12-tu rejonach Krakowa dla dzieci proletariatu. Powstał on z inspiracji inspektora szkolnego na miasto Kraków dr Mariana Cichockiego, który zalecał nauczycielstwu uzupełniać okupacyjny program szkolny nauką języka polskiego, historii i geografii. W zakresie programu gimnazjalnego zorganizowano 110 kompletów z 654 uczniami, natomiast w zakresie programu klas V—VII szkoły powszechnej zarejestrowano w Miejskiej Komisji Oświaty i Kultury 410 kompletów, na których uczyło się potajemnie 2052 dzieci. Kierownikami tego ośrodka byli Bronisław Chrzan i Józef Wolski. Ośrodek nr 12 pod kierownictwem b. dyrektora Pryw. Gimnazjum i Liceum im. H. Kołłątaja przeprowadził w latach 1940—1945 egzaminy dojrzałości dla 45 uczniów.

W Państwowym Gimnazjum i Liceum II Męskim im. św. Jacka zorganizowano 13 ośrodek tajnego nauczania. Pierwsze komplety stworzono tuż po zamknięciu szkoły w listopadzie 1939 r. i uczono w nich do czerwca 1940 r. Po krótkiej przerwie, naukę rozpoczęto we wrześniu 1941 r. i prowadzono aż do 1945 r. Wszystkich uczniów było 313, z tego 41 zdało egzamin dojrzałości, a 28 uzyskało małą maturę. Uczyło 28 nauczycieli, w tym ks. Józef Zator Przytocki, kapelan krakowskiego okręgu AK, pod dyrekcją Romana Jabłońskiego. W ośrodku nr 14 prowadzonym przez grono nauczycielskie z Liceum im. S. Münnichowej pod dyrekcją Izy Sowińskiej, egzamin dojrzałości uzyskało 50 uczniów, a małą maturę 52 uczniów. Ośrodek nr 15 został utworzony przy Prywatnym Gimnazjum oo. Pijarów przez dyrektora Alfreda Romanowicza, w zakonspirowanym lokalu Zgromadzenia Księży Zmartwychwstańców przy ulicy Łobzowskiej 10. Tam też ks. dr Jan Reinke przy pomocy kilku księży i nauczycieli (m. in. Ludwik Skoczylas, Bolesław Szybowski, Kazimierz Fijoł) prowadził tajne nauczanie w zakresie szkoły średniej dla kilku kleryków, członków zgromadzenia. Niezależnie od prowadzenia grup tajnego nauczania w Krakowie, dyrektor Romanowicz współdziałał przy utworzeniu i prowadzeniu punktu tajnego nauczania w Rabie Wyżnej w majątku rolnym Kazimierza i Wandy Głowińskich, gdzie naukę pobierało 63 uczniów, oraz zespołu tajnego nauczania dla kandydatów do zakonu oo. Sercanów w Płaszowie. Komisja egzaminacyjna pod przewodnictwem Romanowicza z udziałem Władysława Matydy,

Juliana Szymańskiego, Edwarda Szlamki, Władysława Michalskiego i Jaremskiego przeprowadziła w ciągu lat 1939—1945 na terenie Krakowa 123 egzaminy eksternistyczne z zakresu małej i dużej matury, a ponadto dyrektor Romanowicz z polecenia Krakowskiego Biura Szkolnego brał udział w licznych egzaminach dojrzałości (w charakterze przewodniczącego komisji egzaminacyjnych i delegata Biura), przeprowadzanych na terenie Przeworska, Przemyśla, Jarosławia i Łańcuta. Zespół nauczycielski ośrodka nr 15 składał się z 18 ludzi, z udziałem ks. Jana Mazanka, który swą działalność w tajnym szkolnictwie przypłacił pobytem w obozie oświęcimskim. Ośrodek nr 16 powstał w 1944 r. i miał powiązania z jawną Szkołą Handlową, której dyrektorem był Tadeusz Wroniewicz. Ośrodek ten realizował programy przedwojennego Liceum Administracyjnego. Niemcy pozostawili w Krakowie wiele szkół zawodowych stopnia wyższego, do których masowo uczęszczała młodzież zlikwidowanych szkół średnich ogólnokształcących. Szkoły te przy umiejętnym zorganizowaniu pracy przez polskich nauczycieli przemycały młodzieży wiadomości z przedmiotów humanistycznych, pogłębiając w ten sposób ogólny poziom wykształcenia uczniów. Szczególnie wiele korzyści przyniosły krakowskiej młodzieży otwarte przez władze niemieckie we wrześniu 1940 r. tzw. Kursy Przygotowawcze do Szkół Zawodowych, gdzie przerabiano programy w zakresie czteroletniego gimnazjum ogólnokształcącego. Dyrektorem tych kursów był początkowo Leon Kornaś, następnie ukrainiec Lewitzky i Niemiec Bojcun, a później aż do likwidacji ich w czerwcu 1942 r. Vilim Frančič. Ośrodek nr 17 został zorganizowany przez Biuro Oświatowe Szkolne Ziem Zachodnich dla młodzieży przesiedlonej z terenów zachodnich. Placówki tego Biura istniały na terenie różnych miast. W Krakowie, ośrodkiem tym kierował od 1940 r. dyrektor Marian Antoniak, mając do pomocy 19 nauczycieli, w tym dwóch księży, ks. Kazimierza Burzyńskiego i ks. Stanisława Dąbrowskiego. Z ośrodków prowincjonalnych najprężniejszym był zespół nauczycieli XX Jezuitów w Starej Wsi pod Brzozowem, którym kierował ks. Stefan Weidel [15].

Oprócz ośrodków tajnego nauczania, zarejestrowanych w Okręgowym Biurze Szkolnym, istniało na terenie Krakowa wiele „prywatnych" punktów nauczania, których uczniowie po przerobieniu odpowiedniego materiału szkolnego poddawali się egzaminom na prawach eksternów. Takie punkty nauczania prowadziły ss. prezentki przy ul. św. Jana z kierowniczką Stanisławą Matjasik i siostrami — Magdaleną Skalską, Weroniką Zacharą, Marią Nuper, Kornelią Ledigą, ss. klaryski przy

[15] Grono nauczycieli ze Starej Wsi: ks. Władysław Błaszczyk, ks. Ignacy Turek, ks. Włodzimierz Kawiński, ks. Henryk Poczobót, ks. Władysław Danieluk, ks. Wrzeciono, ks. Tomasz Łącz, ks. Stanisław Krzyżanowski, mgr Maria Kuzio, mgr Antonów, ks. Ignacy Kociak, ks. Stanisław Kuźnar, ks. Franciszek Sąsiadek. Nadzór szkolny z ramienia Okręgowego Biura Szkolnego sprawował Ignacy Stein.

kościele św. Andrzeja (kierowniczka—s. Jadwiga Kosińska), ss. augustianki (kierowniczka — Antonina Bojarska), ss. norbertanki (kierowniczka—s.K. Różycka). Posiadając własne lokale szkolne i stwarzając legalne pozory kontaktowania się z młodzieżą w kościołach i kaplicach przyklasztornych, przy utrudnionym dostępie obcym za klauzurę zapewniały swoim wychowankom idealne, jak na czas okupacji, warunki nauki.

Niektóre komplety prowadzone prywatnie przyłączyły się z czasem do zarejestrowanych ośrodków większych. Takim właśnie był komplet nauczyciela Józefa Staśki, zorganizowany w 1940 r. i zarejestrowany w 1943 jako ośrodek tajnego nauczania nr 10.

Również w krakowskim getcie, po rozwiązaniu w dniu 11 grudnia 1939 r. przez władze okupacyjne szkół żydowskich i po usunięciu wszystkich Żydów, tak nauczycieli jak i uczniów ze szkół publicznych i prywatnych, powstały ośrodki tajnego nauczania, prowadzone przez nauczycieli żydowskich, na poziomie szkoły powszechnej i średniej, na bazie byłego gimnazjum hebrajskiego. Przetrwały one aż do likwidacji getta w 1942 r.[16] Do bardziej aktywnych nauczycieli, wychowawców tragicznego pokolenia Żydów zalicza się Miriama Libeskinda, Szymka Drängera, Edwina Weissa, Zygmunta Mahlera, Golę Mirer, Hankę Spritzer, Bernarda Halbreicha i Herscha Baumingera.



Metody pracy oświatowej były różnorodne i zależały od miejscowych warunków lokalowych, obsady nauczycielskiej i warunków bezpieczeństwa. Wielkomiejskie środowisko Krakowa posiadało wykwalifikowanych nauczycieli, dostęp do pomocy naukowych, do naukowych zbiorów prywatnych i ukrytych przed okupantem zbiorów publicznych. Działalność oświatowa poszczególnych działaczy i całych grup uczniowskich ginęła — nie zauważona przez okupanta — w ludzkim gąszczu i różnolitości wydarzeń. Ale troska o byt codzienny stawała się poważnym problemem społecznym. Środowiska podkrakowskich wsi, miasteczek i miast, miały wprawdzie lepsze możliwości zorganizowania sobie warunków bytowych i mniejsze tu było nasilenie działalności okupacyjnych komórek policyjnych. Brakowało jednak nauczycieli, lektur i podręczników szkolnych, a na ludzi zajmujących się nauczaniem zwrócona była uwaga zarówno władz okupacyjnych jak i miejscowej ludności. Każdy nieostrożny krok prowadził do dekonspiracji i represji. Dziś mogłoby uchodzić za żart autentyczne zdarzenie: pewien ksiądz przyprowadził przed skonsternowaną komisję egzaminacyjną swych wy-

16 Natan Gross: *Żydowska młodzież Krakowa w okresie okupacji*, Kraków 1946.

chowanków bosych i w dodatku z obłoconymi nogami, byle nikt nie domyślił się w nich kandydatów do egzaminu dojrzałości.

Upływ czasu stępił już wrażenia smutnych doświadczeń. Z perspektywy lat rozmaicie można oceniać minioną przeszłość. Lecz wszyscy, którzy włożyli tyle trudu w wychowanie okupacyjnej młodzieży, również niepozorne, ciche siostry zakonne, zakonnicy i niestrudzeni księża, winni pozostać na trwałe w naszej pamięci.

Ludwik Kubik

SŁOŃCE ŚWIECI NAPRAWDĘ*

Stare rachunki są drugą książką dr Wandy Półtawskiej. Pierwsza miała nie mniej charakterystyczny tytuł: *I boję się snów*, powstała zaś jako spisywane nieomal „na gorąco" wspomnienia o wieloletnim pobycie w hitlerowskim obozie (Ravensbrück), po którym autorkę dręczyły obsesyjne lęki: dzień przemijał normalnie, w nocy natomiast zjawiały się koszmary, młoda podówczas dziewczyna bała się zasnąć, gdyż zaraz wracała — tam, do obozu! Ktoś jej poradził spisanie owych obozowych wspomnień, posłuchała — tak powstał ów swoisty, pamiętnikarsko-terapeutyczny dokument. Po latach rękopis — trochę tylko „wygładzony" i zaadiustowany — poszedł do druku, miał parę wydań, był szeroko czytany, wywołał kontrowersje i polemiki, parę osób poczuło się w nim osobiście urażonych, dla innych wydał się niewiarygodny. Pewna studentka drugiego roku polonistyki z Wrocławia napisała do autorki, że bardzo przeprasza, ale nie może uwierzyć, żeby wszystko to mogło być naprawdę, traktuje więc książkę jako fikcję literacką. Półtawska odpisała jednym zdaniem, że bardzo się cieszy z powodu owej niemożności uwierzenia i że sama by chciała, żeby to była tylko fikcja literacka. Niestety, obozy żadną fikcją nie były, choć ledwo po ćwierć wieku już trudno w prawdę ich uwierzyć.

Dla uwolnionej przez koniec wojny więźniarki tamte spisywane zaraz po powrocie wspomnienia spełniły swoje zadanie — dziewczyna zaczęła spać, nocne koszmary się rozwiały. Czy znaczy to, że obozowe lata przeminęły bez śladu, zostały z ludzkiej psychiki wymazane, jak przy pomocy gąbki zmazuje się kredowe rysunki na tablicy? Druga książka Półtawskiej ukazuje, że tak się stać nie mogło.

A nie jest to bynajmniej książka obozowa czy wojenna, odwrotnie — porusza sprawy pokojowe, opisuje ludzi dnia dzisiejszego, przeważnie

* Wanda Półtawska, *Stare rachunki*, Czytelnik 1969, s. 332, cena 15 zł.

spotykanych w praktyce lekarskiej albo w codziennym najzwyczajniejszym dniu. Wanda Półtawska z zawodu jest psychiatrą, z zamiłowania czy z przymusu wewnętrznego — społecznikiem (to określenie brzmi okropnie, ale lepszego dla rozległej działalności autorki *Rachunków* nie znalazłem), toteż w swej drugiej książce opowiada głównie o ludziach spotykanych w swojej pracy — o nerwicowcach, osobnikach wytrąconych z koleiny, bojących się nie tylko snów, ale i rzeczywistości, białego dnia, noszących w sobie zastarzałe urazy, nie umiejących wyrwać się z obsesji, zbakierowanych, zdziwaczałych, aspołecznych, skrzywdzonych, lecz również często krzywdzących, samotnych, smutnych, zastrachanych, psychicznie chorych albo stojących na granicy anomalii. Często tragicznych, niemal z reguły cierpiących.

Tym ludziom poświęciła swoją książkę, o nich nam opowiada. Nie tylko zresztą wojna kaleczy, również „normalne" życie, niejednokrotnie „dobre" życie, zdawałoby się — beztroskie. A jednak *Stare rachunki* nie na próżno noszą ten właśnie, złowrogo brzmiący tytuł. Książka została podzielona przez autorkę na trzy części — tylko środkowa omawia anomalie wynikłe z przyczyn pozawojennych — chociaż i to nie zawsze całkiem pewne. Ale ta właśnie część środkowa, nosząca charakterystyczny tytuł „Różnica poglądów", jest dziwnie wiotka, pisana niejako z obowiązku, zdawałoby się — marginesowa. Jakby owe „niewojenne" przypadki anomalii trafiały się autorce rzadziej, czy też może nie wywoływały osobistego napięcia, nie pobudzały do pisania. Najobszerniejsza pierwsza część — „Stygmaty" — opowiada właśnie o wojennych urazach, najczęściej obozowych. Ludzie, którzy przez obóz przeszli, zdają się nosić w sobie jego ślad, o wiele trwalszy niż wytatuowany na skórze kolejny numer więźnia, krwawiący przy okazji stygmat, toteż dr Półtawska rozumie wyjątkowo dobrze swych pacjentów, ponieważ często w czasie lekarskich konsultacji słyszy w sobie zatajony odzew, własne także przeprowadza rozrachunki. O nich to napisała książkę. Konstrukcja owych „Obrazków", jak je sama autorka nazywa, wygląda często tak: pacjent w szpitalu czy w przychodni, tzw. „podopieczny", czasem nawet przypadkowo spotkany przechodzień relacjonuje, opowiada, dotyka pozornie tylko zasklepionej rany, mówi o swoich sprawach i cierpieniach, a słuchająca pani doktor już przypomina sobie własne blizny, najbardziej osobiste lęki i urazy. „Normalne" otoczenie nawet nie podejrzewa tego. Oto jedna, przypadkowo wybrana z książki scenka-zwierzenie: pani doktor jest zaproszona do zaprzyjaźnionego domu, siedzi w ogrodowym fotelu i spoglądając na okrągły klomb czerwonej szałwii zrazu myśli o swoim ojcu, który lubił hodować kwiaty, zwłaszcza róże, a później jeszcze o czymś, o czym nie opowiada nawet wprost, ale co sprawia, że zaczyna dygotać niby z chłodu, aż uprzejmy gospodarz przynosi jej ciepły szal do okrycia.

„Zimno" — powiada, bo w jaki sposób może się domyśleć ten dobroduszny grubas, że:

„...ja nie lubię szałwii czerwonej, która kwitnie na tym cudzym trawniku, na tle zielonej przestrzeni, tak szczególnie jaskrawo.

Sto razy w moim obecnym życiu zjawia się ten irracjonalny lęk przed szałwią, a szałwia jest modna. Na różnych trawnikach ją sadzą. Jest taka wesoła tą czerwienią i taka odporna na zimno, tak długo kwitnie — wiem.

Nikt nie wie, że ja nie lubię szałwii.

Nikt nie wie, że ja się tych kwiatów boję".

A oto inne obsesyjne wspomnienie:

Wieś, lato, cisza, słońce. Autorka patrzy z leżaka, jak jej kilkuletnia córeczka bawi się w piasku aluminiową łyżką i kopie sobie rowek. Aż niespodzianie matka się zrywa, biegnie do dziecka, wyrywa mu z rąk łyżkę — przytomnieje dopiero widząc nierozumiejące, przestraszone spojrzenie. Co się stało? ... — piasek, aluminiowa łyżka, rowek. Tym razem Półtawska wie, o co chodzi, opowiada nam o tym dokładnie — przypomniała się jej obozowa zabawa maluchów w rozstrzeliwanie ludzi nad wykopanym rowkiem — doprawdy, skojarzenie straszliwe: łyżka, piasek i kilkoletnie dziecko. — Czyż ktoś spoglądający z boku mógłby coś z tego zrozumieć, odnaleźć psychiczne powiązania? Zapewne wzruszyłby jedynie ramionami, powiedział: histeryczka! Można i tak...

Już chyba nie będziemy się dziwili, że wychowana po wojnie wrocławska polonistka nie uwierzyła, uznała owe dawne wspomnienia za imaginacyjną fikcję literacką.

Czasem nie trzeba zresztą wielu wspomnień. Oto scenka z pieczenia przy ognisku ziemniaków, przy okazji również kurcząt na rożnie. Towarzystwo jest rozbawione, wesołe, dwa pokolenia, młodsi i starsi, śmiech, żarty, śpiewy. Ogryzione kości rzuca się w ogień. Naraz jeden z obecnych, dwudziestolatek, wysoki, w szarym swetrze, w obcisłych spodniach, z przydługimi włosami, grający na gitarze i prowadzący ogniskowy koncert, gwałtownie wstaje, odchodzi bez słowa, ginie w wieczornym mroku. Nikt z obecnych nie wie dlaczego, kolega komentuje: „E, z nim tak zawsze, on ma kota" — i pokazuje palcem czoło.

Ale Półtawska wie — chłopak jest dzieckiem obozowym. A tutaj — dym. Zwyczajny dym z ogniska. Lecz w ogniu tym palą się kości, czuć ten niezapomniany swąd. A nie jest wcale ważne, że tym razem są to kości kurczęcia.

Chłopak wyznaje później:

— No, właśnie, chyba to jest jedyne, co pamiętam: ten dym... i zaraz mi się robi tak jakoś...

— Wiem — odpowiada Półtawska. I oto rodzi się refleksja: „Tyle razy pali się ogniska i piecze ziemniaki na wielkim świecie. Ale człowiek nosi swój świat w sobie".

Świat, o którym inni wiedzą niewiele, nawet jeśli znają koleje cudzych losów. Wanda Półtawska nie jest dla mnie kimś obcym, znam ją dobrze, osobiście się z nią przyjaźnię, nie miałem też zamiaru pisać recenzji z jej książki, którą wziąłem do ręki, jak bierze się pisanie nieobojętnego człowieka. I oto zobaczyłem kogoś całkiem innego. Dotychczas była ona w moich oczach lekarzem, specjalistą, jak już mówiłem — społecznikiem, biegłym sądowym, miłośnikiem przyrody i zapalonym włóczęgą, żoną, matką, kimś bardzo wyraźnie określonym, w przeszłości, w czasie wojny, uczestnikiem konspiracji, później więźniarką w Ravensbrück. A oto przeczytawszy jej książkę, zobaczyłem jeszcze kogoś nieznanego, którego portret nie łatwo byłoby naszkicować, chociaż portret ten z ram książki wyłania się plastycznie, jednoznacznie. Pisarstwo bowiem jest dziwnie niedyskretne i demaskujące, obojętne, czy chce być „szczere" czy „zakamuflowane" — takie są również *Stare rachunki*. Książka ogromnie osobista, chociaż posiadająca swój sens ogólny, ludzki, przekraczający jednostkowość nie tylko osoby, lecz i narodu, nawet chwili bieżącej. Z tych właśnie względów zdecydowałem się o niej jednak napisać — w czasie lektury zatraciłem swój „prywatny" do niej stosunek.

Ponieważ jednak jest to również książka tak bardzo wspomnieniowa, musi być również subiektywna, czasem wręcz nawet niesprawiedliwa. Tak zresztą zawsze bywa z tego rodzaju pisarstwem — wzmiankowałem już o protestach niektórych uczestniczek obozu w Ravensbrück po ukazaniu się na półkach księgarskich *I boję się snów*. Zapewne po tamtym doświadczeniu autorka zastrzega się na wstępie *Starych rachunków*, że przedstawione sytuacje psychologiczne są prawdziwe, ale spośród osób występujących trzy tylko są autentyczne. W paru wypadkach sam potrafiłem kamuflaż rozszyfrować, na tej podstawie mogę stwierdzić, że *Stare rachunki* nie bujają, mówią prawdę. Ale niejednokrotnie tylko prawdę indywidualnego przeżycia. Jako przykład przytoczę pierwsze opowiadanie, opis paru ostatnich dni przed wkroczeniem Niemców do Lublina i zagubienia młodej harcereczki w chaosie, panice, bałaganie i małości ludzkiej, opis niewątpliwie rzetelny, acz tylko ułamkowo ukazujący obraz Września i to od strony najczarniejszej. Czy Wanda Półtawska miała prawo nazwać opowiadanie tym właśnie wielkim tytułem *Wrzesień?*... Niewątpliwie tak! Ale czytelnik musi pamiętać, że jest to tylko jedna z kartek wielkiej księgi owego Miesiąca, którego trzydziestoletnią rocznicę właśnie w roku bieżącym obchodzimy, kartka zupełnie autentyczna, a jednak ułamkowa, subiektywna, nie mogąca rościć sobie pretensji do odmalowania całego obrazu. Nie wszyscy też przeszli później przez koncentracyjny obóz i więzienie, nie wszyscy

również, którzy tam byli, nadają się jako pacjenci dla psychiatry. Te zastrzeżenia trzeba zrobić, żeby uniknąć nieporozumień — choćby... wśród niewierzących polonistek z Wrocławia. Lecz sens i wartość książki Wandy Półtawskiej, jej walor czy przydatność społeczna na czym innym polega: na ukazaniu, jak głębokie ślady, blizny czy też stygmaty pozostawia wojna i zbrodnia w ludziach z pozoru zdrowych i normalnych, jak łamie i wypacza, jak zmienia nawet tych, których zdawałoby się nie wtrąciła w anomalię. Wszyscy poniekąd jesteśmy zarażeni zbrodnią, przypominamy owych chłopców bawiących się w piaseczku w mordowanie, przeważnie nie zdając sobie sprawy, że samo zobojętnienie na zło i na — dalekie choćby od nas — potworności stanowi już moralną aberację. I dlatego należy „stare rachunki ciągle na nowo przeprowadzać, nie wolno zapominać, zapominanie bowiem stanowi albo zgodę, albo chowanie głowy w piasek, albo niedopuszczalną naiwność. Warto jest wiedzieć, gdzie kryją się w naszym świecie anomalie — to uzdrawia".

Książka Półtawskiej opowiada nam o sprawach strasznych. Lecz nie ma nic z makabry, jest dyskretna w najbardziej surowych oskarżeniach, przede wszystkim jednak nie jest pesymistyczna, nie dźwięczy w niej nuta rozpaczy. Zdaje się nam sugerować, że człowiek wprawdzie nieraz bywa zły czy wręcz zbrodniczy, ale tkwią w nim także zalążki czystego altruizmu i miłości, co więcej — że one właśnie są najbardziej człowiekowi pożyteczne. Więc świat pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu dobry być może, w dużym stopniu jest dobry, co uwidaczniać chcą nieprzypadkowo dobrane ostatnie słowa *Starych rachunków*, których użyłem jako tytułu tego omówienia: Na niebie świeci słońce. Jest naprawdę!

Antoni Gołubiew

CAT-MACKIEWICZ. „ODESZLI W ZMIERZCH"

Ukazał się zbiór esejów Cat-Mackiewicza *Odeszli w zmierzch*. Tytuł znaczy — ludzie epoki, która już minęła, epoki w znaczeniu szerokim, bo od Puszkina do Przybyszewskiego. Większą część tomu stanowią szkice drukowane już uprzednio, dobrane tak, aby dać czytelnikowi przegląd twórczości autora. Książka taka zachęca nie do pisania recenzji — na to jest już za późno, ale do szukania odpowiedzi na pytanie, kim był jej autor i jaka była siła napędowa jego literackiej i publicystycznej działalności. Odpowiedź na takie pytanie nigdy łatwą nie jest. W każdym człowieku wybitniejszym są dążenia sprzeczne; w kim ich nie ma, ten nie jest zmuszony spierać się z sobą i w sporze

tym szukać dla siebie drogi, a wtedy nas z kolei nic nie zmusza, by zastanawiać się nad nim. Pierwszą taką sprzecznością, która tkwi w Mackiewiczu, a wychodzi na jaw przy najbardziej pobieżnej lekturze jego książek jest, że ten sam człowiek był prawnikiem z zamiłowania i instynktu i wielbicielem, a bodajże będzie to słowo za słabe — Dostojewskiego, a więc pisarza, u którego problemy etyczne są ujęte w sposób taki, że dla umysłu prawnika muszą pozostać zamknięte. Tylko że będzie to sprzeczność, która się pierwsza rzuci w oczy, ale nie będzie to klucz do rozumienia osobowości Mackiewicza. Byłby on wtedy myślicielem etycznym w takim stopniu jak Dostojewski, a tak na pewno nie jest. Prawnik i artysta — miłośnik stylów dawnych epok, to już bardziej trafia w sedno. Dwie takie zdolności, aby współistnieć w jednym człowieku wymagają elementu trzeciego, który by je spoił w jedno. Kretschmer za najtrudniej godzące się z sobą uważał matematykę i medycynę, ale nie zauważył, że łączyły się one najściślej w astrologach Renesansu. Rozeszły się dopiero wtedy, gdy pierwiastka trzeciego, a więc astrologii zabrakło.

Mackiewicz jest nie tylko prawnikiem i nie tylko znawcą stylu, ale ma styl własny, od którego nieodłączną jest postawa prawnika. Styl dawnego polskiego szlachcica, który nawet gdy chwytał za broń, aby swe cele przeprowadzać siłą, czynił to w formach prawnych konfederacji. A gdy chciał się uwolnić od prawa takiego jak „liberum veto", to szukał formy podejmowania decyzji, w której nie mogłoby ono być stosowane. Taki był styl szlachcica polskiego, a najbardziej może szlachcica Wielkiego Księstwa Litewskiego, tej najbardziej konserwatywnej części dawnej Rzeczypospolitej, z której pochodził woźny Protazy, „ostatni w Litwie woźny Trybunału".

Mackiewicz jest jurystą. Ten wyraz lepiej może niż „prawnik" określa styl jego osobowości. Jak bardzo jest to rzecz stylu, świadczy jego rzucona mimochodem uwaga, że w Anglii jest dyscyplina społeczna, ale nie ma poczucia prawa.

Niczym nie można zilustrować lepiej metody Mackiewicza-historyka czy Mackiewicza-biografa, jak przytoczeniem innej jego uwagi, że masoneria nie może pochodzić od średniowiecznych bractw budowniczych katedr gotyckich, bo wtedy i styl jej obrzędów miałby w sobie coś z gotyku. Zdanie to więcej ma w sobie siły przekonywającej, niż cały gmach dowodów wzniesiony na fundamencie dokumentów niejasnych lub niepewnych. Bo też do metody Sherlocka Holmesa, wyprowadzania z przypadkowego śladu całego systemu dowodów, jest Mackiewicz niezdolny. U nas metodę tę stosował Tadeusz Wojciechowski, gdy odtwarzał obraz wydarzeń dziejących się w Polsce w wieku XI. Czytając dokument ukazywał wydarzenia, które się za nim kryły, i te, na które autor dokumentu chciał naprowadzić czytelnika, i te, które starał się przemilczeć. Narzędziem Wojciechowskiego była logika nie-

słychanie precyzyjna, za pomocą której eliminował wszelką interpretację fantastyczną, albo naciąganą. Mackiewicz zaś pracował inaczej; starał się określić styl autora dokumentu, jego przynależność do epoki i do środowiska, jego horyzont umysłowy. Narzędziem jego jako historyka była znajomość rzemiosła pisarskiego, celem — oddanie nie tyle przebiegu zdarzeń, ile charakteru epoki. Stąd dokumentami, do których sięgał najchętniej, są pamiętniki, z dawniejszych czasów kroniki, ale te, gdy mówiły o czasach, których kronikarz był świadkiem, lub które znał z opowiadań świadków, listy, akta sądowe, wreszcie wszystko, co określamy mianem „publicystyki". Tu znajdował ludzi, takich, jakimi byli, ich sposób myślenia, mówienia i reagowania na bodźce.

Nietzsche zaliczyłby Mackiewicza do typu historyka-antykwarysty, chociaż nie był to pospolity antykwariusz, dla którego cenny jest każdy grat, każdy szczegół stroju, dlatego tylko, że jest dawny. Mackiewicza ten szczegół stroju również będzie interesował, ale dlatego, że dzięki niemu zobaczy, jaki był człowiek, który tak się stroił.

Taki sam antykwarysta wychodzi z Mackiewicza, gdy porzuca teren historii i biografii, choćby najbardziej literacko traktowanej i pisze o czystej literaturze. Ludzi w niej przedstawionych również chce widzieć, jakimi byli. Ale nie chodzi o tzw. literaturę dokumentarną. Ideałem jego jest, aby każdy z bohaterów, a nawet z drugorzędnych postaci literackiego dzieła, każdym odezwaniem się i każdym gestem dawał świadectwo swojej epoce i swojemu środowisku, a także, aby się najwyraźniej odróżniał od każdej innej postaci z tej samej epoki i z tego samego środowiska. Jeżeli prawdę artystyczną definiować w kategoriach realizmu, to jest to chyba najwyższy sposób rozumienia tej prawdy.

Postulat Mackiewicza jest w pewnym sensie dziewiętnastowieczny, w pewnym zaś nie odbiegający od tradycji starosarmackiej. Z jednej strony realizm powstaje wraz z myśleniem pozytywistycznym i wraz z nim przechodzi kryzys. Jeszcze w osiemnastym wieku czytając pisma krytyczne Woltera możemy sądzić, że mamy przed sobą poetykę realistyczną, ale jest to złudzenie, które pryśnie, gdy zajrzymy do jego tragedii. Ten potoczysty aleksandryn i wykastrowany z wyrazów gwarowych czy wulgarnych język poetycki z trudnością nadawały się do realistycznego przedstawienia namiętności ludzkich. Wolter po prostu żyje w epoce, w której wiele się mówi o teorii prawdopodobieństwa i akcji nieprawdopodobnej na scenie nie uznaje, tak jak nie uznaje cudów. Dopiero gdy umysły ludzkie rozmiłowały się w faktach, pojawił się realizm prawdziwy. Balzac należy do tego samego pokolenia, co Darwin. Kryzys realizmu nastąpił wtedy, kiedy doświadczenie czerpane w sposób oczywisty dla każdego z faktów, zaczęło się przestawać liczyć jako źródło wiedzy nadającej kształt epoce. A miejsce to zajęła konstrukcja teoretyczna, której związek z faktami niemożliwy jest do uchwycenia dla niespecjalisty. Kiedy, inaczej mówiąc, w świadomości ogromnej

większości ludzi interesujących się nauką miejsce typu Darwina zajął typ Einsteina. I kiedy również, a to jest druga strona medalu, coraz mniej pozostało ludzi zdolnych faktom patrzeć prosto w twarz. Nie możemy jednak ani na moment zapomnieć, że postulowany przez Mackiewicza typ realizmu wyrasta z kultury rodzimej. Zakorzeniony on jest w Polsce od *Fraszek* Kochanowskiego co najmniej. Realizm ten nie służy do przedstawienia życia i losu człowieka, gdyż musiałby mieć swoją filozofię, a na taką czas jeszcze nie nadszedł. Chwyta więc moment z reguły groteskowy. Biskup beszta chłopa za nie poparte żadnym prawem żądanie rozwiązania małżeństwa. Pijacy wyważają drzwi domu przyjaciela, aby zmusić go do wzięcia udziału w ogólnej pijatyce. Uchwycony jest u Kochanowskiego, jak później u Potockiego, charakter epoki, środowiska i typów ludzkich. I gdy przyszła epoka realizmu, Polska była na nią przygotowana.

Z założeń Mackiewicza wynika hierarchia dzieł literackich — ta nie zawsze da się zastosować — i wynika hierarchia zainteresowań, której Mackiewicz wierny jest zawsze. Wobec dzieł czystej fantazji jest on na ogół obojętny; choć nigdy tego tak nie sformułował, wydaje się rzeczą pewną, że dla niego *Król Duch* mógłby nie być napisany. Natomiast literatura modernizmu, która na naszym terenie otrzymała nazwę „Młodej Polski", a przez Mackiewicza określona jest en bloc jako „secesja", wzbudza w nim irytację. Nie znosi mieszania stylów, wprowadzania własnych kompleksów, wątpliwości i urojeń do Grecji i Średniowiecza. Sienkiewicza wielbi właśnie za to, że takiego pomieszania jest przeciwieństwem, że jego ludzie wieku siedemnastego są naprawdę ludźmi czasu, w którym pisarz ich umieścił. Z mniejszą być może słusznością ten sam sąd wyraża o *Quo vadis*. Ale najbardziej być może rozmiłowany jest Mackiewicz w literaturze rosyjskiej, a zwłaszcza w Tolstoju i Czechowie. Kocha ich za to, co jest mu w nich bliskie — za wierność w przedstawieniu człowieka, którą podkreśla nieustannie. Kocha ich i rozumie nie tylko ich zalety, ale i ich wady. O wypowiedziach Tołstoja wyrażających lekceważenie dla wszelkiej wielkiej sztuki i wszystkich osiągnięć ludzkości pisze Mackiewicz jako o „samodurstwie"; dodając: sądził Tołstoj, że mu wszystko wolno, a więc i gadać głupstwa. Jakie to prawdziwe i jak przypomina naszego Henryka Rzewuskiego. Ale kocha też Mackiewicz literaturę rosyjską i za te jej cechy, przez które jest ona absolutnie niepodobna do polskiej — za jej sposób stawiania problemów etycznych. Ale o tym później.

Niejeden ścisły uczony zarzuci Mackiewiczowi subiektywizm. I będzie miał do pewnego stopnia słuszność. Ale do pewnego stopnia tylko. Wiemy dobrze, jakiego obiektywizmu mamy prawo wymagać od autora np. bibliografii, ale gdy opuszczamy krąg pracy wyłącznie informacyjnej, pojęcie to traci swoją precyzyjność. Pozytywizm miał swoje

pojęcie obiektywizmu — było ono zaczerpnięte z nauk przyrodniczych, gdzie istnieje nieprzekraczalna przepaść między badaczem a przedmiotem badań. Dlatego pozytywistyczny uczony czuł się względnie najlepiej, gdy badał kulturę ludów prymitywnych lub przedhistorycznych. Murzyn australijski był mu równie daleki i obcy jak kangur, Grek przedhomerycki jak lew jaskiniowy. I to był jego obiektywizm, gdy zaś wracał do własnego świata, pozostawało mu jeszcze sporządzenie tablic statystycznych. Stąd zaciekła pasja, z jaką pisze Mackiewicz o uczonych uniwersyteckich. Instynktem czuje, że między artystą, który pisze o artystach, a tego typu uczonymi być nie może żadnego pokrewieństwa. Podobnie jak wielu realistów, tak i jego do pozytywizmu zbliża jedynie umiłowanie faktów.

Człowiek, który myśli, nie może żyć bez poglądu na świat. Ale pogląd ten nie może składać się z samych faktów, musi zawierać ich interpretację. Filozoficznej interpretacji Mackiewicz faktom nie da, pozostaje mu tylko ich ocena, a więc interpretacja etyczna, a wobec faktów politycznych — jurydyczna. Tymczasem wypadło Mackiewiczowi żyć w świecie, w którym wszystkie pojęcia etyczne, nie mówiąc już o jurydycznych, uległy zachwianiu. I temu światu już od pierwszych swoich publicystycznych wystąpień powiedział: nie. Było to „nie" totalne, bez wdawania się w odcienie pojęć i dlatego wielkie zagadnienie współczesnego świata, jak odróżnić te wartości, bez których człowieczeństwo ocalone być nie może, od wartości nieistotnych, które muszą być poświęcone podobnie jak balast musi być wyrzucony z okrętu, pozostało przezeń nie zauważone. Dlatego znienawidził filozofię, że nie można o nią się otrzeć bez zauważenia, że takie pytanie istnieje. Mackiewicz pozostał do końca szlachcicem litewskim, dla którego prawo międzynarodowe i konstytucyjne było fundamentem polityki. Dostojewskiego uwielbiał, jako myśliciela, który relatywizmu w etyce nie znał i znać nie chciał, dla którego wina była winą, a kara karą. I tu dochodzimy do odpowiedzi na pytanie postawione na początku: jak ten sam człowiek mógł być jurystą i jednocześnie uwielbiać Dostojewskiego ponad wszystko.

Nie można pisać o Mackiewiczu jako o pisarzu, nie pisząc o nim jako o polityku. Toteż powiedzieć o nim trzeba choć jedno: w polityce także trzymał się norm tradycyjnych, obyczaju praojców, jakby powiedział Parnicki, i uznawał pojedynek, ale kopanie człowieka, który leży, budziło w nim wstręt. Była kiedyś w Wilnie, przed trzydziestu laty, ohydna sprawa — zaszczuwano znanego profesora, któremu zarzucano, że wypowiedziane przezeń w nieokreślonym kierunku obraźliwe słowo dotyczyło osoby nietykalnej. Mackiewicz wtedy napisał w „Słowie", że wymierzone było ono w niego, w Cata-Mackiewicza i w nikogo więcej. I zawsze podobna napaść pobudzała go do obrony napadniętego, choćby ten był jego przeciwnikiem.

Zenon Szpotański

Listy do Redakcji

Chciałbym podzielić się niektórymi spostrzeżeniami dotyczącymi obecnej sytuacji religijnej w Polsce.

Wrócę jeszcze do ducha alarmu, paniki. Duch ten jest dzisiaj wyjątkowo szkodliwy. Usuwa bowiem w cień lub przemilcza — ogromne dobro dokonywujące się w Kościele, wyolbrzymiając rzeczywiste, ale nie do uniknięcia, trudności związane z procesem odnowy. Alarmistów w Kościele jest wielu, a niektórzy specjalizują się w tym zawodzie. By odciąć się od tego prądu, trzeba najpierw uświadomić sobie jego szkodliwość. Ulegać temu prądowi jest bardzo łatwo i każdy najlepszy ale nieopatrzny człowiek to potrafi. Przeciwstawiać się natomiast temu prądowi jest bardzo trudno i tylko nieliczni to potrafią.

Pozwolę sobie zwrócić uwagę na jeden rodzimy typ alarmistów spod słowiańskiej strzechy. Oto — bardzo gorliwy duszpasterz — zasłyszał strzępy rozmowy o trudnościach w Kościele, przeczytał pobieżnie lub zasłyszał w radio skrawki wypowiedzi na ten temat — idzie więc na ambonę, lub do stolika konferencyjnego, gromi nową teologię i nowych teologów wobec Bogu ducha winnych słuchaczy. Sam dobrze nie wie o co chodzi, słuchacze również, lecz wszyscy wychodzą z przekonaniem, że coś zaczyna się psuć w Kościele Bożym. Nie zada sobie trudu, by tę nową teologię bliżej i głębiej poznać, by z radością odkryć wyłaniające się już zręby tak długo oczekiwanej nowej teologii, by uświadomić sobie organiczną jedność i ciągłość teologii dawnej i nowej, by zapoznać się z nieodzownymi trudnościami i niebezpieczeństwami. O wiele łatwiej przychodzi mu bronić sarmackiej religijności i przestrzegać przed nowatorami.

Duch alarmu przybiera różne formy. Wśród nich szczególnie niebezpieczną dla Kościoła w Polsce jest egzaltacja religijna. Stan egzaltacji religijnej jest produktem jakiejś swoistej nerwicy i nie ma nic wspólnego z prawdziwą religijnością. Ludzie egzaltowani — często zacni i ofiarni — wydają się mieć rozpalone serce w głowie, rozum zaś w rękach i nogach. Nie tylko ciągle wymyślają przedziwne rzeczy, nie tylko stale są w biegu, lecz — co jest gorsze — poganiają innych. Trzeba tańczyć — jak oni zagrają. Chcą zmusić Boga, by myślał jak oni i urządzał Kościół i świat według ich recepty. Próbowali już tego Francuzi zaraz po wojnie, chcąc spowodować masowy powrót Francuzów do Kościoła — „retour des masses". Mimo ogromnego nakładu pracy — wynik był raczej nikły. Przekonali się, że Pan Bóg niekoniecznie chciał dostosować się do ich planów. Dali więc temu spokój i zaczęli z innej strony i w sposób spokojny. Rzecz zastanawiająca, że człowiek jest skłonny do gwałcenia woli drugich ludzi, podczas gdy Pan

tę wolę jak najbardziej szanuje. Myślenie egzaltowanych jest oznaką niedojrzałości religijnej. Potrzebna jest mocna i oczyszczona Wiara — przy pomocy ostrego ługu Bożego, jak to mówi Jan od Krzyża.

Egzaltacja religijna nierzadko rodzi ducha wizjonerstwa. Przez brak oczyszczonej Wiary, egzaltowani są w stałym poszukiwaniu cudowności. Odznaczają się specjalną przenikliwością w wynajdywaniu i kolportowaniu prawdziwych i nieprawdziwych cudowności. Radzą się osób „cudownych" i chętnie innych odsyłają do nich. Stwarzają około siebie dziwną a nawet niesamowitą atmosferę, która do działania Ducha Świętego ma się tak, jak brylant do szkiełka czeskiego. Nieraz całe życie swoje i innych stawiają na tę jedną kartę. Nie trzeba dodawać, że tego rodzaju duch rodzi bardzo łatwo fanatyzm religijny.

Tymczasem Duch Święty działa jakoś inaczej — spokojniej, głębiej, w sposób — można powiedzieć — bardziej naturalny. Duch Święty jest łatwo czytelny. Papież Jan nie musiał przekonywać w zawiły sposób, że ma rację. Tę rację odczytywał u niego każdy człowiek, nawet niewierzący, nawet zły. Jeśli czytelność Ducha Świętego w nas napotyka na sprzeciw wielu poważnych ludzi, znakiem to jest, że działalność Ducha Świętego jest pomieszana z działalnością natury, co wymaga oczyszczenia. W obecnej odnowie Kościoła trzeba stale myślą nawracać do postaci Papieża Jana, skąd w drugiej połowie XX wieku przyszło dla Kościoła nowe światło.

W Polsce mamy obecnie wyjątkową okazję, by uświadomić sobie i rozwijać dodatnie cechy naszej religijności polskiej, i równocześnie poznać ujemne cechy naszego romantyzmu religijnego, by go oczyścić z sarmackich naleciałości. Z takiej okazji nie wolno nam nie skorzystać.

Emanuel Działa OP

INHALT

DIE SEPTEMBERNUMMER VON „ZNAK" IST HAUPTSAECHLICH DER DEUTSCHEN PROBLEMATIK GEWIDMET.

Das „deutsche Problem" heute. M. Pszon stellt in seinem Aufsatz die Frage, warum es ueberhaupt heute noch — 25 Jahre nach dem Krieg — ein „Problem" gibt. Ihm scheint die Antwort, dass es ein Problem gibt, weil es keinen Friedensvertrag gibt, falsch zu sein. Seiner Meinung nach gibt es vielmehr keinen Friedensvertrag, weil es noch immer ein „Problem" gibt: das Fehlen der Anerkennung der Ergebnisse des zweiten Weltkrieges, sowohl hinsichtlich der Anerkennung der beiden deutschen Staaten als auch der Grenzen (insbesondere der Oder/Neisse Grenze). Der Verfasser analysiert in seinem Aufsatz dieses „Problem" weiter. Er beweist, dass es sich nicht um ein oekonomisches Problem handelt — beide deutsche Staaten sind in oekonomischer Hinsicht in einer viel besseren Situation als vor dem Kriege — sondern um ein rein politisches Problem. So gesehen hat das Problem drei Aspekte: einen nationalen (die Frage der Wiedervereinigung), einen legalen (Friedensvertrag), einen psychologischen (das Gefuehl, dass den Deutschen ein Unrecht getan wurde). Alle drei Aspekten wurden diskutiert und Gegenargumente praesentiert. Der Verfasser ist der Meinung, dass sich die Deutschen, wenn sie endlich das deutsche Problem liquidieren wollen, bemuehen muessen ihre Denkweise und ihre Methoden politisches Handelns so zu veraendern, dass sie nicht mehr das Vertrauen zur deutschen Nation bei ihren Nachbarn zerstoeren. Diesem Zweck und besonders der Liquidation des Unrecht-Komplexes kann auch ein vernuenftiger Dialog zwischen Deutschen und Polen dienen. Es sei diese Idee und diese Hoffnung, die die Herausgeber inspiriert habe, diese Nummer zusammenzustellen.

*

Das andere Deutschland im Dritten Reich ist ein Ausschnitt aus dem Buch „Ein Christ im Dritten Reich" (Biographie Dietrich Bonhoeffers) von Anna Morawska, das in Herbst im Verlag „WIĘŹ" erscheinen soll. Die Verfasserin ist der Meinung, dass die deutsche Untergrundtaetigkeit von damals auf zwei verschiedene Weisen betrachtet werden kann,

entweder a posteriori und ganz objektiv, dann kann sie kaum den Namen „Widerstand" in politischem Sinn erhalten, da kein konkreter Widerstand, wie etwa Sabotage, ausgeuebt wurde, und es musst auch festgestellt sein, dass obwohl die Verschwoerer Hitler's Plaene und Methoden als unzweckmaessig kritisieren, ihre eigene Ost-Politik war auch grundsaetzlich expansionsdurstig. Oder kann man sich bemuehen, und das tut Anna Morawska hauptsaechlich, die menschliche Situation der Leute von „anderem Deutschland" zu verstehen, die in ihrer Haltung und Entscheidungen ganz isoliert und einem tiefen Loyalitaetskonflikt ausgesetzt waren. Sie zieht auch die sehr spezifische deutsche Tradition politisches Denkens in Betracht; Kant und Hegel werden zitiert und als Gegenbeispiel — Heine. Die Tradition des Untertanseins gegenueber der Oebrigkeit und eine juristische Mentalitaet, die fuer einen Polen. kaum vorstellbar sind, mussten auch die Entscheidungen (oder den Mangel an Entscheidungen) in den oppositionellen Kreisen bestimmen. In ihrem kurzen Abriss der Geschichte des Beck-Oster Gruppe bemueht sich die Verfasserin die kulturellen und psychologischen Elemente ihrer Situation zu unterstreichen, die so ganz anders waren als in Polen oder sogar so fremd fuer einen Polen sein muessen, dass sie kaum in landlaeufiger Beurteilung in Betracht gezogen sind.

*

Pater Alfred Delp: Eine Auswahl aus den Gefaengnisbriefen von Pater A. Delp stellt die universal-menschliche Situation „im Angesicht des Todes" dar. Eine weitere Auswahl von Briefen aus einer Todeszelle folgt:

Krystyna Wituska: Briefe eines polnischen zweiundzwanzigjaehriges Maedchens, Krystyna Wituska. Aus Alt-Moabit/Berlin, wo damals Gefangene vieler Nationen eine Gemeinschaft der Zum-Tode-Verurteilten bildeten, schreibt sie Briefe die teilweise kindlich wie die Briefe einer Schuelerin (ueber Kleider, Freundinen etc.) sind, teilweise aber Zeugnisse einer erstaunlichen menschlichen Reife. In einem Abschiedsbrief an die Mutter ihres Freundes, schreibt sie, dass sie nicht nur fuer ihre Heimat, fuer Polen sterben moechte, sondern vielmehr fuer den Frieden und die Gerechtigkeit in der ganzen Welt. Sie sagt auch, dass es eine deutsche Kommunistin, Rosemarie Terwiel, war, die mit ihr Zelle teilte, die ihr diese breitere Perspektive eroeffnet und damit den Sinn des Lebens und Sterbens gezeigt habe.

*

Unter dem Titel: **Probleme der Nachbarschaft** sind Auszuege aus einem Vortrag von Guenter Saerchen/DDR zusammengestellt, den er beim Jahrestreffen der Aktion Suenezeichen in der DDR in Dezem-

ber 1968 gehalten hat. Saerchen stellt kritisch fest, dass die Kirchen in der DDR im Allgemeinen bis heute das Problem der neuen Grenze im Osten ignoriert haben — etwa in der Seelsorge — oder nur rein juristisch betrachtet. Totschweigen dieser Frage kann aber der Glaeubigen, und besonders der damaligen Bewohnern der jetzigen polnischen Territorien nicht in der Anpassung an ihre neue Situation helfen. Um ihre Schwierigkeiten wirklich zu ueberwinden, muessen sie erst die wahren Zusammenhaenge realistisch sehen lernen, und man soll ihnen dabei eine christliche — doch auch praktische — Hilfe leisten. Die Teilnehmer an der Aktion Suehnezeichen, sagt Saerchen, sind noch immer Pioniere in diesem christlichen und auch realistischen Denken und Handeln. Die Bedeutung ihrer Taetigkeit in Polen bestehe darin, dass jeder Teilnehmer an den Suehnezeichen Sommer-Aktionen seine Erfahrungen und Erkentnisse in oder ueber Polen in seinem Familien- und Freundenkreis verbreiten und bestehende Vorurteile zu ueberwinden helfen kann und solle. Doch brauche er auch selbst eine Vorbereitung; ohne die polnische Geschichte und Kultur zu kennen, kann man vieles in Polen missverstehen, und es kann auch sein, dass neue Missverstaendnisse und Vorurteile waehrend eines Besuches entstehen.

*

Karl Jaspers — ein Philosoph der Echtheit von Michał Mazur ist ein biographischer Essay, der auch eine kurze Zusammenfassung der wichtigsten Werke Jaspers enthaelt.

*

Aus moderner deutscher Lyrik bringt Uebersetzungen einiger Gedichte von Johannes Bobrowski und Guenter Kunert.

*

Die Sprache ist mehr als Blut ist eine Auswahl aus dem Buch L.T.I. von Victor Klemperer, mit Einleitungen von Halina Bortnowska.

*

Der General und der Richter: zwei Buchbesprechungen von M. Pszon: Harold C. Deutsch: *Verschwoerung gegen den Krieg;* Gert Buchheit: *Richter in roter Robe.*

*

Schule in Untergrund: eine Darstellung des Schulwesens in Kraków in den Jahren 1939—1945 von Ludwik Kubik.

*

Die Sonne scheint wirklich: Buchbesprechung von Antoni Gołubiew ueber „Die alte Rechnung" von Wanda Półtawska. Die Verfasserin, ehemaliger Haeftling in Ravensbrueck, jetzt als Psychiatrist taetig, erzaehlt von ihren Patienten, die immer noch „an Krieg" krank sind, obwohl die direkt nachweisbaren Krankensursachen nichts mit dem Krieg zu haben scheinen.



In die Daemmerung des Vergessens getreten: eine Buchbesprechung von Zenon Szpotański ueber Essays von Cat Mackiewicz. (Schriftsteller und Dichter der vergangenen literarischen Epoche, von Puszkin bis Przybyszewski).

SOMMAIRE

CHRONIQUE

TREŚĆ ZESZYTU

ZDARZENIA — KSIĄŻKI — LUDZIE

Cena zł 15.—

W POPRZEDNICH NUMERACH „ZNAKU":

ZNAK

MIESIĘCZNIK